

INDEKS

PISMO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO
1-2 (183-184) / Luty 2018



ISSN 1427-7506



29 // **Wykład prof. Dariusza Dolińskiego**
„Posłuszni do bólu...”

34 // **Stanisław S. Nicieja**
Poleski Napoleon

57 // **Janina Hajduk-Nijakowska**
Cztery numery mojej mamy

70 // **Jan Cofałka**
Motocyklem na podium

SPIS TREŚCI

1	KRONIKA UNIWERSYTECKA	03
	Wyróżnienie Amerykańskiego Towarzystwa Fizycznego	12
	Nasze srebro, kryształ i diament / Radosław Świąt	13
	Biznesmen, społecznik, filantrop (<i>laudacja prof. Stanisława S. Nicieji wygłoszona na cześć Karola Cebuli, wyróżnionego Diamentowym Laurem Umiejętności i Kompetencji</i>)	15
	Prof. Joanna Czaplńska wyróżniona przez Czechów	18
	Zasłużona dr Marzanna Pogorzelska	19
	Dr Katarzyna Książek finalistka konkursu „Popularyzator Nauki”	20
2	PUBLICYSTYKA, SZTUKA	21
	„Postuszni do bólu...” (<i>relacja Barbary Stankiewicz z wykładu prof. Dariusza Dolińskiego</i>)	22
	Poleski Napoleon / Stanisław S. Nicieja	29
	Historia jednego nagrania / Barbara Stankiewicz	34
	Cztery numery mojej mamy / Janina Hajduk-Nijakowska	37
	Powieść o narodzinach Niepodległej / Piotr Obrączka	43
	Józef Piłsudski w zagranicznych podręcznikach historii / Adam Suchoński	46
	Opolski Pekin zjadły szczury / Andrzej Hamada	49
	Za szybkie pisanie (49) / Adam Wierciński	52
	BAJKI NA PRZEBUDZENIE: Mieszlna przewodnik po gastronomii magicznej / Joanna Czaplńska, Piotr Stec	57
	Motocyklem na podium / Jan Cofałka	59
	NASI ABSOLWENCI: Najłatwiej podarować litość / Barbara Stankiewicz	62
	NASI ABSOLWENCI: Nasz Profesor / Paweł Czupryna	65
	Opole artystami stoi / Beata Tarnowska	67
	KRZYWY ZGRYZ: Schodzę na psy / Agnieszka Kania	70
	Aforyzmy / Tomasz Tarmas	75
	INDEKSOWA GALERIA SZTUKI: Poplenerowa wystawa studentów Wydziału Sztuki UO	76
	Lubię wiedzieć, o co chodzi (<i>z Zofią Bielewicz rozmawia Hubert Michalak</i>)	78
	Osiemnastka Teatru EKO STUDIO / Małgorzata Andrzejak-Nowara	81
	FIZYKA DLA LAIKA: Widowisko dla całej rodziny / Wojciech Dindorf	84
	Wiosna: miłość i śmierć / Bartłomiej Kozera	86
	Pogrzeb w cieniu koronacji / Włodzimierz Kaczorowski	87
	LISTY, POLEMIKI: Nadchodzą / Magdalena Grochowska	92
LISTY, POLEMIKI: Po lekturze „Marginesu” / Wojciech Dindorf	93	
LISTY, POLEMIKI: List otwarty do wojewody opolskiego / Andrzej Hamada	94	
3	RELACJE, RECENZJE, NOTY	95
	Nauczycielka nauczycieli. Jubileusz 50-lecia pracy prof. B. Kubis / Anna Gołębiowska	96
	Wirtualne serce – nowa jakość nauczania / Beata Łabutin	99
	Kulisy sportowych legend i sław / Barbara Stankiewicz	101
	Co czuje ofiara, co może zrobić świadek?	104
	Z Opola do Beer Schewy	106
	Płatne staże wakacyjne dla studentów	107
	Nadmiernie zadłużamy nasze dzieci / Stanisław Skakuj	108
	Jak dobrze znam sąsiada? / Paweł Cieśla	110
	Finalny akord pierwszej dekady / Marceli Kosman	113
	PÓŁKA SUŁKA: Po obu stronach rzeki / Witold Sułek	116
	Historie życiem pisane / Elżbieta Trela-Mazur	118
	Nowości wydawnicze: Artbook naukowy	120
	Nowości wydawnicze	122
	Noty o autorach	126

Zdjęcie na okładce:

Józef Chyży, *Kompan*, akryl na płótnie. O motywie psa w twórczości opolskich artystów pisze Agnieszka Kania, w tekście pt. „Schodzę na psy” (str. 70).

1

INDEKS

KRONIKA UNIWERSYTECKA

Wydarzenia

Wiadomości

Sylwetki

2017
5.127.02
2018

5.12
2017

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, przewodniczący Rady Miasta Opola Marcin Ociepa i zastępca kanclerza UO Marcin Miga byli gośćmi dr. Piotra Dardzińskiego, podsekretarza stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Podczas spotkania omawiano szczegóły planu dofinansowania kierunku lekarskiego, a także planu restrukturyzacji Wydziału Przyrodniczo-Technicznego UO.

II.12

W Departamencie Budżetu i Finansów Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego rektor prof. dr hab. Marek Masnyk, prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i zastępca kanclerza Marcin Miga spotkali się z wiceministrem Sebastianem Skuzą. Spotkanie dotyczyło możliwości finansowania inwestycji związanych z kierunkiem lekarskim na Uniwersytecie Opolskim (pieniądze zostały przekazane pod koniec 2017 r.).

I2.12

Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk otworzył ogólnopolską konferencję naukową pt. „Perspektywy zatrudnienia absolwentów”, zorganizowaną przez Wydział Ekonomiczny UO.

- „Opolska mama ma moc” – to tytuł akcji, w ramach programu „Opolskie dla rodziny”, którą podsumowano podczas konferencji, zorganizowanej przez Zarząd Województwa Opolskiego, w Filharmonii Opolskiej, w której uczestniczyła prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak.

I3.12

W Sali Plafonowej Collegium Maius, z udziałem rektora prof. dr hab. Marka Masnyka i prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, obradowała po raz pierwszy w nowym składzie Rada Społeczna Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Opolu. Radę Społeczną USK tworzą: prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak (przewodnicząca), Marek Kuciński (przedstawiciel ministra zdrowia), Arkadiusz Szymański (przedstawiciel wojewody opolskiego), Roman Kolek (przedstawiciel Samorządu Woj. Opolskiego), lek. med. Marek Dryja (przedstawiciel Okręgowej Rady Lekarskiej), Elżbieta Duda (przedstawicielka Okręgowej Rady Pielęgniarek i Położnych), a także przedstawiciele Senatu UO – prof. dr hab. n. med. Marian Zembala, dr Piotr Zamelski, Arkadiusz Wiśniewski, Marcin Miga i Grzegorz Sawicki. W spotkaniu wzięli także udział przedstawiciele Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Opolu – dyrektor Dariusz Madera, Marek Staszewski oraz dr n. med. Andrzej Kucharski.

I4.12

W Muzeum Uniwersytetu Opolskiego zorganizowano promocję trzech książek: książki pamiątkowej poświęconej zmarłemu prof. dr hab. Leszkowi Kuberskiemu (redakcja – dr Antoni Maziarz, książki jubileuszowej dedykowanej prof. dr hab. Barbarze Kubis (redakcja – dr Anna Gołębiowska) i książki poświęconej Kresom Wschodnim w XIX i XX wieku (redakcja – dr Adriana Dawid i dr Joanna Lusek). Prezentacja książek połączona była z immatrykulacją studentów pierwszego roku kierunku historia i teraźniejszość 40+. O jubileuszu prof. dr hab. Barbary Kubis – na str. 96.

I5.12

Na Wydziale Teologicznym UO odbyło się kolejne spotkanie dyskusyjne, wstępem do którego był referat pt. „Czego oczekuję od ekumenizmu w XXI wieku? Spojrzenie katolickiego teologa”, wygłoszony przez ks. abp. prof. dr hab. Alfonsa Nossola.

I5–I6.12

Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, uczestniczyła w posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Kształcenia, które odbyło się w Ciężeniu, w Domu Pracy Twórczej UAM.

I6.12

Członkowie Koła Naukowego Pedagogiki Resocjalizacyjnej „Dwa Światy” wraz z Zakładem Karnym nr 2 w Strzelcach Opolskich zorganizowali mikołajki dla dzieci osób osadzonych w zakładzie. Były paczki ze słodyczkami, gry i zabawy zorganizowane przez studentki oraz śpiewanie kolęd przez całe rodziny.

I6.12



16 XII 2017. Członkinie Koła Naukowego Pedagogiki Resocjalizacyjnej „Dwa Światy” w Zakładzie Karnym nr 2 w Strzelcach Opolskich z mikołajkową niespodzianką dla dzieci osadzonych. Na zdjęciu – zastępcą dyrektora ZK mjr. Arnoldem Hennem

I9.12

Big Band UO oraz Natalia Gosztyła, Anna Malek, Magdalena Krzemień i Łukasz Szuba – kolędy w wykonaniu tych muzyków i wokalistów można było usłyszeć w Studenckim Centrum Kultury. Dochód z koncertu zasilil konto Domowego Hospicjum dla Dzieci w Opolu.



19 XII 2017. Big Band UO podczas koncertu kolęd w Studenckim Centrum Kultury (fot. Sylwester Koral)

20.12

Zuchy z 17. Gromady Zuchowej „Muchomorki” i harcerze z Harcerskiego Kręgu Akademickiego HAKI gościli w rektoracie Uniwersytetu Opolskiego, przekazując, na ręce rektora prof. dr. hab. Marka Masnyka i prorektora ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabelli Pisarek, prof. UO, Betlejemskie Światło Pokoju.



20 XII 2017. Betlejemskie Światło Pokoju przyniosły do rektoratu zuchy z 17. Gromady Zuchowej „Muchomorki” i harcerze z Harcerskiego Kręgu Akademickiego HAKI (fot. Jarosław Mokrzycki)

22.12

Zarządzeniem rektora UO została powołana nowa jednostka organizacyjna Uniwersytetu Opolskiego – Biuro Projektów Strategicznych, którą zarządza dyrektor inż. Grzegorz Sawicki. Powołanie biura związane jest z przystąpieniem przez naszą uczelnię do realizacji projektu pn. „Międzynarodowe Centrum Badawczo-Rozwojowe Uniwersytetu Opolskiego na rzecz rolnictwa i przemysłu rolno-spożywczego – Rewitalizacja Królewskiej Akademii Nauk w Prószkowie”, wartości ponad 40 mln zł.

2.OI
2018

Rektor prof. dr. hab. Marek Masnyk udzielił wywiadu dla Radia Opole – tematem rozmowy była historia Związku Polaków w Niemczech.

5.OI

Gośćmi rektora prof. dr. hab. Marka Masnyka, prorektora ds. zarządzania i rozwoju prof. dr. hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak i zastępcy kanclerza Marcina Migi byli m.in.: prof. dr hab. n. med. Marian Zembala, marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła, wicemarszałek Roman Kolek, dr n. med. Piotr Feusette – ordynator oddziału kardiologii Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego, inż. Grzegorz Sawicki – dyrektor Biura Projektów Strategicznych UO, prof. dr hab. n. med. Marek Gierlotka – kardiolog i Jerzy Bar – właściciel kompleksu sanatoryjno-hotelowego w Sulisławiu. Spotkanie dotyczyło planów utworzenia centrum naukowo-badawczego w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym.

- Decyzją rektora UO powołano Zespół Sterujący projektu pn. „Międzynarodowe Centrum Badawczo-Rozwojowe Uniwersytetu Opolskiego na rzecz rolnictwa i przemysłu rolno-spożywczego – Rewitalizacja Królewskiej Akademii Nauk w Prószkowie”, w składzie: prof. dr hab. Janusz Słodczyk (przewodniczący), dr hab. Małgorzata Rajfur, prof. UO (przedstawiciel Wydziału Przyrodniczo-Technicznego), kanclerz Zbigniew Budziszewski, kwestor Konstanty Gajda oraz inż. Grzegorz Sawicki (dyrektor projektu).

8.OI

Muzeum UO, Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze Oddział Regionalny Śląska Opolskiego i Opolski Klub Krajoznawców to organizatorzy spotkania w Muzeum UO pt. „Popiół i fotografia, czyli o nieznanym archiwum Maxa Glauera”. Prelekcje na ten temat wygłosili Andrzej Bobkiewicz i Romuald Kulik.

10.OI

Jak co roku, na Wydziale Teologicznym UO odbyło się spotkanie opłatkowe dla opolskiego środowiska naukowego, w którym uczestniczyli m.in. ordynariusz diecezji opolskiej ks. bp dr hab. Andrzej Czaja, prof. UO, ks. bp prof. dr hab. Jan Kopiec, rektorzy i pracownicy opolskich uczelni. Wieczór zakończył się koncertem kolęd w wykonaniu chóru kleryków.



10 I 2018. Spotkanie opłatkowe opolskiego środowiska naukowego (fot. Sylwester Koral)

11.OI



11 I 2018. Dr Zbigniew Dokurno, członek Rady Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, był gościem władz naszej uczelni (fot. Sylwester Koral)

II.OI Dr Zbigniew Dokurno, przewodniczący Komisji ds. Finansów Rady Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, był gościem prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak. Rozmowy dotyczyły m.in. zainteresowania Uniwersytetu Opolskiego możliwościami, jakie stwarza Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (m.in. projekty rozwijające potencjał dydaktyczny, a także strategiczne i biznesowe, w tym Program Wspólnych Przedsięwzięć, Gospostrateg, program kształcenia dualnego, program Lider – dla młodych naukowców). Jak podkreślił dr Zbigniew Dokurno, kierunek medyczny, uruchomiony przez Uniwersytet Opolski, ma szanse na dynamiczny rozwój także dzięki możliwościom, jakie oferuje NCBiR.

I2.OI Samodzielna Katedra Biosystematyki była organizatorem kolejnej Nocy Biologów, podczas której można było m.in. przyjrzeć się fantomom z zainstalowanymi, pracującymi sztucznymi sercami: częściowo i całkowicie wszczepialnymi; obejrzeć, a nawet uczestniczyć w operacji z użyciem mechatronicznych narzędzi chirurgicznych (pokaz prowadził prof. dr hab. n. med. Zbigniew Nawrat, dyrektor Instytutu Protez Sercowych, działającego przy Fundacji Rozwoju Kardiologii im. prof. Zbigniewa Religi). A w Muzeum UO – wziąć udział w warsztatach paleontologicznych (mgr Rafał Janowski), zwieńczonych... badaniem posadzki w muzealnej kaplicy i wysłuchać wykładów, m.in. o tym, jak wyglądał świat 90 milionów lat temu oraz na czym polegała ewolucja małych kotowatych.

- Gośćmi prezydenta Opola Arkadiusza Wiśniewskiego byli prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i zastępca kanclerza Marcin Miga. Podczas spotkania rozmawiano o możliwości udziału miasta w dofinansowaniu kierunku lekarskiego w 2018 roku.

I2–I3.OI Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk uczestniczył w kolejnym posiedzeniu Konferencji Rektorów Uniwersytetów Śląskich, obradującej w Katowicach, podczas którego omawiano projekt „Encyklopedii śląskiej” oraz plan konferencji z okazji setnej rocznicy odrodzenia państwowości polskiej i czeskiej.

I6.OI W kompleksie sanatoryjno-hotelowym w Sulisławiu, na zaproszenie właściciela – Jerzego Bara, gościli: prorektor ds. zarządzania i promocji prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, rektor prof. dr hab. Marek Masnyk, wicemarszałek woj. opolskiego Roman Kolek, dyrektor Biura Projektów Strategicznych UO Grzegorz Sawicki, zastępca kanclerza Marcin Miga oraz lekarze – dr n. med. Piotr Feusette, prof. dr hab. n. med. Marek Gierlotka i dr n. med. Jerzy Sacha. Podczas spotkania omawiano plany utworzenia centrum naukowo-badawczego w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym.

- Stas Wojciechowicz, pierwszy rabin Centrum Społeczności Postępowej i Synagogi Ec Chaim Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Warszawie, gościł na Wydziale Teologicznym UO. Tematem spotkania ze studentami był „Judaizm postępowy w wolnej Polsce”.

I8.OI „Człowiek w zwierciadle. Szkice o literaturze francuskiej” – to tytuł najnowszej książki prof. dr hab. Krystyny Modrzejewskiej, którą autorka prezentowała podczas wieczoru autorskiego w Auli Błękitnej Collegium Maius. Spotkanie prowadził mgr Tomasz Różycki.

I9.OI Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk uczestniczył w kolejnym posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Nauki, która obradowała w Warszawie. Podczas spotkania podsumowano konsultacje dotyczące Ustawy 2.0, omówiono także finansowanie nauki w roku 2018 oraz kategoryzację jednostek naukowych.

- Z udziałem rektora prof. dr hab. Marka Masnyka oraz prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabelli Pisarek, prof. UO, w Studenckim Centrum Kultury UO odbyła się Gala Laurów Uniwersyteckich, podczas której rektor wręczał nagrody wyróżnionym studentom. Gala Laurów Uniwersyteckich, organizowana przez Forum Uniwersytetów Polskich, ma na celu wyłonienie liderów i inicjatyw studenckich, realizowanych na uczelniach zrzeszonych w autonomicznym porozumieniu Forum Uniwersytetów Polskich. Wyróżnienia są przyznawane w kilku kategoriach. Wśród nominowanych do nagrody były m.in. akademik „Kmicic” oraz Akademicki Inkubator Przedsiębiorczości. Wydarzenie zorganizował Samorząd Studencki UO, pod honorowym patronatem marszałka województwa opolskiego.

23.OI Na zaproszenie ministra nauki i szkolnictwa wyższego Jarosława Gowina rektor prof. dr hab. Marek Masnyk wziął udział w konferencji pt. „Prezentacja projektu Ustawa 2.0 po konsultacjach społecznych”.

29.OI W Opolskim Centrum Onkologii prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak wzięła udział w uroczystym podsumowaniu realizacji zadania (w ramach Marszałkowskiego Budżetu Obywatelskiego): „Chemioterapia bez utraty włosów – to jest możliwe. Nowoczesny system chłodzenia głowy wspierający przeciwnowotworowe leczenie”. Spotkanie prowadziła dr n. med. Barbara Radecka, pomysłodawczyni projektu, a uczestniczyli w nim m.in. wicewojewoda Violetta Porowska, marszałek woj. opolskiego Andrzej Buła, wicemarszałek Roman Kolek, przewodniczący sejmiku województwa dr n. med. Norbert Krajczyk i rektor PMWSZ dr Tomasz Halski. Dzięki rozpropagowaniu akcji „Oddaj głos na włos”, w którą zaangażowało się także nasze środowisko, projekt zakupu systemu do schładzania skóry głowy podczas chemioterapii, co pomaga uratować włosy pacjentek, otrzymał największą głośność ze wszystkich projektów tzw. subregionalnych, czyli dotyczących miasta Opola i powiatu Opole. Podczas uroczystości w Opolskim Centrum Onkologii, symbolicznym przecięciem wstęgi otwarty został gabinet, w którym zainstalowano aparaturę na dwa stanowiska.



29 I 2018. W Opolskim Centrum Onkologii otwarto gabinet z aparaturą do chłodzenia głowy, ograniczającą wypadanie włosów podczas chemioterapii. Na zdjęciu – dr Barbara Radecka, pomysłodawczyni zakupu tego systemu

I.O2 W sali anatomii wirtualnej Collegium Medicum odbyła się prezentacja aplikacji „Wirtualne serce” – z udziałem prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak oraz darczyńców aplikacji: przedstawicieli opolskiej spółki Wodociągi i Kanalizacja sp. z o.o. „Wirtualne serce” to nowatorska aplikacja wykorzystująca możliwości wirtualnej i rozszerzonej rzeczywistości, opracowana przez grafików z gliwickiego przedsiębiorstwa gier komputerowych The Farm 51 Group, przy zaangażowaniu Fundacji Rozwoju Kardiologii im. prof. Zbigniewa Religi w Zabrze, Uniwersytetu Opolskiego oraz firmy Microsoft. Dzięki aplikacji studenci kierunku lekarskiego będą mogli poznać anatomię serca, przyjrzeć się jego pracy, rozpoznać stany patologiczne zastawki trójdzielnej. Podczas prezentacji „Wirtualnego serca” obecni byli także: Michał Grzesiczek i Piotr Budzisz z firmy The Farm 51 z Gliwic, wiceprezes opolskiej spółki WiK Mateusz Filipowski, dr hab. n. med. Piotr Wilczek, prof. IPS, z Fundacji Rozwoju Kardiologii w Zabrze, wykładowcy kierunku lekarskiego – dr hab. n. med. Zenon Halaba, prof. UO i dr hab. n. med. Marian Simka oraz Marek Ganczarski, dyrektor Centrum Informatycznego UO. Więcej na str. 99.

I.02



1 I 2018. W sali anatomii wirtualnej Collegium Medicum odbyła się prezentacja aplikacji „Wirtualne serce”. Na zdjęciu – Piotr Budzisz z gliwickiej firmy The Farm 51 Group

• Jak co roku, na opolskim Rynku tegoroczni maturzyści odtęczyli poloneza, którego poprowadził Zygmunt Babiak, aktor Teatru im. Jana Kochanowskiego wraz z Kamilą Świerc, Miss Polski 2017, a odtęczyli, wraz z maturzystami, rektor prof. dr hab. Marek Masnyk – z siatkarką UNI Opole Magdaleną Woźniczka i prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski w parze ze studentką naszego uniwersytetu Moniką Twardawski.



1 II 2018. Tegoroczni maturzyści odtęczyli poloneza na opolskim Rynku. Na zdjęciu aktor Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu i Miss Polski 2017, opolanka Kamila Świerc, w drugiej parze – prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski i studentka Uniwersytetu Opolskiego Monika Twardawski, za nimi – rektor UO prof. Marek Masnyk i siatkarka AZS UNI Opole Magdaleną Woźniczka (fot. Tadeusz Parcej)

2.02

Promocja opolskiej paleontologii była tematem rozmowy prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, dr hab. Eleny Jagt-Yazykowej, prof. UO i dr hab. Adama Bodziocha, prof. UO (Samodzielna Katedra Biosystematyki) z wicewojewodą opolską Violetą Porowską.

• Hotel „Słociak” w Opolu po raz kolejny już gościł uczestników Balu Uniwersytetu Opolskiego, podczas którego odbyła się aukcja charytatywna – licytowano piłkę z podpisami Kuby Błaszczykowskiego, O.S.T.R.A, Ani Wyszkonii, Tomasza Wilczka, Joanny Jędrzejczyk, kabaretu PARANIENORMALNI, Piotra Gruszki, Piotra Gacka, Jerzego Brzeczka, Marcina Wasilewskiego i Pawła Małaczyńskiego. Dochód z licytacji (ponad 3 tys. złotych) przeznaczono na zakup nowego wózka inwalidzkiego dla studentki prawa, Aleksandry Zagórskiej.

3.02

Podczas 10. gali wręczenia „Plastrów Miodu” – nagród starosty kluczborskiego – połączonej z balem charytatywnym, prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak odebrała nagrodę w kategorii: nauka. „Plastry Miodu” przyznawane są za szczególne osiągnięcia na rzecz rozwoju i promocji powiatu kluczborskiego w kilku kategoriach: biznes, turystyka, kultura, sport, nauka, promocja powiatu, całokształt działalności. Kapituła nagrody doceniła pracę prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, inicjatorce i realizatorce projektu utworzenia kierunku lekarskiego na Uniwersytecie Opolskim, z którym będą współpracowały oddziały kluczborskiego szpitala. Uroczystość odbyła się w Hali Ośrodka Sportu i Rekreacji w Kluczborku.



3 II 2018. Prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak odbiera nagrodę starosty kluczborskiego „Plastry Miodu” (fot. Mirosław Dragon)

6.02

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i zastępca kanclerza Marcin Miga byli gośćmi ministra Patryka Jakiego, sekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości – spotkanie poświęcone było omówieniu możliwości wsparcia finansowego (z funduszy ministerialnych) planów utworzenia centrum referencyjnego medycyny sądowej w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym.

7.02

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i zastępca kanclerza Marcin Miga spotkali się z Piotrem Woźnym, podsekretarzem stanu w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii, a także z Kazimierzem Basińskim, naczelnikiem Wydziału Inwestycji i Nieruchomości Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, wzięli też udział w spotkaniu – w Ministerstwie Zdrowia – dotyczącym naboru wniosków w ramach Działania 5.3 Wysoka jakość kształcenia na kierunkach medycznych POWER. Nasz uniwersytet złożył wniosek o dofinansowanie budowy centrum symulacji medycznej.

WYRÓŻNIENIE AMERYKAŃSKIEGO TOWARZYSTWA FIZYCZNEGO

Prof. dr hab. Piotr Garbaczewski z Katedry Astrofizyki i Fizyki Teoretycznej Instytutu Fizyki UO został wyróżniony w programie „Outstanding Referees” American Physical Society (APS).

Wyróżnienie przyznano za publikację recenzji, które przyczyniają się do utrzymania wysokiego standardu czasopism wydawanych przez APS oraz podnoszenia jakości przekazywanych treści. Prof. dr hab. Piotr Garbaczewski reprezentuje Instytut Fizyki UO w międzynarodowym gronie recenzentów takich czasopism, jak „Physical Review” i „Physical Review Letters”. W 2018 r. grono edytorskie American Physical Society wyróżniło 150 osób wybranych z grupy ponad 60 000 recenzentów.

(b)

RADOSŁAW ŚWIĘŚ

NASZE SREBRO, KRYSZTAŁ I DIAMENT Laury dla przyjaciół uniwersytetu

KAROL CEBULA – wielki filantrop, przedsiębiorca, Honorowy Senator UO i przyjaciel naszej uczelni otrzymał Diamentowy Laur Umiejętności i Kompetencji, jako druga osoba w opolskiej historii nagrody. Wcześniej, w 1995 roku, laureatem wyróżnienia przyznawanego wybitnym postaciom, których postawy i czyny mają wpływ nie tylko na bezpośrednie otoczenie, ale cały kraj i świat, został abp Alfons Nossol. Na liście wyróżnionych znajdują się również m.in. papież Jan Paweł II, prof. Jerzy Buzek, Zbigniew Brzeziński, Vaclav Havel, Władysław Bartoszewski, Jose Manuel Barroso.



Karol Cebula: To ogromna przyjemność, kiedy możesz komuś pomóc...

Laury od 27 lat przyznają kapituły: regionalna w Katowicach i lokalna, powoływana przez Opolską Izbę Gospodarczą (organizatora gali, która tym razem odbyła się 12 stycznia 2018 r. w Okrągłaku). Poza diamentowymi, przyznawane są też laury kryształowe (w tym roku 2), platynowe (5), złote (11) i srebrne (37). Celem tego przedsięwzięcia jest docenienie i promocja ważnych osób, m.in. biznesmenów i samorządowców, oraz instytucji i firm zasłużonych dla regionu i swoich lokalnych społeczności.

Laudację na cześć Karola Cebuli wygłosił **prof. Stanisław S. Nicieja**. – Próbowałem skrócić ją trochę, ale w przypadku człowieka takiego jak Karol Cebula to nie jest proste – rozpoczął. – To wielki wizjoner, kreator, człowiek o niesamowitej wrażliwości społecznej, skłonny do niesłychanych gestów dobroci.

Profesor mówił o rodzinnych korzeniach Karola Cebuli, ale przede wszystkim o jego filantropii, empatii, zrozumieniu drugiego człowieka, a także wielkich zasługach

dla Uniwersytetu Opolskiego, który wspiera m.in. stypendiami, dotacjami na pomniki na wzgórzu uniwersyteckim (m.in. „Cztery Pory Roku”, pomniki Agnieszki Osieckiej, Czesława Niemena, Marka Grechuty, Edmunda Osmańczyka, Jeremiego Przybory, Wojciecha Młynarskiego), a ostatnio – wielkim zaangażowaniem w budowanie kierunku lekarskiego i Collegium Medicum UO. – Karol Cebula nigdy nie dbał o własne bogactwo. Umiął się nim dzielić, a wręcz rozdawać. Gdyby, jak inni bogaci ludzie, kumulował zarobione pieniądze, byłby dziś jednym z najbogatszych Polaków – mówił profesor Nicieja.

Sam laureat nie krył wzruszenia z powodu wyróżnienia. – Zbliżam się do dziewięćdziesiątki. Od 67 lat jestem nie tylko przedsiębiorcą, ale i działaczem społecznym, co wyniosłem z domu, od mojego ojca. Nie, nie jestem bohaterem. To, co robię, ma egoistyczne korzenie. Mogę rzec, że zostałem dziś nagrodzony za sprawianie sobie przyjemności, bo to jest ogromna przyjemność, kiedy możesz komuś pomóc. Wszedł niedawno do mojego biura człowiek wielce uradowany i mówi: „panie Karolu, ja tu wszedłem sam, bez niczyjej pomocy. Dzięki panu mogę chodzić. To pana nogi!”. Przyjechała też dziewczynka skazana na śmierć, dla której jedyną szansą była operacja w Niemczech. Po operacji wróciła i wskoczyła mi na szyję. Wiedzą państwo, jakie to piękne, ile daje to radości? – przemawiał laureat. – Tak, jestem egoistą. To niesamowita przyjemność – kontynuował. – Czasem wybieram się na wzgórze uniwersyteckie. Staję z boku i patrzę, jak wiele osób przychodzi tam do Młynarskiego. Siadają, rozmawiają. A ja się przyglądam i cieszę... Powiem wam, że mam cudowną starość. Jestem szczęśliwy, uśmiecham się. Ktoś mi kiedyś powiedział, że mnie łatwiej być szczęśliwym, bo mam dużo pieniędzy. No to spójrzcie na prałata Zygmunta Lubienieckiego (otrzymał Kryształowy Laur Umiejętności i Kompetencji z Diamentem – przyp. red.) lub na prof. Dorotę Simonides (również nagrodzona laurem), dziś nieobecna. Oni też są wiekowemu, nie mają pieniędzy jak ja, a są szczęśliwi. Wiecie czemu? Bo wszyscy jesteśmy kowalami swojej starości.

Kryształowy Laur Umiejętności i Kompetencji otrzymał nieobecny na uroczystości **dr n. med. Dariusz Łątka** z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Opolu. Ten wybitny lekarz, co podkreślono w werdykcie kapituły, został nagrodzony za wielki wkład w utworzenie opolskiej neurochirurgii, która w 2017 roku obchodziła 20-lecie, a także za pracę na rzecz powołania kierunku lekarskiego na Uniwersytecie Opolskim.

Zaangażowana w powołanie kierunku lekarskiego była też **dr n. med. Barbara Radecka**, onkolog, wykładowczyni na kierunku lekarskim UO. Otrzymała Srebrny Laur Umiejętności Kompetencji w kategorii medycyna i inżynieria biomedyczna. – Jestem dumna z wyróżnienia, bo to oznacza, że nasza, lekarzy, praca z chorymi jest doceniana. No i jest to także pewien sygnał dla naszych młodszych kolegów, że warto się starać, robić coś więcej, niż wynika z grafiku – dodała.

STANISŁAW S. NICIEJA

BIZNESMEN, SPOŁECZNIK, FILANTROP

(laudacja wygłoszona z okazji przyznania Karolowi Cebuli Diamentowego Lauru Umiejętności i Kompetencji)



Laudację na cześć Karola Cebuli wygłosił prof. Stanisław S. Nicieja

Karol Cebula (rocznik 1931) wywodzi się ze starej śląskiej mieszczańskiej rodziny, której gniazdem rodowym są Gliwice. Jego ojciec, Teodor Cebula (1899–1950), z wykształcenia był ślusarzem, całe życie zajmował się jednak biznesem. Był komiwojażerem – prowadził sprzedaż dzieł sztuki oraz książek i na tym zrobił duże pieniądze. Był znanym działaczem polonijnym w Niemczech i uczestnikiem powstań śląskich na niemieckim wówczas Śląsku. Czuł się Polakiem i marzył, aby Gliwice stały się kiedyś miastem polskim. Gdy przed wybuchem II wojny światowej hitlerowcy wzmocnili terror w stosunku do polskiej mniejszości na Śląsku, rodzina

Cebulów została poddana represjom. Skonfiskowano im okazałą, stojącą przy Kanale Gliwickim kamienicę oraz sklep wielobranżowy. Hitlerowcy nie mogli darować Teodorowi Cebuli, że ostentacyjnie demonstrował swą polskość. Trafił więc do więzienia, gdzie bez wyroku przesiedział trzy lata.

Matką Karola Cebuli była gliwiczanka – Józefina Baer (1899–1940). Mimo niemieckiego nazwiska, była polską patriotką. Zmarła przy porodzie, będąc w pewnym sensie ofiarą hitlerowskiego rozporządzenia, że w wypadku trudnego porodu, gdy jest ryzyko śmierci dziecka albo matki, lekarz miał obowiązek ratować w pierwszym rzę-

dzie dziecko. Narodzone dziecko przeżyło matkę tylko o 10 miesięcy. Teodor Cebula do końca swego życia uważał, że hitlerowcy zabrali mu ukochaną żonę. Małżeństwo Cebulów było wyjątkowo udane i dobrze sytuowane.

Lata chłopięce Karola Cebuli przypadły na czas wojny i położyły się wielkim cieniem na jego młodzieńczej biografii. Przez całą wojnę uczęszczał do szkoły niemieckiej. Język polski znał tylko z domu. Zapamiętał z lat szkolnych alianckie naloty na Kędzierzyn, gdzie produkowano benzynę syntetyczną.

Od początku 1945 roku Armia Czerwona, dzień po dniu, wypierała ze Śląska przegrywających wojnę Niemców. 14-letni Karol był świadkiem, 21 stycznia 1945 roku, wejścia Rosjan do Gliwic i zajmowania przez nich poszczególnych dzielnic miasta. Widział, jak z sąsiedniego domu Rosjanie wyprowadzili z piwnic zgromadzonych tam mężczyzn i rozstrzelali. Przypadek zdecydował, że gdy Rosjanie znaleźli ukrywających się w piwnicy Karola i jego ojca, nie podzielili oni losu swych sąsiadów. W piwnicy tej bowiem ukrywał się również Ukrainiec, robotnik wywieziony tu na roboty przymusowe. Powiedział o Cebulach Rosjanom, że to Polacy, życzliwi i pomagający mu w nieszczęściu. Oświadczenie Ukraińca uratowało Cebulom życie.

Ojciec, pragnąc zabezpieczyć wyrosłego ponad wiek Karola (182 cm wzrostu) przed wywózką w głąb Rosji, dopisał do jego metryki pięć lat i wpadł na przewrotny pomysł, aby wstąpił on do oddziału Armii Czerwonej, który stacjonował w Gliwicach. Był to fortel na miarę wyobraźni Henryka Sienkiewicza. W ten sposób Karol Cebula, na półtora roku, stał się czerwonoarmistą pracującym na zapleczu frontu jako pocztylion, kursując na trasie Gliwice–Wrocław–Legnica. Wówczas widział, co działo się na Śląsku: ogromne fale przesiedleńców, opustoszałe domy i miasteczka, watahy szabrowników i rabusiów, pełne dworce wygnańców i osadników, szczęście i nieszczęście, krew i łzy.

Jego późniejsza biografia przypomina losy innych śląskich selfmademanów, tak wybitnych, jak choćby Karol Godula – król śląskiego hutnictwa cynkowego, Józef Szoltysek Spencer – śląski wynalazca defibrylatora, oraz Alojzy i Norbert Kwaśniok (fundator pomnika Jana Dobrego w Opolu). To są ludzie pracy organicznej. Można ich przyrównywać do twórców polskiego przemysłu, takich jak choćby Hipolit Cegielski w Wielkopolsce, Stanisław Szczepanowski w Galicji czy Aleksander Skirmunt na Polesiu.

W 1946 roku Karol Cebula został zwolniony z wojska. Miał piętnaście lat i wspólnie z ojcem udał się do Głubczyc, gdzie znajdowała się w stanie nienaruszonym niemiecka fabryka bomb „Awia”. Teodor Cebula miał firmę rozbiórkową, która podjęła się przewiezienia pięciu dużych hal „Awii” do Milowic koło Sosnowca, co zajęło pięć miesięcy. Stoją w Milowicach do dziś – produkuje się w nich butle gazowe.

Tam, w Głubczycach, Karol praktycznie uczył się kierowania firmą. Po powrocie do Gliwic podjął naukę w szkole, aby uzyskać świadectwo dojrzałości i praktyczny zawód technika budownictwa naziemnego. Jako technik z wykształcenia, podejmował się różnych zadziwiających prac. Brał udział m.in. we wznoszeniu gmachu operetki gliwickiej, budował też tzw. szybkościowce na gliwickim osiedlu „Trynek”. Był to czas wyścigu pracy i Karol Cebula, chcąc nie chcąc, uczestniczył w tych przedsięwzięciach, które miały na celu szybką budowę domów mieszkalnych – stawiano dom dwupiętrowy w ciągu np. tygodnia, z tym że proces przygotowania do bicia rekordu trwał czasem pół roku.

W 1950 roku przeniósł się do Jeleniej Góry, gdzie stworzył biuro projektowe i zajął się przebudową sieci sklepów. W 1951 roku uczestniczył w odbudowie zabytkowego hotelu „Śnieżka” w Szklarskiej Porębie. W 1952 roku związał się we Wrocławiu z przedsiębiorstwem wiertniczym, wykonującym studnie głębinowe i poszukującym złóż szamotowych. Prowadził wiercenia w Wałbrzychu, Legnicy i Nysie.

W 1953 roku związał się ze Strzelcami Opolskimi i rozpoczął działalność jako właściciel firmy. Początkowo zajmował się wierceniem studni głębinowych i ustalaniem miejsc, gdzie takie studnie można wiercić. Później rozpoczął produkcję zabawek z metali i tworzyw sztucznych. W 1958 roku uruchomił zakład ślusarsko-tokarski, który przez kilkadziesiąt lat świadczył usługi wyłącznie na eksport, specjalizując się w produkcji części do maszyn z materiałów powierzonych przez firmy zagraniczne, bo w PRL nie było takich komponentów.

Po zmianie systemu politycznego w Polsce, u schyłku lat osiemdziesiątych, powołał do życia spółkę „Intersilesia” w Strzelcach Opolskich. Spółka ta trudniła się pierwotnie transportem międzynarodowym, później importem napojów bezalkoholowych oraz chemii gospodarczej. Następnie, z firmą niemiecką Schmees, rozpoczął produkcję kosmetyków i artykułów chemii gospodarczej, stając się z czasem znaczącym producentem na rynku polskim i zagranicznym.

W 1998 roku „Intersilesia” stała się spółką polsko-angielską. Wyposażona w nowoczesne maszyny, zatrudniała około 400 pracowników. W 2000 roku w konkursie na „Najlepszy Produkt Opolszczyzny” otrzymała najwyższy laur.

Karol Cebula ma ugruntowaną opinię społecznika niezwykłej klasy i wrażliwości, który pracuje na rzecz własnego otoczenia. Gdyby kumulował zarobione pieniądze, byłby dziś jednym z najbogatszych ludzi w Polsce. Cebula nigdy nie dbał o własne bogactwo. Umiał się nim dzielić. A zdarzało się, że je rozdawał. Za swoją działalność gospodarczą i społeczną był wielokrotnie nagradzany i wyróżniany.

Jest posiadaczem m.in. Złotego Lauru Umiejętności i Kompetencji, otrzymał prestiżową nagrodę „Nowej Trybuny Opolskiej” – „Złotą Spinkę” w kategorii biznesu. W 2003 roku został wyróżniony przez ministra Waldemara Dąbrowskiego tytułem „Mecenasa Kultury”. Posiada dwie statuetki „Lidera Polskiego Biznesu”.

Jest fundatorem wielu pomników, m.in.: „Piety Śląskiej” w Strzelcach Opolskich (poświęconej ofiarom wojen i przemocy), kompleksu barokowych rzeźb personifikujących cztery pory roku, które zdobią wzgórze uniwersyteckie w Opolu. Ma poważny udział finansowy w stworzeniu unikatowych rzeźb współczesnych, przedstawiających wybitnych poetów i muzyków, twórców polskiej piosenki, m.in. Agnieszki Osieckiej, Czesława Niemena, Marka Grechuty, Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego, Jonasza Kofty, Wojciecha Młynarskiego, a także Jerzego Grotowskiego i Edmunda Osmańczyka. Te rzeźby, które są dziś ozdobą ogrodów uniwersyteckich w Opolu, wsparł znaczną kwotą, a odsłonięciu tych pomników towarzyszyły duże koncerty, które również finansował.

Łożył też pieniądze na wsparcie domów dziecka, Związku Emerytów, Polskiego Czerwonego Krzyża, związków kombatanów, szpitali, domów pomocy społecznej, klubów sportowych, straży pożarnej. Wspierał finansowo Teatr Nowy w Warszawie, Teatr Łalki i Aktora w Opolu, zespół „Śląsk”, Filharmonię Opolską, Teatr im. Kochanowskiego w Opolu, Towarzystwo Przyjaciół Śląska w Warszawie, Uniwersyteckie Stowarzyszenie na rzecz Ratowania Zabytków Śląska Opolskiego. Był i jest od lat przyjacielem artystów. Znana jest jego przyjaźń z Adamem Hanuszkiewiczem i Danielem Olbrychskim.

Na przełomie lat 80. i 90. XX wieku był bardzo aktywnym działaczem Stronnictwa Demokratycznego. Miał

swój udział w zawarciu historycznej koalicji Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Demokratycznego i NSZZ „Solidarność”, która utorowała drogę do premierostwa Tadeuszowi Mazowieckiemu. W latach 1989–1991 był sędzią Trybunału Stanu i delegatem Polski do Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie. W tym czasie spotykał się m.in. z kanclerzem Helmutem Kohlem. Jest też wydawcą pisma regionalnego „Strzelec”. I honorowym senatorem Uniwersytetu Opolskiego, fundatorem stypendiów naukowych, jednym z głównych inspiratorów powstania w Opolu kierunku lekarskiego i Collegium Medicum UO.

Nie sposób wymienić wszystkich zasług Karola Cebuli. Jest to człowiek skłonny zawsze do gestów dobroci. Filantrop – sięgający do swego portfela, gdy tylko wymaga tego zaistniała sytuacja. Jego wrażliwość społeczna i instynkt polityczny działają jak czuły barometr.

Karol Cebula jest wizjonerski i kreatywny. Posiada wielki dar skupiania wokół siebie ludzi, dzielenia się sukcesem i radością. Daje poczucie bezpieczeństwa i głębokiego sensu życia.

Diamentowy Laur Umiejętności i Kompetencji trafia dziś w wyjątkowo godne ręce.

PROF. JOANNA CZAPLIŃSKA WYRÓŻNIONA PRZEZ CZECHÓW

DR HAB. JOANNA CZAPLIŃSKA, PROF. UO, dziekan Wydziału Filologicznego UO, znana i uznana bohemistka, od roku przewodnicząca Rady Naukowej Czeskiej Bibliografii Literaturoznawczej (instytutu badawczego Czeskiej Akademii Nauk) została właśnie członkiem Międzynarodowej Rady Uniwersytetu Południowoczeskiego w Czeskich Budziejowicach.



Prof. Joanna Czaplinska (fot. Sylwester Koral)

Międzynarodowa Rada Uniwersytetu Południowoczeskiego jest organem doradczym rektora i senatu tej uczelni, wspierającym jej rozwój. Uczestnictwo w niej – ogromnym wyróżnieniem ze strony tej prestiżowej, czeskiej szkoły wyższej.

Dr hab. Joanna Czaplinska nim w pełni poświęciła się pracy naukowej, zajmowała się dziennikarstwem prasowym i telewizyjnym. Przez wiele lat była komentatorką Czeskiej Sekcji Radia BBC. Jest tłumaczką literatury czeskiej, zwłaszcza SF, autorką monografii naukowych:

„Dziedzictwo robota. Współczesna czeska fantastyka naukowa”, „Tożsamość banity. Problematyka autoidentyfikacji w młodej czeskiej prozie emigracyjnej po 1968 roku”.

W latach 2002–2005 była kierowniczką grantu badawczego KBN pt. „Czeskie prozatorskie debiuty emigracyjne po 1968 roku”. W latach 2008–2013 koordynowała projekt „Polsko-czeskie partnerstwo kulturowo-dydaktyczne”, realizowany wraz z Uniwersytetem Palackiego w Ołomuńcu, w ramach Programu Operacyjnego

Współpracy Transgranicznej Republika Czeska-Rzeczpospolita Polska. W latach 2008–2011 była też koordynatorką grantu Funduszu Wyszehradzkiego na uruchomienie nowego przedmiotu – „Literatury emigracyjne państw Grupy Wyszehradzkiej i innych narodów słowiańskich”. Jest członkinią komitetów naukowych czasopism: „Česká literatura”, „Tahy”, „Lithicon”. A ostatnio została

na w skład jury Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, któremu przewodniczy prof. Maciej Wróblewski. Nagroda jest przyznawana za najlepsze, oryginalne prozatorskie utwory polskojęzyczne, utrzymane w konwencji fantastyki, które ukazały się w 2017 r.

(b)

ZASŁUŻONA DR MARZANNA POGORZELSKA Radni Kędzierzyna-Koźła docenili pracę na rzecz tolerancji



28 grudnia 2017 r., w trakcie uroczystej sesji Rady Miasta Kędzierzyna-Koźła, radni przyznali dr Marzannie Pogorzelskiej tytuł „Zasłużonej dla Miasta Kędzierzyna-Koźła” (fot. Grzegorz Stępień)

Rada Miasta Kędzierzyna-Koźła nadała tytuł honorowy „Zasłużona dla Miasta Kędzierzyna-Koźła” dr Marzannie Pogorzelskiej, byłej nauczycielce I Liceum Ogólnokształcącego w Kędzierzynie-Koźlu, obecnie wykładowczyni Uniwersytetu Opolskiego. Tytuł został przyznany w uznaniu jej wieloletniej pracy na rzecz praw człowieka, tolerancji i wartości międzykulturowych. Zwrócono przy tym uwagę m.in. na realizowany przez dr Marzannę Pogorzelską, wraz z młodzieżą, projekt historyczny dotyczący dawnej społeczności żydowskiej w Kędzierzynie-Koźlu oraz edukacji o Holokauście.

Jak piszą wnioskodawcy tytułu: „działania te miały olbrzymi wpływ na wychowanie wielu roczników młodzieży Kędzierzyna-Koźła i okolic. Marzanna Pogorzelska,

jako nauczyciel, nie tylko nauczwała, ale i wychowywała powierzonych jej opiece uczniów. Stała się symbolem i ikoną kozielskiego liceum, wzorem pedagoga i wychowawcy, inspiracją dla wielu swoich uczniów, niestrudzenie szerząc idee praw człowieka, tolerancji, pamięci historycznej i aktywności obywatelskiej”.

To kolejne wyróżnienie i dowód uznania dla jej pracy. Za swoją działalność dr Marzanna Pogorzelska otrzymała kilka prestiżowych nagród, w tym o zasięgu europejskim i ogólnopolskim, jak Europejska Nagroda Tolerancji (2008) i Nagroda im. Ireny Sendlerowej „Za naprawianie świata” (2010).

(b)

DR KATARZYNA KSIĄŻEK FINALISTKĄ KONKURSU „POPULARYZATOR NAUKI”

DR KATARZYNA KSIĄŻEK z Instytutu Fizyki UO jest finalistką XIII edycji konkursu Popularyzator Nauki, w kategorii Naukowiec, organizowanego przez serwis PAP – Nauka w Polsce oraz Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. W konkursie nagradzane są osoby i instytucje, które pomagają innym lepiej zrozumieć świat i potrafią zainteresować osiągnięciami naukowymi osoby na co dzień z nauką niezwiązane.



Finaliści XIII edycji konkursu Popularyzator Nauki. Na zdjęciu, pierwsza z prawej – dr Katarzyna Książek z Instytutu Fizyki UO

Wyniki 13. edycji konkursu ogłoszono 15 stycznia br. w Warszawie podczas uroczystej gali w Centrum Nauki Kopernik, w której uczestniczyli m.in. wicepremier, minister nauki i szkolnictwa wyższego **Jarosław Gowin** oraz prezes Polskiej Agencji Prasowej **Wojciech Surmacz**.

Dr Katarzyna Książek od lat organizuje spotkania naukowców z mieszkańcami Opolszczyzny, prezentując doświadczenia fizyczne podczas Pikników Naukowych Opolskich Festiwali Nauki, których jest koordynatorką. Wspólnie z zespołem naukowców Instytutu Fizyki UO organizowała 10 edycji Międzyszkolnych Turniejów Fizycznych w dziesięciu szkołach Opolszczyzny. Wraz z Kółkiem Naukowym Fizyków i kolegami z Instytutu Fizyki, zaprasza młodzież do konkursów fotograficznych, plastycznych, literackich i badawczych pod wspólną nazwą „Odkrywca Światów”. Laureaci konkursów badawczych

uczestniczą w obozach naukowych organizowanych przez uruchomioną przez nią Wirtualną Akademię Astronomii, w której zarejestrowanych jest dziś ok. 600 uczniów (trzyletnią akademię ukończyło już ok. 80 uczniów, otrzymując dyplom młodszego astronoma).

Dr Katarzyna Książek brała udział w dwóch filmach, popularyzujących współpracę biznesu i nauki. Organizowała szkolenia z obsługi teleskopów robotycznych – nocnych i słonecznych. Od roku prowadzi dla uczniów Środowiskowe Kółko Astronomiczne na dwóch poziomach edukacyjnych, wygłasza wykłady popularnonaukowe z astronomii i fizyki, prezentuje pokazy zjawisk fizycznych.

(b)

2

INDEKS

PUBLICYSTYKA, SZTUKA

Artykuły

Eseje

Wywiady

Felietony

21

str.

94



Prof. Dariusz Doliński po wykładzie na Uniwersytecie Opolskim, 2015 r. (fot. z archiwum redakcji)

BARBARA STANKIEWICZ

„POSŁUSZNI DO BÓLU...”

Stanley Milgram, amerykański psycholog społeczny, zasłynął za sprawą eksperymentu, który miał na celu zbadanie skłonności ludzi do ulegania autorytetom. Pół wieku po Milgramie jego eksperyment powtórzyli psycholodzy społeczni z wrocławskiego wydziału Uniwersytetu Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej: prof. dr hab. Dariusz Doliński i dr Tomasz Grzyb. Sprawdzali, jaki poziom posłuszeństwa panuje wśród mieszkańców Polski. Eksperyment Milgrama i powtórzony po latach eksperyment wrocławskich uczonych był tematem wykładu, który 20 listopada ub. roku, w Instytucie Psychologii UO, wygłosił prof. dr hab. Dariusz Doliński (przed laty –współtwórca i pracownik Instytutu Psychologii Uniwersytetu Opolskiego). Oto fragmenty listopadowego wykładu pt. „Posłuszni do bólu. Milgram w Polsce”.

– Był 20 grudnia 1984 roku. Nowy Jork szykował się do świąt Bożego Narodzenia, wszędzie stały wielkie świerki obwieszane światłami, ludzie robili ostatnie przedświąteczne zakupy. Do recepcji Columbia Presbyterian Hospital w Nowym Jorku, jednego z najlepszych ośrodków

kardiologicznych na świecie, podszedł pięćdziesięcioletni mężczyzna, położył coś na biurku i powiedział: „Nazywam się Stanley Milgram, mam czwarty atak serca”.

– Nie mylił się. Umarł po kilku godzinach na stole operacyjnym. Umarł człowiek, który był największym

psychologiem społecznym w dziejach tej dyscypliny. Człowiek, który zawsze kwestionował zastane prawdy, proponował zupełnie inne rozwiązania empiryczne i teoretyczne. Dla przykładu, w końcu lat siedemdziesiątych Stany Zjednoczone dowiedziały się, że kraj uporał się z takimi negatywnymi zjawiskami, jak uprzedzenia rasowe, antysemityzm... Stanley Milgram powiedział: nie wierzę w deklaracje werbalne, one są bardzo często zafałszowane poprzez motywy poprawności politycznej czy motywy autoprezentacyjne. Milgram mówił: wyobraź sobie, że idziesz do skrzynki pocztowej, a na chodniku pod skrzynką leży zgubiony przez kogoś list. Jest adres, adresatem jest John Smith, jest znaczek. Co zrobisz? Oczywiście, wrzucisz ten list do skrzynki. Ale wyobraź sobie, że list jest zaadresowany na wyraźnie żydowskie nazwisko Aleksandra Rosenzweiga. Co zrobisz? Jeśli nie jesteś antysemitą – wrzucisz list do skrzynki, bo jest ci wszystko jedno, czy to list do Smitha czy Rosenzweiga. Ale jeśli jesteś antysemitą, pomyślisz sobie: co będę pomagał jakiemuś Żydowi. I wyrzucisz list do kosza na śmieci.

– Milgram nie tylko tak myślał. On rozrzucił po nowym Jorku listy zaadresowane do Smitha i Rosenzweiga, podając swój prywatny adres, stąd po kilkunastu dniach wiedział, jaki odsetek listów do niego trafił. Różnica wyniosła 8 punktów procentowych, na korzyść Smitha. Milgram powiedział: to jest miara antysemityzmu, nie deklaracje.

PERSPEKTYWA STULETNIEGO ECHA

– Kolejny eksperyment Milgrama, psychologa społecznego pracującego na Uniwersytecie w Yale, udowodnił, że świat jest naprawdę mały: członkowie jakiegokolwiek dużej społeczności mogą być powiązani ze sobą dzięki krótkim sieciom tzw. pośrednich znajomych. Do każdej, dowolnie wskazanej osoby można dotrzeć za pośrednictwem innych osób, tzw. znajomych-znajomych.

– Nie dlatego jednak przeszedł nie tylko do historii psychologii, ale i nauk społecznych. W roku 1967, a więc 50 lat temu, powiedział do swojego doktoranta, obecnie profesora Thomasa Blanka: „Mam nadzieję, że o naszym eksperymencie będzie się mówić również za sto lat”. Sto lat jeszcze nie minęło, a badania, które Milgram miał na myśli, są najczęściej cytowane w podręcznikach do psychologii społecznej. W każdym, wydanym w Stanach Zjednoczonych, opis jego badań zajmuje średnio

20 stron. W podręcznikach psychologii ogólnej – średnio pięć stron. Nie ma innych badań, które byłyby tak dokładnie analizowane w podręcznikach. I nie wydaje mi się, żeby za kilkadziesiąt lat to się zmieniło.

– Stanley Milgram był uczniem Salomona Ascha, który, badając percepcję długości odcinków, w istocie badał naszą skłonność do konformizmu, wykazując, że pod presją otoczenia ludzie są w stanie zaprzeczać najbardziej oczywistej prawdzie: widząc dwie namalowane na podłodze kreski, potrafią upierać się, że ta krótsza jest dłuższa, tylko dlatego, że nie chcą wyłamać się z grupy. Milgram poszedł o krok dalej. Interesowało go, czy ulegając presji autorytetu, jakim jest eksperymentator, i presji osób, które już go posłuchały, człowiek jest w stanie razić prądem drugiego człowieka, mając świadomość, że zadaje mu ogromny ból. Wielu psychologów społecznych skupiłoby się w tym momencie na badaniu naszego konformizmu. Geniusz Milgrama polegał na tym, że w okamgnieniu zrozumiał, że można tu wykazać coś o wiele więcej, o wiele bardziej szokującego.

– Przypomnę teraz podstawowe fakty i okoliczności. Zaczęło się od ogłoszenia prasowego, które w 1961 r. Stanley Milgram opublikował w lokalnej gazecie w mieście New Haven w stanie Connecticut: „Zapłacimy 4 dolary za poświęconą nam godzinę i pięć centów zwrotu kosztów podróży. Poszukujemy osób do badań nad pamięcią”. Do eksperymentu przystąpiło 40 ochotników w wieku od 20 do 50 lat, z różnym wykształceniem i zawodem. Uczestnik badania spotkał się, w laboratorium, z podstawioną osobą (aktorem), a eksperymentator przydzielił im role: nauczyciela i ucznia. Losowanie było sfginowane: każdy z ochotników odgrywał rolę nauczyciela, zaś aktor był uczniem. Uczestnicy myśleli, że biorą udział w badaniu, którego wyniki mają określić, w jaki sposób kary mogą wpływać na pamięć człowieka. W rzeczywistości Milgram sprawdzał zachowania osób biorących udział w tym teście – skupiał się przede wszystkim na ich bezwzględny posłuszeństwie wobec autorytetu, jakim był eksperymentator. Ucznia przywiązano do krzesła, a jego ręce zostały podłączone do elektrod, po czym nauczyciel wraz z eksperymentatorem udali się do sąsiedniego pomieszczenia. Tam uczestnik badania, czyli nauczyciel, siedział przy aparaturze, która posiadała 30 przycisków i pozwalała aplikować wstrząsy elektryczne o różnym napięciu – od 15 V do 450 V.

– Nauczyciel, za ścianą, wypowiadał za przygotowanej wcześniej listy różne słowa, po czym sprawdzał pamięć siedzącego w sąsiednim pokoju ucznia, który za pomo-



Stanley Milgram (z prawej) i studenci przed generatorem prądu, użytym w słynnym eksperymencie (fot. Internet)

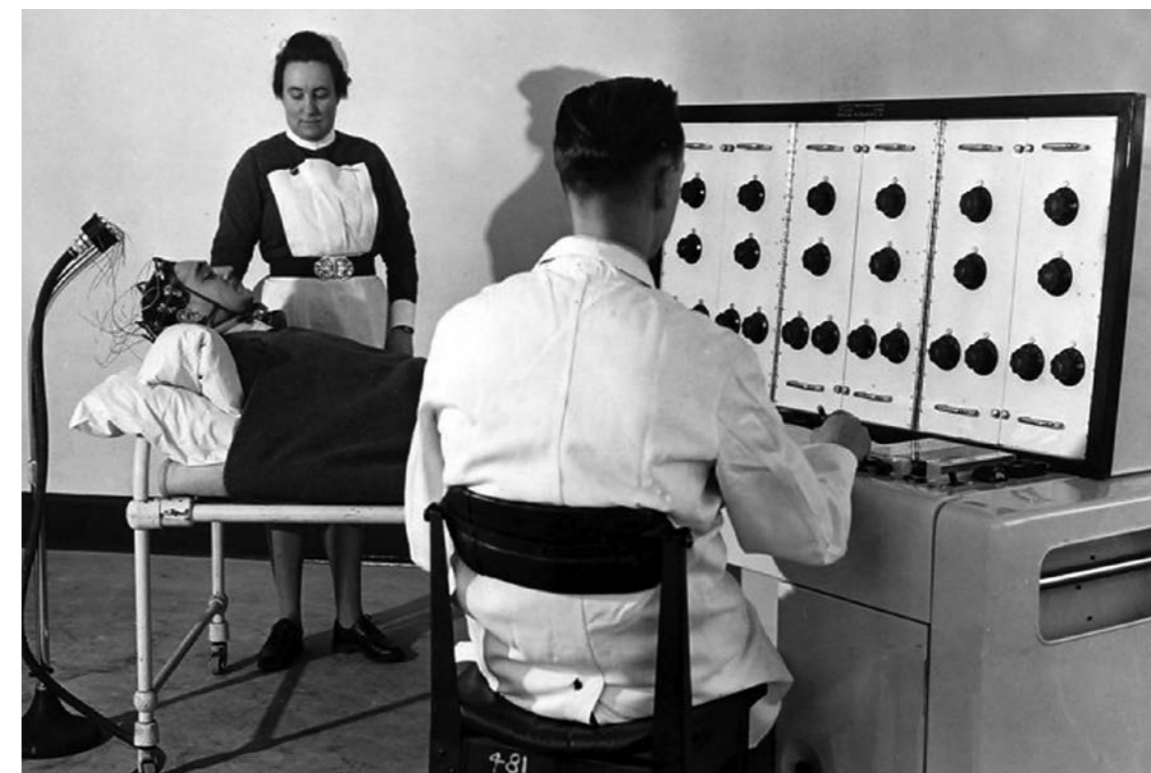
ca przycisków miał wskazać prawidłowe rozwiązanie. Gdy uczeń pomylił się, nauczyciel, w ramach kary, miał zastosować wobec niego elektrowstrząsy. Z każdym popełnionym błędem moc wstrząsu była zwiększana. Nauczyciel nie wiedział, że uczeń w rzeczywistości nie był rażony prądem, a wszystkie okrzyki były odtwarzane z taśmy. Kiedy nauczyciel zaczynał się wahać, eksperymentator stanowczo odpowiadał mu, że testy należy kontynuować, a po czwartym proteście nauczyciel mówił: „nie masz wyboru”.

KRYK CUDZEGO CIERPIENIA

– Okazało się, że aż 62 proc. uczestników badania zastosowało wobec ucznia największe napięcie elektryczne, tj. 450 V, mimo coraz głośniejszych okrzyków bólu, a później – przerażającej ciszy. Każdy z nauczycieli mógł wyrazić sprzeciw, ale z jakiegoś powodu wykonywał rozkazy eksperymentatora, aplikując uczniowi kolejną, niewiele większą od poprzedniej, dawkę prądu, aż do poziomu

450 woltów. Można z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć, że gdyby od razu, już za pierwszy błąd, nauczyciel miał wcisnąć przycisk 450 V, nie zrobiłby tego. Polecenie zwiększania napięcia prądu o małe wartości nie robi na nas takiego wrażenia. Milgram, który zastanawiał się, co sprawiło, że w czasie II wojny światowej Niemcy, nacja słynąca z wielkiej kultury, byli zdolni do tak wielkiego okrucieństwa, zauważył, że przecież nie zaczęło się ono od obozów koncentracyjnych, od mordowania ludzi innych narodowości... Najpierw malowano gwiazdy Dawida, potem demolowano żydowskie sklepy, to były te właśnie drobne, stopniowe, 15-woltowe dawki...

– Kolejny mechanizm psychologiczny, jaki mógł odgrywać tu rolę, dotyczy ograniczeń samoświadomości. Bo w eksperymencie Milgrama nieustannie coś się dzieje, badany podlega ciągłej presji, nie ma czasu, żeby zastanowić się, co właściwie robi, jak jego zachowania mają się do jego norm moralnych. Warto też zwrócić uwagę na to, co działo się na długo przed tym, nim badany przyszedł do laboratorium. Bo w naszej kulturze dziecko powinno być przede wszystkim grzeczne. Grzeczne,



Eksperyment Stanleya Milgrama, rok 1961 (fot. Internet)

czyli posłuszne – wobec rodziców, pani w przedszkolu, nauczyciela, osób starszych... Trudno sobie wyobrazić socjalizację opartą na innych zasadach. Problem polega jednak na tym, że jest to wymóg posłuszeństwa bezrefleksyjnego. Pytanie: „dlaczego?” jest tępione.

– Stan pośrednictwa w działaniu – takim terminem posługiwał się Milgram, omawiając wynik eksperymentu. Posłużył się przykładem dziewiętnastowiecznego rolnika, od którego decyzji, kiedy rozpocząć siew, zależało, czy żniwa będą udane. To on ponosił konsekwencje zbyt wczesnego lub zbyt późnego siewu. Milgram powiedział: „Współczesny człowiek bardzo rzadko działa, jest raczej w stanie „pośrednictwa w działaniu” – albo podejmuje decyzję, ale działa ktoś inny, albo coś robi, ale ktoś inny ponosi tego działania konsekwencje. Inaczej mówiąc – nie jest całkowicie panem sytuacji. Uczestnicy eksperymentu mogli myśleć: ja tu tylko wciskam przyciski, ale tak naprawdę działa eksperymentator, bo to on podejmuje decyzje.

– Po skończonym eksperymencie Milgram zaprosił osobę badaną, czyli nauczyciela, do swojego gabinetu

i prosił, żeby na tarczy przypominającej zegar zaznaczył trzy pola: odpowiedzialności za siłę zaaplikowanego bólu – ucznia (bo gdyby nie popełniał błędów, nie byłoby kary), nauczyciela, który spełniał polecenia eksperymentatora i samego eksperymentatora, który je wydawał. Ku zaskoczeniu Milgrama okazało się, że badani największą odpowiedzialność przypisywali sobie.

BADANIA A ETYKA

– Milgram przebadał łącznie 900 osób, zdarzało się, że ktoś odmawiał dalszego udziału w eksperymencie – nikt jednak nie zrobił mu awantury, że naraża ludzi na cierpienie, odwrotnie, badani przepraszała go za to, że rezygnują... Co dowodzi, jak wielki wpływ na nasze działania mają tzw. autorytety. Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne chciało wykluczyć Milgrama ze swoich szeregów – za ten właśnie eksperyment, który miał naruszyć normy etyczne. Jego członkowie prosili uczestników eksperymentu o składanie skarg na Milgrama – nie zrobił

tego nikt. Badani podkreślali, że była to najgorsza godzina w ich życiu, potworny stres i napięcie, ale i nauka: jak łatwo jest człowiekiem manipulować, do jakich rzeczy jest zdolny. Po tej godzinie, mówili, staliśmy się bardziej refleksyjni, za co jesteśmy Milgramowi wdzięczni.

– Względy etyczne właśnie były powodem, dla którego psychologowie zdecydowali, że eksperyment Milgrama nie będzie powtarzany. Ale na początku XXI wieku Jerry Burger z Santa Clara University w Kalifornii przeszedł zachowania badanych w eksperymencie Milgrama i zwrócił uwagę na zjawisko, które określił mianem „punktu bezzwrotnego”. Zdaniem Burgera, jeśli ktoś się nie wycofał z eksperymentu, używając dziesiątego przycisku, to ze znacznym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że już się nie wycofa, będzie wciskał kolejne. Jeśli więc chcemy się czegoś dowiedzieć o posłuszeństwie ludzi, nie musimy powtarzać pełnego eksperymentu – wystarczy ograniczyć go do dziesięciu przycisków, czyli zastosować procedurę, którą nazwał „miękkim posłuszeństwem”. Burger uzyskał zgodę na przeprowadzenie swojego eksperymentu. Chciał się dowiedzieć, czy w XXI wieku Amerykanie będą tak samo posłuszni, jak w latach 60. XX wieku. Okazało się, że jest bardzo podobnie.

– Po eksperymencie Burgera postanowiliśmy, razem z dr. Tomaszem Grzybem, przeprowadzić replikację badania Milgrama w Polsce. Były pewne ograniczenia, bo np. mogliśmy badać zachowania tylko tych osób, które nie słyszały o eksperymencie Milgrama, dlatego podczas wstępnej rozmowy eliminowaliśmy np. studentów i absolwentów psychologii... Ogłoszenie ukazało się w bezpłatnej gazecie „Metro”, rozdawanej na przystankach i ulicach, szukaliśmy chętnych do badań nad wpływem kary na proces uczenia się, oferując 50 złotych za samo przyjscie do pokoju 42 w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej we Wrocławiu. Tam zostali poinformowani, że w każdej chwili mogą się wycofać z udziału w eksperymencie, zachowując pieniądze... Dr Tomasz Grzyb udawał, że też jest osobą badaną, za każdym razem „losował” karteczkę z napisem: uczeń, a więc wszystko było jak w eksperymencie Milgrama. Z tą różnicą, że przycisków w urządzeniu było dziesięć. Wiąże się z tym zabawna historia, bo kiedy poprosiliśmy stolarza, żeby wykonał stosowną obudowę na generator prądu z dziesięcioma dziurkami, w którym miały znaleźć się przyciski, ten słuchał, słuchał, po czym spytał: „Czy chodzi o to, żeby to była aparatura Milgrama?”

– W eksperymencie zaangażowało się 40 mężczyzn i 40 kobiet w wieku od 18 do 69 lat. Zostali podzieleni

na dwie grupy. Pierwsza grupa była badana według procedury milgramowskiej: pierwszy błąd – pierwszy przycisk, drugi błąd – drugi przycisk, aż do dziesiątego... Drugiej grupie eksperymentator polecał już po pierwszym błędzie ucznia, czyli dra Grzyba, który siedział za ścianą, wcisnąć przycisk dziesiąty. Sądziliśmy, że w tej grupie posłuszeństwo badanych będzie dużo mniejsze niż w grupie pierwszej. I co się okazało? W pierwszej grupie, tej milgramowskiej, 16 osób z dwudziestu badanych wcisnęło przycisk dziesiąty. W grupie drugiej – dziewiętnaście osób, czyli prawie wszyscy badani, na polecenie eksperymentatora od razu wcisnęło dziesiąty przycisk, oznaczający 150 V. Ludzie, którzy są zaskoczeni, wypełniają pierwsze polecenie, ale być może drugiego już by nie wypełnili, słysząc krzyk człowieka za ścianą, a więc poznając konsekwencje swojego działania... Być może dziesięć przycisków to za mało, bo większość ludzi dorosłych przynajmniej raz w życiu zostało rażonych prądem o niezbyt dużym napięciu... Być może inaczej by było, gdyby przycisków było piętnaście, a piętnasty oznaczał rażenie prądem o napięciu 225 woltów...

– W dotychczasowych badaniach przeprowadzanych na świecie, za ścianą, w roli ucznia, zawsze siedział mężczyzna. My zadaliśmy sobie pytanie: co się stanie, gdy za ścianą siedzieć będzie kobieta, i to jej krzyk usłyszy nauczyciel – mężczyzna. Zakładaliśmy się, że zwłaszcza dla niektórych mężczyzn to zadanie będzie bardzo trudne. Chciałbym w tym miejscu pokłonić się nieżyjącemu już Andrzejowi Szmajkemu, który przez lata zajmował się kulturą honoru, zakładającą m.in., że mężczyzna powinien być rycerski wobec kobiet. Stąd założyliśmy, że mężczyźni, którzy mocno respektują tę zasadę, powinni odmówić uderzenia prądem kobiety siedzącej za ścianą. Okazało się, że to, czy za ścianą siedzi kobieta, czy mężczyzna nie ma kompletnie żadnego znaczenia! Nawet wtedy, gdy za generatorem prądu siedzą mężczyźni, którzy akceptują kulturę honoru. Okazało się także, że bez znaczenia jest poziom empatii nauczycieli.

SIŁA PARADYGMATU MILGRAMA

– Myśląc o związkach badań psychologicznych z historią, zwróciliśmy uwagę na niesamowitą słabość ruchu oporu antyfaszystowskiego w Niemczech hitlerowskich – do bitwy pod Stalingradem, po której zaczęły się pojawiać takie organizacje, jak „Biała Róża” czy „Krańg z Krzyżowej” i wiele innych. Co takiego zmieniło się w umysłach Niem-

ców? Można przypuszczać, że po klęskach hitlerowców w obywatelach Niemiec pojawiła się refleksja, że teraz dotychczasowe ofiary staną się sędziami. A im bardziej ofiary cierpiały – tym surowszymi będą sędziami. Zauważmy, że w eksperymencie Milgrama nauczyciel nie może w ten sposób myśleć – bo eksperyment się po prostu kończy, nie ma ciągu dalszego. Co by jednak było, gdyby badanie było dwufazowe? I w drugiej fazie uczeń z nauczycielem zamieniają się rolami? Czy świadomość, że za chwilę dotychczasowy nauczyciel, który raził ucznia prądem, sam będzie tym prądem rażony, powstrzyma go od posłuszeństwa? Okazuje się, że ta sytuacja nie ma najmniejszego wpływu na badanych. Być może dlatego, że w każdej chwili, a więc w momencie zamiany ról, mogli się z udziału w eksperymencie wycofać. Takiego wyboru nie mieli Niemcy w czasie II wojny światowej.

– Po eksperymencie Milgrama wielu psychologów zastanawiało się nad pytaniem: dlaczego ochotnicy nie wycofali się z udziału w badaniach, skoro niezależnie od podjętej decyzji, mogli zachować zaoferowane im wynagrodzenie. Pomyśleliśmy, że przyczyna mogła być całkiem odwrotna: właśnie fakt, że z góry dostali wynagrodzenie, mógł obligować ich do wypełniania poleceń, odpracowania tej gratyfikacji. W związku z tym w naszym

kolejnym badaniu połowa osób dostała po 50 złotych od razu, przed przystąpieniem do badań, osoby z drugiej grupy miały dostawać po 5 złotych za każdy błąd ucznia. Sądziliśmy, że badani z drugiej grupy, po kolejnym błędzie ucznia, a więc zarobieniu np. 20 złotych, powiedzą: dość, nie chcę waszych pieniędzy, nie chcę narażać człowieka za ścianą na dalsze cierpienia. Niestety, stopień posłuszeństwa w obu grupach badanych był taki sam.

– Podczas naszych badań, a badaliśmy różne czynniki, doszliśmy do wniosku, że posłuszeństwo ludzi jest niezwykle duże! Świadczy to o sile sytuacji, sile paradygmatu Milgrama, że ludzie naprawdę z niezwykłą łatwością podporządkują się autorytetom, przełożonym... Milgram robił też badania dotyczące ludzkich przekonań, pytając: jak sądzisz, jaki odsetek badanych wciskał ostatni przycisk generatora? My robimy podobne badania, ale skupiamy się na badaniu efektu pn. „lepszy od przeciętnego”. Pytamy: jak sądzisz, który przycisk generatora, jako ostatni, wcisnąłby przeciętny Polak? A który ty byś wcisnął? Odpowiedzi potwierdzają efekt „lepszy od przeciętnego”. Według badanych przeciętny Polak wcisnąłby wszystkie, łącznie z dziesiątym, przyciski, sami badani natomiast są pewni, że przerwaliby eksperyment bardzo szybko.

Prof. dr hab. Dariusz Doliński jest psychologiem, przewodniczącym Komitetu Psychologii Polskiej Akademii Nauk. Pracuje na Uniwersytecie SWPS, jest dziekanem Wydziału Zamiejscowego we Wrocławiu, gdzie kieruje Katedrą Psychologii Społecznej. Napisał wiele książek, m.in.: „Orientacja defensywna”, „Psychologia wpływu społecznego”, „Psychologia reklamy”, „Techniki wpływu społecznego” i „Posłuszni do bólu” (2017) – książka napisana wspólnie z dr. Tomaszem Grzybem – o polskiej replikacji eksperymentu Milgrama. Redaktor naczelny „Polish Psychological Bulletin”. Publikuje w prestiżowych czasopiśmie, takich jak: „Journal of Personality and Social Psychology”, „Personality and Social Psychology Bulletin”, „Journal of Experimental Social Psychology” oraz „European Journal of Social Psychology”. Autor i współautor około 200 publikacji.



Napoleon Orda (1807–1883) – malarz i kompozytor, autor ponad tysiąca obrazów polskich dworów i pałaców, z których zdecydowana większość już dziś nie istnieje. Ich wizerunki znamy tylko dzięki temu niestrudzonemu artyście

STANISŁAW S. NICIEJA

POLESKI NAPOLEON

Był rok 1807, gdy Michał Orda – marszałek powiatu kobryńskiego ochrzcił swego jedynaka imieniem cesarza Francuzów. Był to czas, gdy Napoleon Bonaparte odnosił swe największe zwycięstwa, a w społeczeństwie polskim zadziwiająco szybko rósł jego kult i związane z nim nadzieje na odrodzenie się Rzeczypospolitej.

Napoleon Orda (1807–1883) – wnuk Mateusza Butrymowicza, jednego z najbogatszych mieszkańców Pińska, okazał się człowiekiem wielu talentów i z czasem zyskał przydomek „Napoleon Poleski”. Po ukończeniu szkoły w Świsłoczy studiował matematykę na Uniwersytecie Wileńskim i nic nie wskazywało, że będzie w przyszłości artystą, tym bardziej że w czasie studiów podjął antycarską działalność konspiracyjną, co skończyło się katastrofą. Nie tylko usunięto go z uniwersytetu, ale i na rok zamknięto w więzieniu pomimo desperackich próśb jego matki, Józefiny, mającej dobre relacje z władzami rosyjskimi. Gdy odzyskał wolność, wybuchło powstanie listopadowe, więc natychmiast zgłosił się pod sztandary walczących i ofiarne wypełniając swe patriotyczne obowiązki, awansował do stopnia kapitana. W 1833 roku zbiegł z kraju i zamieszkał w Paryżu. Tam zaprzyjaźnił się z Fryderykiem Chopinem. Poznał też Franciszka Liszta i u tych genialnych kompozytorów zaczął pobierać lekcje kompozycji i gry na fortepianie. Wówczas to połączyła go dożgonna przyjaźń z Fryderykiem Chopinem, a będąc pod wyraźnym wpływem swego mistrza i przyjaciela, sam zaczął komponować polonezy, nokturny i mazurki. Zachowana korespondencja między Chopinem a Ordą świadczy, jak byli sobie bliscy.

Przebywając w Paryżu, Napoleon Orda podjął również naukę rysunku u Pierre’a Girarda – francuskiego pejzażysty i dysponując pieniędzmi ze spadku po dziadku – Mateuszu Butrymowiczu, zaczął podróżować po Francji, Anglii, Szkocji, Niemczech, Hiszpanii, Portugalii oraz po północnej Afryce. I wówczas jego narastającą pasją stało się rysowanie pałaców i rezydencji. Podróżował z nieod-

łącznym szkicownikiem. Ożenił się z Francuzką, Ireną Bogule, otworzył w Paryżu Dom Komisowy, a w 1847 roku został nawet dyrektorem Opery Włoskiej w Paryżu. Należał do prominentnych przedstawicieli Wielkiej Emigracji i współtworzył Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu. Ale gdy w 1856 roku car Rosji Aleksander II ogłosił amnestię dla byłych powstańców polskich, gnany nostalgią za ziemią ojczystą Napoleon Orda postanowił porzucić słodkie życie w Paryżu i wrócić do kraju, na Polesie.

Uzyskał prawo dzierżawy trzech majątków, w tym w Worocewiczach koło Janowa Poleskiego, gdzie przed pięćdziesięciu laty się urodził. Kupił 600 sztuk bydła i 1000 owiec hiszpańskich. Stał się poważnym hodowcą i hreczkosiejem. Żona Ordy, Francuzka, czuła się źle na Polesiu, podobnie jak jego jedyny syn – Witold. Wyjechała więc do Francji, a syn do Niemiec, aby być – jak to określił w jednym z listów – „w połowie drogi między ojcem a kochaną matką”.

„NARYSUJ HISTORIĘ SWEGO KRAJU”

Porzucony przez żonę Napoleon Orda zaprzyjaźnił się z Józefem Ignacym Kraszewskim. Łączyło ich wiele, bo obaj wyrosli na Polesiu, studiowali w tym samym uniwersytecie w Wilnie i za udział w spiskach siedzieli w więzieniu. Obaj nosili w sobie misję i pragnienie dokumentowania, opisywania i ratowania pamiątek kultury narodowej. W listach do Kraszewskiego Orda niejednokrotnie skarżył się na samotność, brak bliskich relacji z żoną i synem oraz na trud w administrowaniu dzierżawionymi gospodarstwami. W jednym z listów Kraszewski dał mu radę, dzięki której Orda wszedł na karty historii Polski, a także Białorusi, Litwy i Ukrainy: „Drogi Napoleonie – narysuj historię swego kraju”.



Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887) – najpłodniejszy polski pisarz, autor ponad 600 książek, swoim życiem i twórczością związany z Polesiem

Taki był początek wielkiego dzieła Napoleona Ordy, którego nie da się przecenić: ponad tysiąc rysunków, ilustrujących zabytki kultury materialnej na Kresach dawnej Rzeczypospolitej. Dzieła, które utrwaliło ginący świat zamków, pałaców, świątyń, twierdz i dworów. W latach 1872–1874 powstały rysunki istniejących jeszcze zabytków na Wołyniu i Podolu; w latach 1875–1877 na Litwie, Żmudzi, w Inflantach oraz na Białorusi; w latach 1878–1879 w Galicji, Wielkopolsce i Prusach Królewskich, a w 1880 roku zaczął portretować ziemie Królestwa Polskiego.

Napoleon Orda ziemie dawnej Rzeczypospolitej przemierzył wzdłuż i wszerz bryczką, wozem, łódką popychaną drągiem przez Poleszuka, a częstokroć na własnych nogach, nie zważając na błota, wertepy i wszelkie niedogodności, na które natrafiali wszyscy podróżnicy w tamtych stronach. Lekceważąc wiek, bo przekroczył już wówczas sześćdziesiątkę, ogarnięty pasją pragnął udokumentować dziedzictwo kulturowe Polaków, które ginęło na jego oczach. Chciał dać świadectwo przyszłym pokoleniom, co Polska stworzyła na tamtych terenach i co było unicestwiane. W 1875 roku pisał do Kraszewskiego: „Ciągle odnajduję ślady naszej smutnej przeszłości, które lada moment czas nielitościwy albo złość ludzka zniszczą. Oby mi Bóg dał siły i zdrowia dla dokończenia mego zamiaru”. Gdy to pisał, liczył już 68 lat.

Mimo iż krytycy Napoleona Ordy dostrzegali niedostatki warsztatowe w jego malarstwie, to doceniali, że wykształcił swój własny, rozpoznawalny styl i uratował setki obiektów architektonicznych, które dzięki jego obrazom nie zatęchły w odmętach totalnego unicestwienia. W tym wypadku kamień okazał się mniej trwały od papieru. Pałace i dwory spalono, zrównano z ziemią, a rysunki pozostały. Należy pamiętać, iż był to czas, gdy nie istniała jeszcze fotografia zdolna do dokumentowania przestrzeni plenerowych.

Zachowane diariusze podróży Napoleona Ordy informują, gdzie przebywał w poszczególnych latach. Jeszcze za jego życia opublikowano osiem serii rysunków i akwarel pod ogólnym tytułem „Album widoków historycznych Polski poświęcony rodakom”. Zawierały one 260 litografowanych rysunków, szkiców i akwarel spośród ponad tysiąca wykonanych przez Ordę. Latem wędrował ze szkicownikami, a zimą przygotowywał swoje rysunki w Pińsku, w pałacu swego dziadka Butrymowicza, aby przenieść je na kamień litograficzny.

LOSY GROBOWCA RODZINY ORDÓW

Wiosną 1883 roku Orda, będąc w Warszawie, zaniemógł. Trafił do szpitala pod opiekę dobrych lekarzy, jednak nie byli w stanie go uratować. Pochowano go na ukochanym Polesiu – w Janowie Poleskim, w grobowcu Ordów. Po II wojnie światowej zamknięty tamtejszy cmentarz niszczał przez dziesięciolecia, zapadały się mogiły, rozpadały grobowce. Wszystko głużyły bujne chwasty i chaszczce. Tak było do roku 1980, gdy na tę nekropolię wjechały buldożery, by splantować teren pod budowę szkoły.

Grobowca Ordów nie oszczędzono. Jako gruz trafił na wywrotkę. Małgorzata Szejnert w reporterskiej książce „Usypać góry. Historie z Polesia” (Warszawa 2015) zanotowała relację Edwarda Żłobina – historyka i archiwisty z Muzeum Miejskiego w Pińsku. „Wiadomo – mówił Żłobin – że jak ginie cmentarz, poniewiera się trochę starych płyt, kamieni, balustrad i pewien człowiek wziął sobie starą płytę, żeby podeprzeć zrab daczę. A jego przyjaciel, którego matka była kształcona, znał litery łacińskie i nazwisko Orda, i powiedział: *To jest napis z jego grobu!* Więc wyciągnęli tę płytę spod domku. Muzeum pojechało i zabrało ją do swoich zbiorów. Niestety, część się odłamała pewnie podczas rozwałki cmentarza, i przepadła na amen.

Potem nastąpiło wielkie przyspieszenie. Pińska gazeta napisała o płycie. Gospodarze Janowa musieli odpowiadać na pytania, co się stało z grobem wielkiego syna ich ziemi, bo już coraz częściej tak się mówiło. Na szczęście byli ludzie, którzy pamiętali, że nad tą mogiłą rosła duża morwa. Rosła nadal. Zaczęto tam kopać i odkopano piwnicę grobową. Uznano, że to jest ten grób. Nikt przecież nie otwierał trumien i nie badał DNA, jeśli tam były szczątki. Wymurowano w tym miejscu nowy nagrobek. Wykuli odpowiednie napisy i postanowili zapamiętać, jak było naprawdę – zakończył Żłobin.

W 1997 roku na rynku w Janowie Poleskim odsłonięto pomnik Napoleona Ordy. Przedstawia on artystę siedzącego na pniu drzewa ze szkicownikami w dłoni. Autorem pomnika jest białoruski rzeźbiarz Igor Gołubiew.

Współcześni Białorusini uważają Napoleona Ordę za swego rodaka i oddają mu najwyższe honory. Nazwano go „tytanem białoruskiej kultury”. W dwudziestolecie urodzin wydano znaczek z jego podobizną. W 2017 roku zrekonstruowano w Worocewiczach dwór, w którym się urodził. Jego rysunki stały się ilustracjami, które trafiły na białoruskie banknoty, m.in. akwela zamku w Nieświe-

rze ilustrowała banknot o najwyższym nominale – 100 tysięcy rubli białoruskich. Portrety Ordy trafiły do różnych wydawnictw, przewodników, kalendarzy, a nawet na kubki i patery, które sprzedawane są turystom zwiedzającym Pińsk, Janów Poleski czy Kobryń. Największe zbiory rysunków Napoleona Ordy znajdują się obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie i Krakowie.

PIŃSK W OBIEKTYWIE KRASZEWSKIEGO

W dzieje Pińska wpisana jest biografia syna poleskich ziemian, Jana i Zofii z Malskich, właścicieli majątku w Dołhem – Józefa Ignacego Kraszewskiego (1812–1887), najpłodniejszego polskiego pisarza, historyka, publicysty, wydawcy, polityka, organizatora życia społecznego, a także malarza i kompozytora. Od kilku pokoleń nikt z Polaków nie dorównał mu w liczbie wydanych książek. Napisał ich ponad 600, w tym 232 powieści. Pod tym względem jest to absolutny rekordzista, dzierzący w literaturze światowej palmę pierwszeństwa. Jako twórca tak wielu powieści trafił nawet do Księgi Guinnessa i dopiero w 1996 roku Brazylijczyk José Carlos Ryoki de Alpoim Inoue pozbawił go tego rekordu. Ale w wielości osiągnięć organizacyjnych, we wszechstronności zainteresowań i ruchliwości podróżniczej, w rozległości korespondencji (tysiące listów) nikt nie może zdominować tego tytana pracy.

Prof. Ryszard Koziołek, śląski znawca literatury polskiej, w jednym z esejów nazwał Kraszewskiego „neurobiologiczną maszyną do pisania” (Katowice 2016). Nie ulega wątpliwości, że z wielkim wyczuciem trafił w sedno legendy Kraszewskiego, gdyż ojciec polskiej powieści historycznej „napisał więcej niż Haydn skomponował” – a to jest już wyczyn nie z tego świata.

O Kraszewskim napisano setki artykułów i monografii, jego imieniem nazwano tysiące ulic i szkół, rzeźbiono jego podobiznę w marmurze, granicie, piaskowcu i gipsie, umieszczono jego nazwisko na dziesiątkach żeliwnych i kamiennych tablic pamiątkowych.

Józef Ignacy Kraszewski zadziwiał erudycją i genialną pamięcią. Był reformatorem polskiej powieści historycznej, tworząc oryginalne wzorce i treści. W popularności, ale nie w płodności i przedsiębiorczości, przewyższył go młodszy o pokolenie Henryk Sienkiewicz. Absolutnym fenomenem jest fakt, że w XIX wieku, gdy w kobiecych buduarach Europy królowały głównie francuskie po-

wieści romansowe, w Polsce zostały one wyparte przez powieści historyczne i obyczajowe Kraszewskiego. Gigantyczna panorama dziejów Polski zawarta w kilkudziesięciu powieściach: od prastowiańskiej „Starej baśni” do „Saskich ostatków”, czyli upadku Polski, biła rekordy poczytności i kształtowała świadomość historyczną Polaków przez kilka pokoleń. Na podstawie jego powieści tworzone inscenizacje teatralne i telewizyjne oraz kręcono filmy, jak choćby „Hrabina Cosel” (jakże chlubnie wyróżniający się na tle tak swego czasu modnych francuskich filmów płaszczka i szpady), który po mistrzowsku wyreżyserował Jerzy Antczak, a znakomite role stworzyli Jadwiga Barańska (Hrabina Cosel) i Mariusz Dmochowski (August Mocny).

Józef Ignacy Kraszewski wspólnie ze swymi utalentowanymi braćmi: Lucjanem (1820–1892) – malarzem, ilustratorem książek i fotografikiem, oraz Kajetanem (1827–1896) – dramaturgiem, powieściopisarzem, muzykiem i astronomem, wyrastał i przez dziesięciolecia przebywał na Polesiu (w okolicach Prużany, głównie w majątku rodziców – w Dołhe) oraz na Wołyniu, w miejscowościach takich, jak: Omelno, Gródek, Hubin i Kisiele. Nie tylko tam mieszkał, ale przez wiele lat z powodzeniem uprawiał ziemię.

Józef Ignacy Kraszewski miał dar wyjątkowej sportretowości i umiejętności plastycznego opisu. Dał wiele dowodów, iż był świetnym reporterem. Jego „Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy”, wydane po raz pierwszy w połowie XIX wieku, do dziś nie straciły walorów atrakcyjności. Znajdujemy tam wiele opisów Pińska. W jednym z reportaży pisał: „Nareszcie zbliżamy się do Pińska, gwiazdy swoich okolic, miasta, które z Białym (Bałtykiem) i Czarnym Morzem ma związki, siedzącego jak Żyd bankier na wielkim gościńcu, po kolana w błocie, na worku soli, z trzosem rubli. Wjeżdżasz w ulicę szeroką błotnistą, między dwoma rzędami domów. A wkoło idą długie procesje furmanek spod Kobrynia, Prużanej, z całej okolicy (...).

Żydzi płaczą się i kręcą w lisach, szopach, popielicach, baranach, z brodami żółtymi, krwawymi, szarymi, czarnymi, białymi, bez bród, w czapkach, kapeluszkach, pończochach, boso, w butach dziurawych, w trzewikach i całych pantoflach.

Jedziesz dalej przez rynek ożywiony, a na prawo od ciebie wznosi się facjata eks-jezuickiego kościoła i wały niegdyś zamczyska. Część miasta zwie się Karolinem i jest suplementem Pińska. Trzeba się tam dostać, aby

widzieć brzeg, najważniejsze w Pińsku miejsce i jedyne w naszym kraju. To tu przybijają statki z solą, z wódką, a odbijają ze zbożem, węglami, obręczami itd. (...) Chłopi tutejsi, szczerze mówiąc, nie mają wysokiej reputacji rozumu, oni swój Pińsk, jak Chińczycy Pekin, za środek świata przywykli uważać, przez pół roku utrudnione mając zalewem związki z resztą świata, w pół dziko żyją”.

Polesie było w XIX i do połowy XX wieku ulubionym miejscem wielkich etnografów, którzy jechali tam badać stare formy życia. Miejsce malaryczne, ale piękne. Był tam niespotykany w Europie unikatowy rezeruar rzadkich gatunków flory – wierzb lapońska, brzoza karłowata oraz fauny – łos, ryś, dzik, bóbr, borsuk, wydra. Dzięki temu przez wieki Polesie uchodziło za jeden z najlepszych terenów łowieckich. Polowali tam królowie, arystokraci, politycy i artyści.

Przez swą niedostępność była to też kraina, gdzie schronienie znajdowali różnej maści banicy, zbiegowie i przestępcy. Była to wylęgarnia fantasmagorycznych pomysłów literackich. Piękno krajobrazu poleskiego stanowiło tło popularnych nowel i opowieści przyrodniczo-łowieckich, jak choćby „Puszcza” Józefa Weyssenhoffa (1860–1932), autora mistrzowskich powieści o myśliwach, łowach, romansach i złamanym sercach („Soból i panna”).

KANAŁ OGIŃSKIEGO – GOSPODARCZY CUD POLESIA

W latach 1765–1783 wybudowano na Polesiu kanał, który uznano za jeden z cudów gospodarczych tamtej epoki. Nosił imię inicjatora jego budowy – Michała Kazimierza Ogińskiego, dziadka kompozytora Michała Kleofasa Ogińskiego (autora słynnego poloneza „Pożegnanie ojczyzny”, który do dziś towarzyszy nie tylko wszystkim balom maturalnym).

Kanał Ogińskiego należał do najwybitniejszych osiągnięć polskiej myśli hydrotechnicznej. Łączył dorzecza wielkich rzek – Niemna i Dniepru, a tym samym – Bałtyk z Morzem Czarnym. Miał 46 kilometrów długości, od 12 do 18 metrów szerokości i głębokość sięgającą półtora metra. Przy budowie wykorzystano koryta rzek: Jasiołdy, Prypeci i Szczary. Tworzyło to spójną sieć komunikacyjną.

Najważniejszym portem na tej nowoczesnej wówczas arterii wodnej był Pińsk. Kanał podniósł atrakcyjność gospodarczą i polityczną tego miasta i nadał mu pozycję stolicy regionu. Trudne dotychczas do przebycia

mokradła i błota poleskie nie stanowiły już przeszkody dla transportu dóbr, w które obfitowały tamte okolice: miodu, grzybów, jagód, ryb – suszonych i wędzonych, dzikich ptaków i zwierzyny łownej. Łodzie i stateczki wypełnione tymi dobrami bez trudu docierały do Gdańska, ale też – z połączeniem przez Dniestr – do Kijowa, a nawet Odessy. Pińsk nabrał więc znaczenia międzynarodowego portu śródlądowego. Na trasie kanału było wiele drewnianych śluz, które niwelowały różnice między poszczególnymi akwenami. W czasie II wojny światowej kanał został zniszczony i dziś pozostała po nim tylko legenda.



Technik Antoni Brzozowski, działacz Związku Polaków w Niemczech

BARBARA STANKIEWICZ

HISTORIA JEDNEGO NAGRANIA

80 lat temu w Berlinie odbył się Kongres Polaków w Niemczech

Dojście Hitlera do władzy szybko dotknęło polską społeczność w Niemczech, wobec której, od roku 1936, znacznie nasiliły się szykany: rodzice posyłający swoje dzieci do polskich szkół pozbawieni zostali dodatków dla rodzin wielodzietnych, wzmożła się również walka z czytelnictwem prasy i książki polskiej (wydano zakaz rozpowszechniania „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza)... W tych czasach, najtrudniejszych dla Polaków w Niemczech, w Berlinie zebrali się przedstawiciele polskiej mniejszości – na Kongresie Polaków w Niemczech, który odbył się 6 marca 1938 r. w Theater des Volkes. Organizatorem był Związek Polaków w Niemczech, a uczestnikami – Polacy ze Śląska Opolskiego, z Krajny, Babimojskiego, Kaszub, Warmii, ziemi malborskiej, Ma-

zur, ziem połabskich, Westfalii i Nadrenii. Kosztów podróży i pobytu nikt nie zwracał. W olbrzymiej sali ponad pięć tysięcy delegatów półtoramilionowej ludności polskiej w Rzeszy uczestniczyło w niezwyklej, największej w historii manifestacji jedności narodowej, podczas której dr Jan Kaczmarek, sekretarz generalny i kierownik naczelny Związku Polaków w Niemczech, ogłosił Pięć Prawd Polaków.

Polskie Radio, od 1934 roku, wymieniało usługi techniczne z rozgłośnią berlińską Deutschlandsender, z którą zawarło umowę na nagranie przebiegu Kongresu. Kierownictwo Związku Polaków w Niemczech jednak podejrzewało, że nagranie trafi do berlińskiej siedziby Gestapo, dlatego potajemnie zainstalowano w Theater

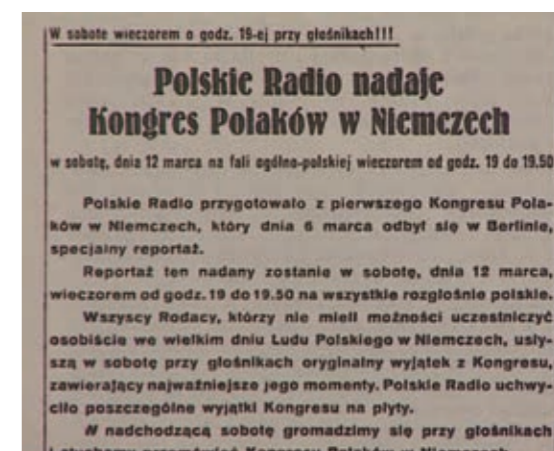
des Volkes dodatkowy sprzęt do nagrywania. Podejrzenia okazały się słuszne: rozgłośnia Deutschlandsender, której technicy mieli się pojawić na godzinę przed rozpoczęciem Kongresu, przybyli dopiero w jego połowie, a następnego dnia powiadomiono Polskie Radio, że z powodu usterek technicznych aparatury „nagranie nie powiodło się”.

„Powiodło się” za to nagranie potajemnie wykonane przez Polaków, o którym Edmund Osmańczyk, po latach, w filmie dokumentalnym pt. „Polska jest matką naszą”, zrealizowanym przez ówczesną Redakcję Opolską katowickiego oddziału TVP S.A., opowiadał tak:

– Po zakończeniu kongresu zbiegłem boczny z zejściem do podscenia i dotarłem do technika Antka Brzozowskiego. Zdejmował właśnie słuchawki z uszu i odrywał zwisający, przez szparę w podłodze sceny, kabel od stojącego tam mikrofonu Deutschlandsender. Wszystko zostało nagrane. Spakowaliśmy nagranie do walizki, wyszliśmy na ulicę. Następnego dnia, przez osiem godzin, w szwedzkiej firmie radiowej Mix & Goenes, która nauczyła nas podsłuchu z cudzego mikrofonu (uczylimy się tego w 1937 roku), montowaliśmy reportaż dźwiękowy dla Polskiego Radia w Warszawie i pięć płyt do albumu kongresowego, wydanego tydzień później, w nakładzie 500 egzemplarzy, przez Związek Polaków w Niemczech.

12 marca 1938 r. Polskie Radio, ku zaskoczeniu Gestapo, wyemitowało 30-minutowy reportaż, a Związek Polaków w Niemczech rozprowadził w Niemczech i za granicą 500 albumów z nagraniem.

Wojnę przetrwały tylko dwa albumy.



Polskie gazety informowały o dacie emisji radiowego reportażu z Kongresu Polaków w Niemczech



Płyta z godzinnym nagraniem obrad Kongresu

Schutzhaftbefehl

Dor- und Juname: Sofie Poliwoda
Geburtstag und -Ort: 16.5.1920 in Vogtsdorf, Krs. Oppeln
Beruf: ~~ohne~~ Büroangestellte b.d.Fa. Rigoli u. Waluga
Familienstand: ledig
Staatsangehörigkeit: D.R.
Religion: röm. kath.
Rasse (bei Nichtariern anzugeben):
Wohnort und Wohnung: Vogtsdorf Bauernstr. Nr. 20
P. wird in Schutzhaft genommen.

Gründe:

XX Er — Sie — gefährdet nach dem Ergebnis der staatspolizeilichen Feststellungen durch
XX sein — ihr — Verhalten den Bestand und die Sicherheit des Volkes und Staates, indem
XX er — sie — dringend verdächtig ist, sich für eine illegale poln. Widerstandsbewegung hochverräterisch zu betätigen.

GGZ.:

Dr. Kaltenbrunner



JANINA HAJDUK-NIJKOWSKA

CZTERY NUMERY MOJEJ MAMY

Refleksje badacza pamięci społecznej, zwłaszcza tej funkcjonującej w przekazie rodzinnym (czyż, jako kulturoznawca, zajmuję się od wielu lat), niekiedy z trudem dają się uwolnić od bardzo osobistych emocji. Podjęcie na szerszą skalę analizy tak zwanej śląskiej pamięci utajnionej (nie ujawnianej obcom) wiązało się bowiem także z moją własną tradycją rodzinną. Miałam więc utrudnioną sytuację przy analizowaniu i interpretowaniu treści oraz śledzeniu przebiegu narracji wspomnieniowych. A przecież u osoby pretendującej do miana naukowca emocjonalność nie powinna wybijać się na plan pierwszy...

WSPOMNIENIA PRZED KAMERA

Kiedy w połowie lat 90. ubiegłego wieku realizowałam dla TVP reportaż pt. *Lalki pana Alka* o teatrze Alojzego Smolki, wydarzenia sprzed 60 lat przed kamerą wspominały ostatnie żyjące członkinie polskiego teatryku w Niemczech: Anna Gadzińska i Zofia Hajdukowa z rodu Poliwodów, czyli moja mama. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam, w jaki sposób starały się przechrzyć śledzących ich niemieckich policjantów, by nie przerywać przedstawień dla maluchów, które odbywały się w prywatnych mieszkaniach: w Grudziecach u Franciszka Buhla, w Dobrzenu u Karola Bieniusy, w Grabinie u Augustynów... W tej opowieści o teatryku kukielkowym jedna wspomagała drugą (*pamiętasz?, przypominasz sobie?, jak dalek to było?*), przywołując pamięć zakorzenioną we wspólnotowym przeżyciu. Niespodziewanie dostarczyły mi, obie, dowodu na sposób wzajemnego utrwalania wspólnie przeżytych wydarzeń, ważnych, ich zdaniem, w publicznej prezentacji.

Później jeszcze raz miałam je przed kamerą, gdy przygotowywałam film o Kongresie Polaków w Berlinie. Mama miała zaledwie 18 lat, gdy uczestniczyła w tym

bezprecedensowym wydarzeniu w samym sercu nazistowskiej stolicy, 6 marca 1938 roku. Na Kongres zjechało bowiem do Berlina prawie pięć tysięcy delegatów mniejszości polskiej z całej Rzeszy. Przyjęto tam wtedy słynne Pięć Prawd Polaków, które były dla wszystkich z nich ideowym przesłaniem, wspomagającym mityzację własnej historii. „To jest nie do zapomnienia – opowiadała mama – Jak ogłaszano te prawdy Polaków, to myśmy wszyscy wstali, z takim ogromnym wzruszeniem, że łzami w oczach powtarzali; Jesteśmy Polakami... Co dzień Polak narodowi służy”.

Uczestnicy Kongresu byli bacznie obserwowani przez Gestapo, kartoteki wielu działaczy „szczególnie politycznie niepewnych” pęczniały od donosów. Od początku 1939 r. na ulicach niemieckich miast, także w centrum Opolą, odbywały się faszystowskie manifestacje.

POKŁADY RODZINNEJ PAMIĘCI

Czasami o emocjonalną powściągliwość było mi trudno. Niedawno wygłaszałam w Warszawie referat na konferencji poświęconej osobistym dramatom Niemców i Polaków (od nienawiści do pojednania) i analizowałam obraz tzw. Tragedii Górnośląskiej we współczesnych reportażach. Sama nie wiem, dlaczego nagle wyeksponowałam los kobiet śląskich, o których niewiele się mówi. Bo choć działania wojenne dotarły tu dopiero wraz z frontem w 1944 roku, to już od 1939 roku czas kobiet był tu boleśnie wypełniany także zawiadomieniami o śmierci ojców i synów na froncie. Ten czas miał wyjątkowo tragiczny wymiar dla kobiet na Śląsku Opolskim, Warmii i Mazurach, zwłaszcza dla tych, które posiadały obywatelstwo niemieckie, ale serca polskie. I tu, sama nie wiem kiedy, przywołałam uczestnikom konferencji przykład mojej mamy, która aresztowana w Opolu 11 września 1939 roku wraz z grupą 48 kobiet, czołowych działaczek



Zespół teatryku Alojzego Smolki po pierwszej premierze, 14 X 1937 r., w Domu Polskim ZPwN w Opolu. Na zdjęciu (od lewej) siedzą: (NN), Jan Kazmierowski, Wanda Zganiacz, Alojzy Smolka, Władysława Mikołajczyk (Leksza), Zofia Poliwoda (Hajduk). Stoją, od lewej: Antoni Leksza, Dorota Dłubacz, Anna Augustyn (Gadzińska), Benedykt Skorupa

polskich, trafiła już 6 października do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, gdzie przydzielono ją do karnej kompanii:

– Niemcy byli precyzyjni i wierni wymyślonym procedurom – mówiłam łamiącym się głosem. – Więc jako obywatelce niemieckiej nie wytatuowali mojej mamie na przedramieniu numeru obozowego (a miała numer 2241), ani nie ścięli włosów. Pamiętam, jak mi kiedyś powiedziała: „Wiesz, Janka, mogłam rozpuścić te włosy i zakryć gołe piersi”.

Słyszałam skupioną ciszę konferencyjnej sali, zachęcającą do kontynuowania rodzinnego wątku. Przystopowałam sama siebie: jesteś na konferencji naukowej, a nie na publicystycznym panelu. Więc nie dopowiedziałam już tego, że na okolicznościowym spotkaniu w NRD, w którąś rocznicę wyzwolenia obozu, inne były więźniarki podejrzliwie patrzyły na przedramię mamy – bez śladów po obozowym numerze, o czym, powstrzymując łzy, mama opowiadała ojcu po powrocie z oficjalnej wizyty. Nie mówiłam również o tym, co mama dopiero w 1995 roku sama zapisała, a czego wcześniej od niej

nie słyszałam. Te wspomnienia z obozu w Ravensbrück opublikowano w pracy zbiorowej przygotowanej przez Instytut Śląski w Opolu i Evangelische Akademie Mülheim/Ruhr.

Osiem lat wcześniej, w maju 1989 roku, udało się dr. Wiesławowi Lesiukowi namówić mamę do wyjazdu z delegacją naukowców z Mülheim do Auschwitz-Birkenau. Po raz pierwszy od zakończenia wojny miała wejść na teren obozu. Weszła. Opowiadała o tym miejscu gościom z Niemiec. Po niemiecku! Stali razem przed ścianą śmierci. Na jednej z ekspozycji, wśród wielu zdjęć więźniów, wypatrzyła swoje, w pasiaku... Po powrocie do domu o samym pobycie w obozie nic nam – siostrze i mnie – nie mówiła. Tylko kopię tego obozowego zdjęcia pokazała. Ja sama nigdy, ani z wycieczką szkolną, ani później, choć wiele było okazji, nie dotarłam do Oświęcimia. Do dzisiaj mam jakąś psychiczną blokadę. Nie chcę, nie mogę wyobrażeń zrodzonych z bólu mamy skonkretyzować w tamtej przestrzeni.



Siostry Poliwodzianki – Anna, później Smolkowa (z lewej) i Zofia, później Hajduk, Wójtowa Wieś, 1938 r.

NIEMIECKI ADRES POLSKIEGO DOMU

Wiem jedno. To, kim była, to, co zdziałała w ciągu tych paru lat przedwojennych, miało bezpośredni związek z jej rodzinnym gniazdem. Gdy się rodziła w Wójtowej Wsi (dziś już dzielnicy Opolu), jej ojciec (a mój dziadek) Franciszek nazywany był królem polskim, a dwaj jej najstarsi bracia, Józef i Wojciech, poszli walczyć w powstaniach śląskich. Dwa lata później, w 1922 roku, rodzice i starsze rodzeństwo wstąpili do nowo utworzonego Związku Polaków w Niemczech i udało się im wywalczyć szkołę polską w rodzinnej wsi. W niej mama rozpoczęła, w 1926 roku, naukę. Później już było trudniej. Do gimnazjum musiała dojeżdżać przez granicę do Tarnowskich Gór, w polskiej części Śląska, naukę kontynuowała w niemieckiej szkole handlowej w Opolu. Aktywnie włączyła się w prace społeczne: prowadziła sekretariat Związku Polskiej Młodzieży Katolickiej na Śląsku Opolskim, była kolporterką polskiej prasy („Katolika” i „Nowin Codziennych”), drużynową harcerskiej gromady zuchów, instruktorką towarzystw młodzieżowych („Objeżdżałam moim

wiernym «wierzchowcem» [rowerem] wioski, prowadziłam zajęcia [...], wypady na wieś łączyłam z werbowaniem ochotników na wycieczki i pielgrzymki do Polski”), śpiewała w chórach „Lutnia” i „Halka”, nie mówiąc już o Teatryku Alojzego Smolki, który powstał przy I Dzielnicy ZPwN w Opolu w 1937 roku.

Za to wszystko trafiła do obozu koncentracyjnego. Do dzisiaj, ile razy przechodzę obok Technikum Ekonomicznego przy ulicy Kościuszki, słyszę mamy słowa:

– Tu było Gestapo. Co tydzień moja mama tu chodziła, by prosić o moje uwolnienie; *a co wam ta dziwośzka złego uczyniła?* – dopytywała. Nawet gęś im przyniosła. Byłam niepełnoletnia. No to mnie w końcu, na urodziny Hitlera w 1940 roku, zwolnili. Komendant obozu Koegel uznał, że jestem już „przeszkolona”.

KONSPIRACYJNE ZAKAMARKI

Powrót do Opolu wyznaczył nowy czas aktywności mamy, o którym wiedziałam już znacznie więcej. Czułam



Zdjęcie Zofii Hajduk, więźniarki obozu w Auschwitz, nr 75711 (1944 r.)

się dowartościowana i wyróżniona wtajemniczeniem w jej konspiracyjną działalność. Z czasem dopiero byłam w stanie uporządkować narrację mamy, zlokalizować ją w kontekście przestrzennym i politycznym. Przede wszystkim zapamiętałam kryptonim tajnej organizacji K7, powstałej przed wojną przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie, która zwerbowała zaufanych działaczy polonijnych z Opola i Wrocławia do prowadzenia służby wywiadowczej. Taki dwutygodniowy tajny kurs ukończyła też moja mama, w sierpniu 1939 roku, w ośrodku w pobliżu Żywca.

Po powrocie z obozu w Ravensbrück, choć zobowiązana była do stałego meldowania się na Gestapo, już 13 maja 1940 r. wstąpiła do tajnej organizacji ZWZ (późniejsze AK) Inspektoratu „Skorpion”, zaprzysiężona w Wójtowej Wsi przez kpt. Henryka Huloka, pseudonim „Zabrzeski”, którego zastępcą był ppor. Leon Powolny, pseudonim „Dobrzyński”. Sama przyjęła pseudonim „Jadzia”. Obok wywiadu gospodarczego i wojskowego zaangażowała się mocno w organizowanie pomocy dla rodzin, których jedyni żywicieli byli w obozach koncentracyjnych oraz w niesieniu pomocy jeńcom wojennym i robotnikom przymusowym przebywającym na Opolszczyźnie, w czym bez wątpienia pomogła jej ówczesna praca w hurtowni artykułów spożywczych Rigoll & Waluga. Niestety, z powodu wsypy, właśnie w tej hurtowni aresztowano mamę ponownie – 8 lipca 1943 roku – i przewieziono do ciężkiego więzienia w Lublińcu, gdzie przebywała osiem miesięcy.

W lublinieckim więzieniu wręczono mamie oficjalny nakaz aresztowania (nr 18161) wystawiony w Berlinie 11 sierpnia 1943 roku przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy, a zatwierdzony przez Kaltenbrunnera i uwierzytelniony przez komisarza kryminalnego oddziału Tajnej Policji w Opolu. W uzasadnieniu podano, że Sofie Poliwoda „zagroza swoim zachowaniem trwałości i bezpieczeństwu narodu i państwa, gdyż jest usilnie podejrzana o zdradę stanu, wskutek udziału w nielegalnym polskim ruchu oporu”.

POLICZEK PRASOWY

Niedawno odnalazłam odręczne notatki mamy, które powstały po lekturze bliżej mi nieznanego artykułu (prawdopodobnie z 1998 roku) jakiegoś warszawskiego dziennikarza, kwestionującego wiarygodność takiego dokumentu. Zanotowała na gorąco:

Trzymałam go [nakaz aresztowania] w celi i zastanawiałam się, w jaki sposób go uchronić, by przetrwał moją, jak mi się wówczas wydawało, niechybną śmierć. Bo jako Polce i obywatelce niemieckiej, recydywistce politycznej, po przeżyciu już jednego obozu koncentracyjnego „obiecivano” mi to w czasie nocnych przesłuchań w lublinieckiej willi gestapo: „Rodzina Poliwodów zostanie ostatecznie wykreślona!”. Trzymano mnie w pojedynkę, pilnie strzeżono, zabronione były wszelkie kontakty innych więźniarek ze mną. Nawet w czasie spacerów na placu więziennym miałam wyznaczone miejsce pod murem, z dala od innych



19 października 1999 r. Archiwum Rodła zostało przekazane Bibliotece Głównej Uniwersytetu Opolskiego. Na zdjęciu (od lewej): Bronisława Liguda-Kozak, Anna Gadzińska, Zofia Hajduk, Jolanta Klimowicz-Osmańczyk. W drugim rzędzie stoją, od lewej: prof. Stanisław S. Nicieja, Zbyszko Bednorz, Róża Bednorz

więźniarek. Okazja nadarzyła się po ulokowaniu w mojej celi niejakiej Jadwigi Kolek, Volksdeuczki, aresztowanej za Rassenschande (miłość z Polakiem). Jej wolno było pracować w mieście. Wychodziła więc codziennie do Ringhotelu w Lublińcu, tam obierała ziemniaki. Przez nią skontaktowałam się z moją siostrą Anną Smolkową w Opolu. I ta Jadzia z narażeniem się na dodatkową karę, bo wychodzących do pracy poza mury więzienia także kontrolowano, wyniosła z celi w ustalonym dniu ukryty w majtkach mój dokument. I przekazała siostrze. Anna przechowała go w Opolu. Później w czasie ewakuacji ludności opolskiej w 1945 roku przed frontem, przebył ten dokument razem z siostrą wędrowkę przez teren Czechosłowacji. I był jej ratunkiem nie raz, gdy była konieczność udowodnienia, że jest Polką i musi wrócić do Opola. W ten sposób odzyskałam dokument po szczęśliwym powrocie do domu rodzinnego w Wójtowej Wsi w 1945 roku. I jeszcze jeden dokument odzyskałam wtedy: oryginał mojego zwolnienia z obozu w Ravensbrück w 1940 r. Ojciec, wraz z innymi rodzinnymi pamiątkami rodzinnymi, ukrył go pod węglem. Była tam też moja aksamitna sukienka, bo „Zośka ją miała bardzo rada”. Czy to wszystko może być

wiarygodne dla osób nie orientujących się w meandrach opolskich Polaków?

Do obozu w Auschwitz-Birkenau mama trafiła 28 lutego 1944 roku: „Jechałam tam jako więzień specjalny w klitce umieszczonej w wagonie (Einzeltransport). Na moich papierach widniały 4 krzyżyki, co według pracujących na Politische Abteilung w Oświęcimiu współwięźniarek oznaczało: *langsam sterben lassen* (wykończyć powoli). Otrzymała numer 75711, czerwony trójkąt (więźnia politycznego) i czerwony pasek, jako recydywistka.

Nigdy na ten temat nie rozmawiałam z mamą, zresztą ona sama nie podejmowała takich prób. Osoby, które przeżyły podobną gehennę, często mają tak silnie zablokowaną pamięć, że nie są w stanie zwerbalizować piętrzących się w niej obrazów. Nie potrafią opowiedzieć o tym nawet najbliższym.

OSTATNI NUMER

Zbliżał się front i wkrótce w mroźne styczniowe dni wszystkich więźniów obozu w Auschwitz-Birkenau,

zdolnych jeszcze do chodzenia, wypędzono na „marsz śmierci”. W ostatniej grupie szła mama, pieszo przez Pszczynę do Wodzisławia, a potem, w otwartych wagonach towarowych – przez Frankfurt nad Odrą, ponownie do Ravensbrück. Dotarła tam 25 stycznia 1945 roku. Do stała nowy, kolejny numer obozowy: 106479, oczywiście z czerwonym trójkątem, ale tak, jak poprzednie – bez litery P, była wszak obywatelką niemiecką.

Do Opoli wróciła 16 maja 1945 roku, w dniu swoich 25. urodzin. Tu czekała ją, jak i innych mieszkańców Opolszczyzny, weryfikacja narodowościowa. Jeszcze w maju otrzymała „tymczasowe zaświadczenie nr 132 o posiadaniu narodowości polskiej” (z dopiskiem: „zaświadczenie niniejsze ma charakter tymczasowy i może być w każdej chwili unieważnione”). Natomiast „poświadczenie obywatelstwa polskiego” wystawiono mamie dopiero 23 lipca 1947 roku, choć już w czerwcu 1946 roku rozpoczęła pracę w Zarządzie Miasta Opole.

Wspólnie ze szwagrami: Janem Wawrzynkiem i Alojzym Smolką, którzy też powrócili z obozów koncentracyjnych, doprowadziła do reaktywacji w Wójtowej Wsi przedwojennego polskiego chóru „Halka”, a w Opolu chóru „Lutnia” (prezesem Towarzystwa Śpiewu „Lutnia” został Ślązak, Ryszard Hajduk, syn górnika z Giszowca, późniejszy mąż mamy, czyli po prostu mój tato), a także amatorskiego zespołu teatralnego. Przede wszystkim jednak, w lipcu 1945 roku, była współzałożycielem i sekretarzem Komitetu Opieki nad Byłymi Więźniami Politycznymi oraz Koła Polskiego Związku byłych Więźniów Politycznych w Opolu. Obie organizacje, jak i inne związki kombatanckie, połączono w 1949 roku w ZBoWiD.

Swoistą ironią losu była ustawa o kombatantach, uchwalona przez Sejm w 1991 roku, która zdefiniowała, czym jest „działalność kombatancka” oraz zakładała tym samym konieczność zweryfikowania dotychczasowych uprawnień. Na liście „podejrzanych” i zaliczonych przez opolską Komisję Lustracyjną do grona osób pozbawionych praw kombatanckich, liście skierowanym do centrali Związku w Warszawie, znalazła się też moja mama. Z gorączką mówiła o tym trzy lata później, na pierwszym wojewódzkim zjeździe Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych w Opolu. Odnalazłam przejmujący tekst jej wystąpienia. Powiedziała wtedy tak:

Na długo przed wybuchem wojny, w latach trzydziestych, byłam tu w Opolu numerem 95 na liście gestapo, w wykazie „przodujących działaczy polskich Śląska Opolskiego” (...). 11 września 1939 roku zesłana zostałam do obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Tam byłam numerem 2241. Po zwolnieniu z obozu znalazłam się pod nume-

rem 18161 w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. Tam wydano nakaz ponownego aresztowania mnie. Za co? Za udział w polskim ruchu oporu na Opolszczyźnie. Z wyrokiem śmierci jako niepoprawną recydywistkę polityczną, jako członka dowództwa Inspektoratu „Skorpion” ZWZ-AK, zesłano mnie do Oświęcimia. Tam byłam numerem 74711. Mój następny numer w roku 1945 to 106479 – ponownie w Ravensbrück. Polsce poświęciłam całe swoje siły i zdrowie. I oto doczekałam chwili, kiedy znów znalazłam się pod jakimś numerem – 77 na czarnej liście nr 4 opolskiej Komisji Lustracyjnej (...). Mnie dzisiaj nikt weryfikować i lustrować nie potrzebuje. Zweryfikowało mnie życie i moje czyny. A numer 77 na wymienionej tu liście Komisji Lustracyjnej, mimo że najmniejszy – jest dla mnie najboleśniej, bo napisany polską ręką, tu, w moim Opolu. A na to nie zasłużyłam.

Niestety, taki był los pokolenia moich rodziców, pokolenia nieustannie poddawanego ocenom i różnym weryfikacjom. A przecież zarówno mama, jak i tato, wiele uczynili, by dać świadectwo, jak trudne i pogmatwane były śląskie drogi.

* * *

Pozostał mi po mamie jej ciepły, radiowy głos, zarejestrowany na magnetofonowych taśmach. Przez blisko 20 lat (od 1952 r.) współpracowała bowiem z Rozgłośnią Polskiego Radia w Katowicach i Opolu. Pozostały mi też w Opolu miejsca szczególnie naznaczone pamięcią mamy: przedwojenna siedziba Banku Ludowego na ul. Piastowskiej, gdzie w małej salce mieściła się harcówka. Pamiątkowy kamień przy ulicy Książąt Opolskich, skracającej w ulicę Sądową, z wyblakłymi już literami, ale możliwymi jeszcze do odczytania: „W tym miejscu znajdował się Dom Polski I Dzielnicy Związku Polaków w Niemczech”, gdzie w październiku 1937 roku odbyła się pierwsza premiera teatryku kukielkowego. Narożny sklepik przy ul. Żeromskiego, naprzeciwko kina Helios, w którym przed laty znajdowała się siedziba Związku Polskiej Młodzieży Katolickiej na Śląsku Opolskim. Tablica wmurowana na ścianie Ratusza: „W hołdzie poległym za wolność Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1939–1945 żołnierzom ZWZ-AK Inspektoratu Opolskiego”.

A przede wszystkim zlokalizowana w samym centrum miasta, u podnóża pomnika opolskiej Nike, tablica z wyrytymi na niej Pięcioma Prawdami Polaków.

Fragment tekstu, który ukaże się w publikacji przygotowanej przez Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach/Opolu.

PIOTR OBRĄCZKA

POWIEŚĆ O NARODZINACH NIEPODLEGŁEJ

W roku 1935 ukazała się w Warszawie książka Zygmunta Kisielewskiego (1882–1942) „Dni listopadowe. Powieść z 1918 roku”. Autor, brat młodopolskiego dramaturga Jana Augusta Kisielewskiego, był wówczas popularnym pisarzem, twórcą powieści, nowel, dramatów, felietonów, znanym ponadto z pracy w Polskim Radiu i z działalności w Pen Clubie i w Związku Zawodowym Literatów Polskich.

„Dni listopadowe” wynikają konsekwentnie z całej drogi pisarza, stanowią ukoronowanie jego działalności społeczno-politycznej i twórczości literackiej, przepojonych ideami niepodległościowymi.

W jednym z felietonów pisarza z listopada 1921 r. czytamy:

Te dni listopadowe, trzy lata temu, są godzina po godzinie tak pełne wstrząsających zdarzeń dziejowego znaczenia dla świata, a zwłaszcza dla nas, że powinny być spisane i zapamiętane jako święta ewangelia narodu.

Kisielewski pod koniec wojny osiadł na stałe w Warszawie, w listopadzie 1918 roku był świadkiem historycznych wydarzeń, które utrwalił we wspomnieniach, opublikowanych w „Kronice Warszawy” w dziesiątą rocznicę powstania niepodległej Polski. Wspomnienia te – obok innych relacji – są ważnym źródłem do poznania atmosfery i wypadków listopada 1918 roku, stanowią również tworzywo, które posłużyło pisarzowi do napisania powieści.

Pisarz, współpracujący w latach 1918–1925 z socjalistycznym „Robotnikiem”, śledził uważnie ukazujące się wówczas utwory „listopadowe”, na ogół jednak oceniał je bardzo krytycznie, np. dramat Stanisława Kozłowskiego „Rotmistrz von Waldeck” czy powieść Artura Ćwikowskiego „Pod luną”. O ostatniej pisał: „Wypadki znane nam wszystkim były stokroć potężniejsze, niż w opisach autora [...]”.

Akcja „Dni listopadowych” obejmuje niespełna trzy warszawskie dni listopada 1918 roku. Główny bohater – Józef Rymsza, szary urzędnik bankowy, idąc do biura, jest świadkiem rozbrajania Niemców na warszawskiej ulicy. Ogarnięty entuzjazmem, wyzwajającym jego uczucia patriotyczne, wstępuje do Polskiej Organizacji Wojskowej, stając się jej najaktywniejszym żołnierzem. W gmachu POW spotyka pannę Stefanię, prawdziwą, wielką miłość. Wkrótce potem bohater ginie w przypadkowej strzelaninie.

Przemiana duchowa bohatera nie została w powieści należycie umotywowana, dlatego też niezbyt przekonywa czytelnika. Zbyt wiele tu nieprawdopodobieństwa psychologicznego, zbyt wiele przypadku. Schemat fabularny powieści jest tylko pretekstem do odmalowania prawdziwej atmosfery ówczesnej Warszawy, zgodnie z dedykacją powieści: „Synowi memu, Stefanowi, aby wiedział, jak to było”.

„Dni listopadowe” to w założeniu autora powieść dokumentarna, co zdecydowało – zdaniem wszystkich niemal krytyków – o jej wartości. Dokumentarny charakter powieści ukaże się zwłaszcza wówczas, gdy zestawimy jej warstwę faktograficzną ze wspomnieniami dotyczącymi listopada 1918 roku, a także z ówczesną prasą warszawską.

Powieść nie pokazuje mechanizmu rozgrywek politycznych, nie pogłębia tła politycznego wydarzeń. Odtworza tylko to, co widziała w ciągu owych trzech dni listopada warszawska ulica, to, co autor sam widział i utrwalił w swym wspomnieniu, później zaś w artystycznej transformacji w powieści.

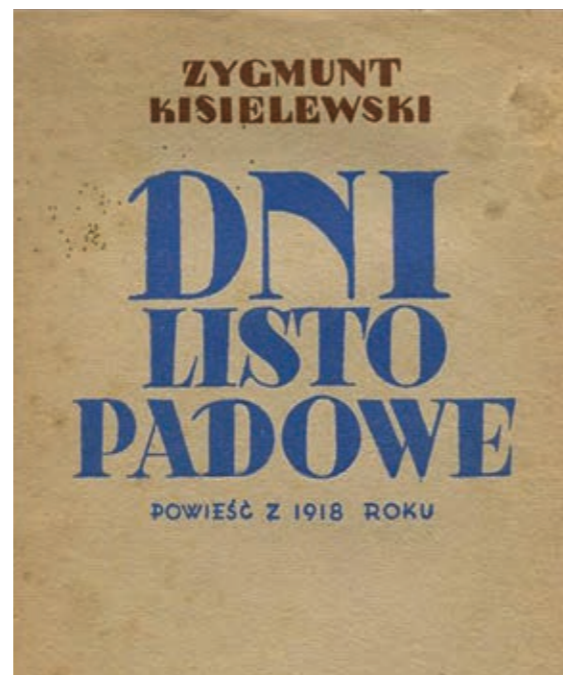
Spotykamy na kartach powieści realistycznie odтворzoną okupacyjną atmosferę warszawskiego domu, kawiarni, ulicy. Niepostrzeżenie w mroczną atmosferę



Zygmunt Kisielewski

przygnębiętego miasta wkracza wielka historia. Pierwsze jej odgłosy dochodzą na prawach szeptanych wieści czy plotki, np. o wiecach studentów i uczniów w sprawie wstępowania do wojska, o utworzeniu przez Niemców Soldatenrathów (Rad Żołnierskich), o powstaniu w Lublinie Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej, o abdykacji cesarza Wilhelma II, o wybuchu rewolucji w Berlinie i w innych miastach niemieckich. Z realiów preakcyjnych wskazać należy jeszcze na wspomniany kilkakrotnie zamach na Schulzego, dokonany przez człowieka z Pogotowia Bojowego PPS.

W drugim dniu akcji (odpowiadającemu rzeczywistym wypadkom 10 listopada 1918 r.) Rymśza jest świadkiem rozbrajania oficerów niemieckich przez młodzieńców z dekonspirującej się POW, co staje się bezpośrednią przyczyną przełomu bohatera. Widzimy w powieści grupy żołnierzy niemieckich bez broni, z czerwonymi i trójkolorowymi kokardkami na bluzach. To Niemcy i Alzatzcy wiwatujący na cześć Polski i zdzierający odznaki swym oficerom.



Fragment okładki książki Zygmunta Kisielewskiego pt. „Dni listopadowe”. Powieść z 1918 roku

Jednym z najważniejszych czynów militarynych bohatera powieści jest zajęcie gmachu Civilverwaltung na placu Saskim. Rymśza zapobiega spaleni dokumentów archiwum, rozbraja generała-szefa Civilverwaltung i obejmuje gmach w imię rządu polskiego.

Wiele uwagi poświęcił powieściopisarz wydarzeniom związanym z przyjazdem do Warszawy Józefa Piłsudskiego, samego przyjazdu powieść jednak nie przedstawia. Rymśza, idąc do pensjonatu, w którym zatrzymał się Piłsudski, słyszy rozmaite wersje na temat jego przyjazdu.

Z osobą Piłsudskiego związane są też takie fakty, jak audyencja udzielona delegacji Soldatenrathu, jej wyniki, czy też informacja, że „Komendant żąda od Rady Regencyjnej natychmiastowej abdykacji i tylko pod tym warunkiem godzi się na objęcie urzędu Naczelnika Państwa”. Powieść przynosi też szereg różnorodnych, luźnych scen i informacji, które zsumowane tworzą plastyczny i sugestywny obraz wydarzeń rozgrywających się 10 listopada. Dowiadujemy się przeto o licznych w owym dniu demonstracjach ulicznych, o sile Niemców stacjonujących w Warszawie, o buncie garnizonu niemieckiego, przeję-

ciu władzy przez Soldatenrath i jego obradach w Pałacu Namiestnikowskim, o silnym obsadzeniu Cytadeli przez „Jablonna-Regiment”. Polacy odbierają okupantom obiekty wojskowe i gmachy publiczne, m.in. Urząd Telegraficzny na Fredry, lokal „Godziny Polskiej” (właściwie: „Godziny Polski”) itd.

Ostatni dzień akcji powieści obejmuje wydarzenia związane z przejściem władzy przez Piłsudskiego w dniach 11 i 12 listopada oraz wycofywaniem się niemieckiej administracji i armii. Tu też widzimy – jedyny raz w całej powieści – Piłsudskiego, jadącego dorożką do Pałacu Namiestnikowskiego w celu rokowań z Soldatenrathem.

W telegraficznym skrócie, niemal „zadyszczanym” stylem informuje powieściopisarz o przejściu przez Piłsudskiego władzy. Autor cytuje pismo Piłsudskiego o podjęciu się „utworzenia Rządu Narodowego, w którego ręce Rada Regencyjna gotowa jest złożyć swą władzę”, a także jego odezwę donoszącą o „objęciu naczelnej komendy nad siłą zbrojną Polski” i wzywającą obywateli do „zachowania zimnej krwi, do równowagi i spokoju, jaki powinien panować w narodzie pewnym swej wielkiej i świetnej przyszłości”. Ostatnie karty powieści ukazują już względnie spokojną Warszawę, z funkcjonującymi normalnie instytucjami i urzędami.

Powieść kończy się obrazem maszerującego na Dworzec Wiedeński pierwszego transportu garnizonu niemieckiego, w pełnym uzbrojeniu bojowym, które według umowy z Piłsudskim lojalnie złożyć miał dopiero na granicy nowej, powstającej Rzeczypospolitej.

O, tak pięknym nie był żaden listopad w Warszawie, nawet ów 30 roku! Nie! I żaden najpiękniejszy miesiąc roku, żaden maj złotozielony nie był i nigdy nie będzie bardziej uroczy ponad ten mglisty, wilgotny listopad Warszawy 1918 roku! – tak kończy Kisielewski listopadowe wspomnienia. Podobnie zanotowała w swym dzienniku Maria Dąbrowska: „W tym wszystkim wstaje Polska. I nikt nie widzi, jak jest piękna. Nikt nie spostrzega w tym zgiełku”. W takiej też atmosferze uczuciowej są utrzymane „Dni listopadowe”, których wartość polega nie tylko na ich stronie dokumentarnej, na oddaniu atmosfery porywu i entuzjazmu patriotycznego, ale w równej mierze – jak pisał jeden z recenzentów – na „chwyceniu tętna najgorętszych serc Warszawy” owych dni, na stworzeniu legendy listopada 1918 roku.



Rzeźba marszałka Józefa Piłsudskiego na koniu, która powstaje w pracowni prof. Mariana Molendy z Wydziału Sztuki UO (fot. Tadeusz Parcej)

ADAM SUCHOŃSKI

JÓZEF PIŁSUDSKI W ZAGRANICZNYCH PODRĘCZNIKACH HISTORII

W 1867 roku, w rodzinnym majątku w Zułowie na Żmudzi, przychodzi na świat Józef Piłsudski. Z okazji 150. rocznicy jego urodzin odbyło się w naszym kraju wiele uroczystości o bardzo zróżnicowanym charakterze. Obok specjalnego posiedzenia Zgromadzenia Narodowego z udziałem prezydenta RP przygotowano spektakle teatralne, prezentacje filmów... Jeśli dodamy do tego liczne publikacje naukowe i popularnonaukowe, jakie z tej okazji się ukazały, można odnieść wrażenie, że zostały wykorzystane wszystkie możliwości uczczenia tej postaci.

Czy tak jest istotnie? Szukając odpowiedzi, po uważnej kwerendzie bibliograficznej, stwierdziliśmy brak informacji na temat obecności Józefa Piłsudskiego na

kartach zagranicznych podręczników do nauczania historii. Ale czy zasadnym jest oczekiwanie takich informacji? Czy podręcznik szkolny dziś, w dobie prawdziwej rewolucji, związanej ze sposobami przekazywania informacji, jest nadal ważnym źródłem wiedzy?

A jednak podręcznik szkolny wciąż jest podstawowym środkiem dydaktycznym w nauczaniu i uczeniu się historii. Zmianie ulegają między innymi kryteria doboru treści oraz budowa książki szkolnej. Poznawanie przeszłości powinno służyć lepszemu rozumieniu współczesnych problemów, dlatego tak ważny jest właściwy dobór treści kształcenia.

Aktualnie kładziemy nacisk na poznanie życia codziennego społeczeństw w różnych okresach historycznych, na przybliżanie odbiorcom szczególnie tego, co narody łączyło. Wreszcie – na lepsze poznanie przeszłości sąsiadów oraz wydarzeń, które zmieniały obraz określonej rzeczywistości historycznej. Tak jak wcześniej rozbiory, tak późniejsze odrzucenie się państwa polskiego należy do ważnych faktów w historii Europy. Dlatego zakładamy, że takie informacje powinny znaleźć się w podręcznikach szkolnych. Historia to dzieje określonych społeczeństw, ale także wybitnych postaci, do których słusznie zaliczamy Józefa Piłsudskiego.

Czasami te nasze oczekiwania wydają się trochę przesadzone. Jednym z przykładów może być charakterystyka Józefa Piłsudskiego, zaprezentowana w czasopiśmie „Nasza Historia”. Zaliczając interesującą nas postać do grona stu Polaków, którzy wpłynęli na losy świata, autorzy tego opracowania stwierdzają między innymi: „wprowadzenie na mapę sporego europejskiego kraju to niewątpliwie osiągnięcie, które wpływało na losy świata. O wiele mocniej jednak zapisał się Józef Piłsudski w historii powszechnej za sprawą wielkiego zwycięstwa w bitwie warszawskiej 1920 r. i następnie w wojnie z bolszewikami. To Marszałek zatrzymał pochód Sowietów na Zachód na następne dwie dekady – uchronił w ten sposób Europę przed śmiertelnym zagrożeniem.

Problem oceny postaci Józefa Piłsudskiego budzi nadal kontrowersje. Podobnie jest z przedstawioną wyżej charakterystyką. Odrodzenie Polski po I wojnie światowej wpłynęło na losy Europy w XX wieku. Ale czy na losy świata?

Druga część oceny, związana z wojną z bolszewikami w 1920 roku, prezentuje nasz punkt widzenia na to ważne wydarzenie.

Kwerenda zagranicznych podręczników wykazała brak takich ocen. Przypomnijmy, że autorzy książek szkolnych najczęściej, przygotowując teksty swojej narracji, korzystają z dorobku historiografii danego kraju lub powszechnej. Jeśli tak jest, to nasza kwerenda, obejmująca podręczniki szkolne z 74 krajów usytuowanych na różnych kontynentach, nie potwierdziła cytowanych wcześniej ocen. Na przykład jeden z autorów podręcznika funkcjonującego w Anglii, opisując starcie armii polskiej z bolszewikami stwierdził między innymi, że pomimo początkowych porażek bolszewicy przeszli do kontrofensywy i o mało nie zdobyli Warszawy. Nie udało im się to dlatego, że Francja pomogła Polsce. Nie jest to

przykład odosobniony. Żywa u nas teza o obronie Europy przed zalewem bolszewizmu w 1920 roku nie znajduje potwierdzenia w zagranicznych książkach szkolnych.

Informacje związane z okolicznościami odzyskania niepodległości przez Polskę po I wojnie światowej są najczęściej odpersonifikowane. Jeśli już pojawia się nazwisko Józefa Piłsudskiego, to w kontekście, który czasami trudno aprobować. Na przykład autor jednego z podręczników ukraińskich pisze, że w listopadzie 1918 roku do Warszawy powrócił zwolniony z więzienia w Magdeburgu Józef Piłsudski, w którym przedstawiciele wielkiego kapitału oraz ugrupowania prawicowe widziały człowieka mogącego odrodzić polską państwowość. W cytowanym wyżej stwierdzeniu łatwo rozpoznać pozostałość wpływów historiografii radzieckiej.

Kwerenda zagranicznych podręczników wykazała, że Józef Piłsudski pojawia się najczęściej przy okazji przewrotu majowego w 1926 roku. W podręczniku autorów włoskich w rozdziale pt. „Polska Piłsudskiego” czytamy między innymi: „Po zamachu stanu w 1926 roku Józef Piłsudski wprowadził system autorytarny, starając się osłabić wpływy parlamentu i opozycji. Odtąd armia i wojskowi zaczęli odgrywać rolę wiodącą w polityce państwa polskiego”.

Autorzy z Finlandii stosunkowo obszernie (jak na możliwości książki szkolnej) charakteryzują postać Józefa Piłsudskiego. Pisząc o zamachu majowym w 1926 roku, przy okazji wymieniają inne kraje europejskie o systemie rządów autorytarnych.

Podobne rozwiązania znajdziemy w podręcznikach niemieckich. Tu również Józef Piłsudski wymieniany jest wśród przywódców, których władzę określamy jako autorytarną. Warto dodać, że te informacje znajdują się w rozdziale zatytułowanym: „Faszyzm w ofensywie”.

Trudności w określeniu systemu, jaki funkcjonował w Polsce po roku 1926, mają także autorzy podręcznika z Izraela. Piszą oni, że w 1926 roku Józef Piłsudski przy pomocy wojska wprowadził rządy silnej ręki: „Był dyktatorem, ale bronił interesów ludności żydowskiej w Polsce, dlatego cieszył się szacunkiem tej społeczności”. Dalej czytamy, że Józef Piłsudski zmarł w 1935 roku, ale dyktatura z wieloma elementami faszyzmu była w Polsce aż do początków II wojny światowej.

Okazją do szczególnego wyeksponowania w podręczniku szkolnym określonej postaci historycznej są biogramy zamieszczane w końcowych partiach lub jako element obudowy narracji autorskiej. Z takimi rozwią-

zianami spotykamy się między innymi w podręcznikach litewskich. Warto zaznaczyć korzystną także z naszego punktu widzenia ewolucję poglądów na temat życia i działalności Józefa Piłsudskiego w litewskich książkach szkolnych. Natomiast w bogatym zestawie biografii (53 postaci), jakie zamieszcza francusko-niemiecki podręcznik, autorzy tego opracowania nie znaleźli miejsca dla Józefa Piłsudskiego.

Ciekawe i obszerne informacje znajdziemy w podręczniku pt. „Litwo, Ojczyzna moja”. Jest to wydana na koszt Ministerstwa Oświaty i Nauki Republiki Litewskiej publikacja dla szkół z polskim językiem nauczania. Obok narracji, przedstawiającej rolę Józefa Piłsudskiego w walce o odzyskanie przez Polskę niepodległości, w części zatytułowanej „Dla ciekawych”, znajdziemy relacje żony o kilku cechach osobistych Marszałka. Na przykład: „Miał dużo wdzięku i elegancji w ruchach, co zresztą zachował do końca życia. Tak lekko chodził, że zdawało się, iż nie idzie, lecz płynie, jak później przekonałam się, był doskonałym piechurzem, cięższe nawet marsze zawsze znosił lepiej od ludzi silniejszych od siebie”. Dodajmy jeszcze, że cytowany podręcznik w sposób bardzo wyważony relacjonuje treści na temat stosunków polsko-litewskich w okresie międzywojennym.

Podobne uwagi można odnieść do podręczników przeznaczonych już dla uczniów litewskich.

Współczesne kryteria doboru treści kształcenia zalecają zamieszczać informacje także na temat przeszłości sąsiadów. Dlatego w podręczniku słowackim, w rozdziale pt. „Nowe państwa na mapie Europy”, znajdziemy informacje na temat okoliczności odzyskania przez Polskę niepodległości po I wojnie światowej.

Z satysfakcją odnotujemy także prezentację podobny i krótkiego biogramu Józefa Piłsudskiego w części książki szkolnej, zatytułowanej: „Z galerii polityków”, a w podręcznikach z Rumunii – zgodnie ze współczesnymi kryteriami doboru treści kształcenia, rozbudowane informacje o następstwach I wojny światowej i powstaniu nowych państw (narracja autorska dotyczy głównie Austro-Węgier).

Podobną sytuację odnotowujemy w węgierskich książkach szkolnych, w których znajdziemy stosunkowo obszerne informacje o odzyskaniu niepodległości przez Polskę po I wojnie światowej, w tym biogram i zdjęcie Józefa Piłsudskiego.

Jak już wspomnieliśmy wcześniej, autorzy podręczników najczęściej tylko wymieniają Polskę wśród państw,

które powstały po I wojnie światowej. Spotkaliśmy jednak opracowania, w których stosunkowo obszernie opisano rolę, jaką miał pełnić nasz kraj w ramach tak zwanego kordonu sanitarnego, oddzielającego Europę od bolszewickiej Rosji. Także informacje znajdziemy między innymi w jednym z podręczników belgijskich. Dodajmy, że podobnie jak w innych opracowaniach o tym charakterze, zabrakło w przypadku Polski wątku personalnego. Natomiast w jednym z podręczników litewskich informacje na temat roli Polski w kordonie sanitarnym uzupełniono fotografią Józefa Piłsudskiego. Skoro jesteśmy już przy ikonografii, to warto odnotować duży, kolorowy portret marszałka z obszernym biogramem, który zamieścili autorzy cytowanego wcześniej podręcznika litewskiego.

Na zakończenie tych rozważań zajmijmy się publikacją szczególną, czyli europejskim podręcznikiem do nauczania historii. Zamysłem 12 autorów z różnych państw (oprócz Polski) była prezentacja przeszłości Europy z wyraźnym naciskiem na dzieje ludzi, zamieszkujących nasz kontynent. Brak autora z Polski (mieliśmy zaproszenie, z którego nie skorzystaliśmy) skutkuje pominięciem nie tylko wielu ważnych wydarzeń z naszej historii, ale także brakiem wybitnych postaci, w tym Józefa Piłsudskiego. Nie pierwszy to przypadek, kiedy decyzje polityków zatroskanych o tożsamość torpedują nasz autorski udział w opracowaniach historyczno-dydaktycznych, przeznaczonych do użytku szkolnego w całej Europie. A przecież nie tylko za sprawą światowego Kongresu Historyków, który miał miejsce w Oslo w roku 2000, ale już wcześniej w metodologii historii obowiązywała i obowiązuje zasada, że każdy ma prawo do własnej oceny wydarzeń lub postaci, niezależnie od okresu historycznego. Ważne są fakty, dlatego nie powinny budzić wątpliwości. Natomiast ich interpretacja i ocena to prawo każdego z nas.

ANDRZEJ HAMADA

OPOLSKI PEKIN ZJADŁY SZCZURY



Opolski Pałac Kultury i Nauki – wykonana z płyt paździerzowych makieta budynku stała przez trzy lata na dzisiejszym placu Jana Pawła II, naprzeciwko Teatru im. J. Kochanowskiego

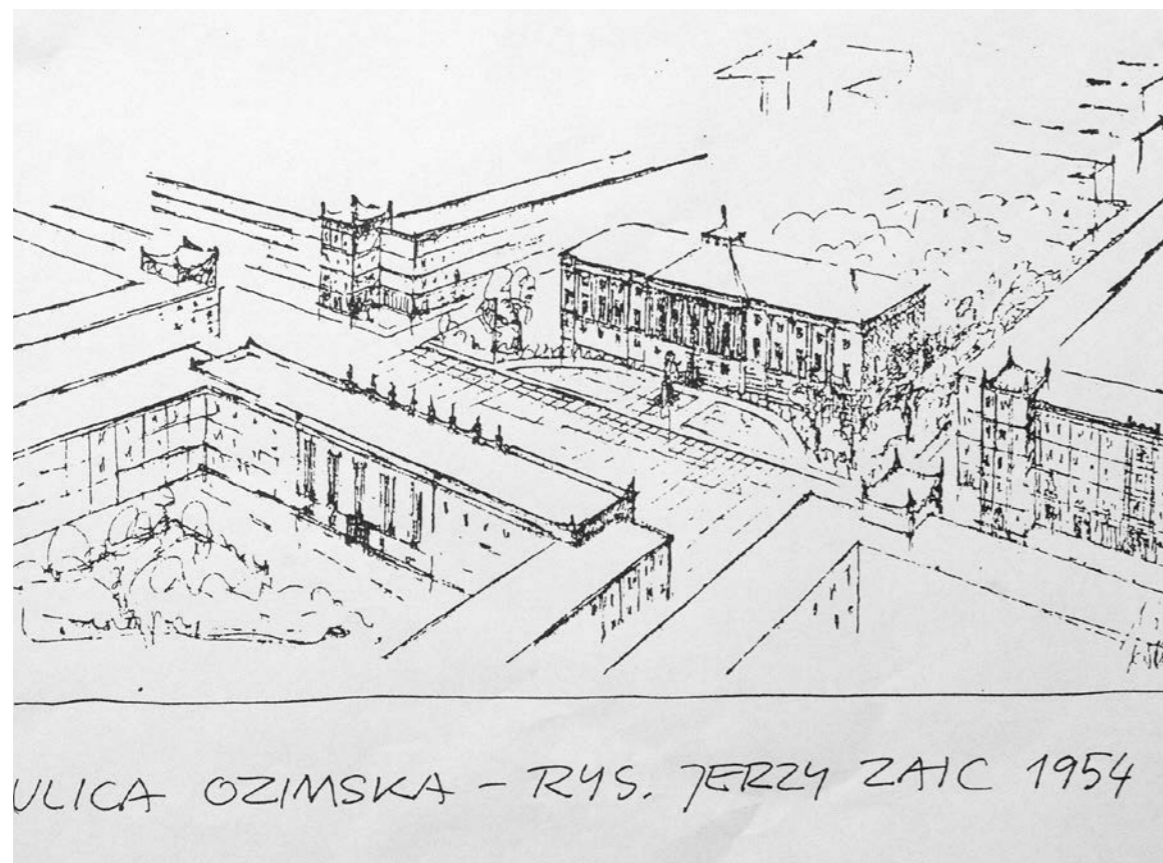
Był w Opolu Pałac Kultury i Nauki.

Taki sam jak w Warszawie, tylko trochę mniejszy. Stał na dużym, wolnym placu przy ulicy Ozimskiej, dokładnie pomiędzy dzisiejszym gmachem teatru i tzw. Białym Domem (dziś – gmachem Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Opolskiego, wcześniej – siedzibą Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej). Niedługo wprawdzie tam powstał, bo tylko trzy lata, od 1953 do 1956 roku, ale był nie lada atrakcją dla mieszkańców Opola.

W roku 1953, w latach odbudowy zniszczonego śródmieścia, ulica Ozimska nie miała jeszcze dzisiejszej zabudowy z teatrem i domem handlowym „Opolanin” oraz wieżowcami mieszkalnymi w tle, a duży, niezabudowany

plac przy tej ulicy był miejskim placem targowym z wielką halą targową, w której mieściły się jatki mięsne. Wtedy to w planie urbanistycznym miasta przewidziano rozbudowę ulicy Ozimskiej – na nowe centrum z reprezentacyjnymi gmachami, które stanowiłyby godną oprawę nowej, głównej ulicy miasta, „alei defilad” – ulicy dla pochodów i manifestacji. Zaplanowano usunięcie stąd targowiska i wybudowanie gmachów: teatru, hotelu, kina, domu towarowego i siedziby władz partyjnych. Naprzeciw rozpoczętej już budowy siedziby partii postawiono wtedy makiety warszawskiego pałacu.

W Warszawie już od roku trwała budowa Pałacu Kultury i Nauki, najsłynniejszej budowli socrealizmu, daru Związku Radzieckiego. Bardzo głośno było o tym w kra-



Tak, w zamysle Jerzego Zaica, miała wyglądać reprezentacyjna ulica Ozimska w Opolu, centralne miejsce defilad i manifestacji (szkic z 1954 r.)

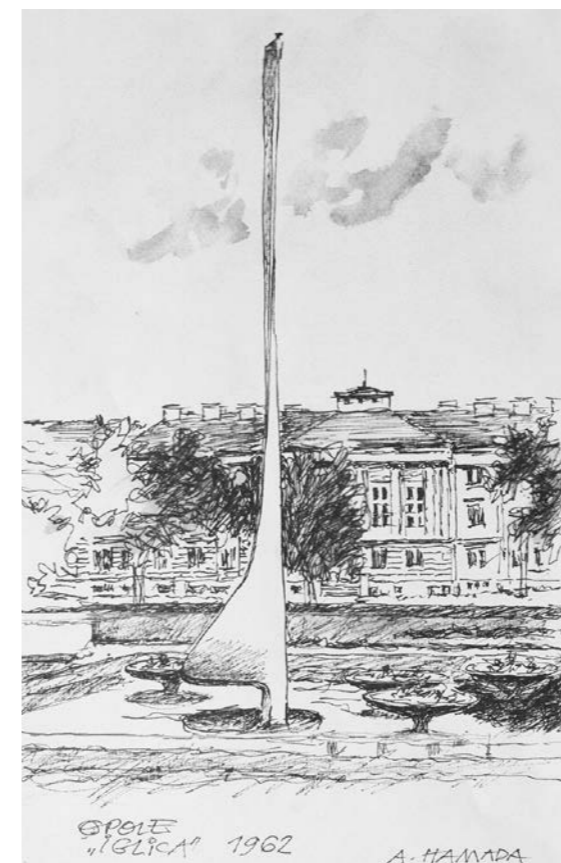
ju, publikowano projekt ogromnej, wspaniałej budowli, najwyższej w Polsce, wykonywano jej makiety. Nasz „pałac” przy ulicy Ozimskiej, odślonięty w dniu, a jakże, 1 maja 1953 roku, prezentował się znakomicie, wysoki na jakieś 11 metrów, odrobiony ze wszystkimi detalami i ozdobami, mógł budzić zainteresowanie. Wędrownikom mieszkańców, zwłaszcza matek z dziećmi, nie było końca. Opole stało na wysokości zadania i wyprzedziło znacznie budowniczych warszawskich, którzy wtedy grzebali się jeszcze w ziemi.

Często wtedy bywałem w Warszawie, zawsze wstępowałem (po drodze z dworca głównego) na najsłynniejszą w kraju budowę. Pasjonujące było śledzenie postępu robót, podziwianie jej ogromu. Pamiętam pierwszy, niesamowicie wielki i głęboki wykop: ogromna dziura w ziemi, a na skraju drewniany pomost, platforma widokowa

zawsze pełna widzów. W tym właśnie czasie, kiedy warszawski pałac zaczął wychodzić z ziemi, stanęła w Opolu jego makietka. Jawiła się wtedy jako symbol sukcesów odbudowy stolicy kraju. I podnosiła rangę naszego wojewódzkiego miasta.

W 1954 roku ukończono budowę stojącego naprzeciwko „pałacu”, Białego Domu – siedziby władz partyjnych. Makietka „pałacu” dobrze korespondowała z jego socrealistyczną architekturą. I przypominała, kto tu w końcu rządzi...

A po dwóch latach opolski „pałac” nagle znikł. I żadnych oficjalnych powodów tego zniknięcia nie podawano. Różne były domysły, także taki prozaiczny, że po prostu zagnieździły się tam szczury, bo smakowały im płyty październikowe, z których była wykonana makietka.



„Igllica” Floriana Jesionowskiego na krótko zajęła miejsce „pałacu” (rys. Andrzej Hamada)

Siedlisko szczurów – wystarczający powód do jej likwidacji.

Minęło parę lat. Budynek partii wymagał rozbudowy. Dobudowano więc skrzydło tylne, równoległe do ulicy Dubois, według projektu architekta Floriana Jesionowskiego (był członkiem partii, jeden z niewielu architektów w Opolu). Dla ozdobienia pustego po makiety przedpola budynku zaprojektował Jesionowski „Igllicę” – ozdobny obelisk, który ustawiono w miejscu wcześniejszej makiety „pałacu”. I ta „Igllica”, pięknie wykształcona, na wzór pionowo wijącej się wstążki otoczonej poziomymi, okrągłymi misami kwiatowymi – też nie postać długo. Nietematyczna, bezideowa, nie w duchu panującej doktryny, nie odpowiadała partyjnym prominentom i – tak jak wcześniej makietka „pałacu” – zniknęła nagle. Szkoda tej „Igllicy”, bo był to typowy „Jesion” (tak nazywa-

liśmy Jesionowskiego): miękkie krągłe kształty, jak fontanna i słynny Grzybek na placu Wolności, jak amfiteatr.

A później, gdy na placu pojawiły się reprezentacyjne budowle, z teatrem na czele, stanął w tym miejscu (po „pałacu” i „Igllicy”) „Pegaz” – skrzydlaty koń, rzeźba w metalu, dzieło Mariana Nowaka, znakomitego opolskiego rzeźbiarza. I to dzieło wkrótce jako mało ideowe podzieliło los poprzedników – usunięte, znalazło ustronne lokum gdzieś pośród bloków mieszkalnych na dalekich „Chabrach”.

Dzisiaj plac przed teatrem żyje nowym życiem. Minęły trudne, siermiężne czasy. Nie ma już siedziby partii, w Białym Domu mieści się teraz wydział uniwersytecki, ale symbolika polityczna zaznaczyła się na trwałe, w zmienianych często nazwach placu. Bo najpierw, w pierwszych latach powojennych, był tutaj plac Targowy, po nim plac Centralny. W kolejnych latach: plac Lenina, plac Teatralny. A od 2006 r. jest plac Jana Pawła II. *Signum temporis.*

Władze miasta podjęły ostatnio decyzję o przebudowie (upiększeniu) placu Jana Pawła II. Być może, zgodnie z tradycją miejsca, stanie tu kiedyś jego figura.

ADAM WIERCIŃSKI

ZA SZYBKIE PISANIE (49)

W magazynie specjalnym „New York Timesa” i „Wyborczej” nawiązanie do przewidywań Mikołaja Bierdiajewa, autora *Nowego Średniowiecza* (1924) i do prorocstwa André Malraux: *Klimat, którego zwiastunem był Bierdiajew, a który potem znalazł wzorcowy wyraz w prorocztwie André Malraux – „Wiek dwudziesty [sic!] będzie albo religijny [sic!], albo nie będzie go wcale” – dziś w końcu dojrzeła. Faktycznie mamy do czynienia z powrotem religii, choć niekoniecznie w formie wieszczonej przez rosyjskiego myśliciela. Nie jest to bowiem religijność powszechnego miłosierdzia, ale raczej surowy fundamentalizm religijnego prawa, który w niepewnym świecie globalnego turbokapitalizmu odgrywa rolę stabilizatora* (Agata Bielik-Robson, *Nowe średniowiecze*, „Turning Points”, dodatek do: „Gazeta Wyborcza” 2017–2018, nr 302; 1, s. 34).

Z twierdzeniem Autorki, że mamy do czynienia z powrotem religii, można się zgodzić, ale można też polemizować. Dowodów polemistom nie zabraknie. O wierze i religii w świecie „postreligijnym” można rozprawić długo. Ale Malraux na pewno nie mówił o wieku dwudziestym i nie mówił o religii. W czasie rozmowy z André Frossardem pisarz powiedział tak: *Wiek XXI będzie mistycznym lub go w ogóle nie będzie* (1968). A że zmieniano czasem określenie „mistyczny” na „duchowy” czy „religijny” (tak m.in. w książce *Przekroczyć próg nadziei* papieża Jana Pawła II), to już inna sprawa. Autor *Doli człowieczeństwa* na pewno mówił o mistycznym XXI wieku, a nie – religijnym.

Recenzja książki z przedrukowanymi tekstami Tadeusza Dołęgi-Mostowicza z przedwojennej „Rzeczpospolitej” kończy się tak: *O tym, jak bardzo Dołędze zależało na Polsce, dowiódł on nie tylko swoimi zjadliwymi felietonami czy poczytnymi powieściami. Ostateczne świadectwo dał we wrześniu 1939 roku, gdy poległ na przedmościu rumuńskim, osłaniając wycofywanie się z kraju najwyższych władz państwowych [sic!], które potrafił tak bezlitośnie krytykować* (Jan Wilkowicz, *Obywatel Dołęga-Mostowicz*, „Nowe Książki” 2018, nr 1, s. 80).

Pointa efektowna, ale z prawdą niewiele ma wspólnego. Kapral Tadeusz Dołęga-Mostowicz nie osłaniał we

wrześniu 1939 roku wycofywania się z kraju najwyższych władz państwowych; zginął 18 września, kiedy władze były już od wielu godzin po rumuńskiej stronie, a pisarz w mundurze woził chleb z piekarni w Kutach – przez graniczny most na Czeremoszu – dla internowanych przez Rumunów żołnierzy polskich.

Przedruk fragmentu książki o Hitlerze: *Na obszarze c.k. monarchii zwolennicy dążeń niemieckonarodowych czy też niemieckowolnościowych opowiadali się za tym, aby przewodnią rolę w tym wieloetnicznym państwie odgrywali Austriacy pochodzenia niemieckiego [sic!]; kładli też nacisk na solidarność z Niemcami mieszkającymi w bismarckowskiej Rzeszy. Byli w większości lojalni wobec monarchii habsburskiej, jednak akcentowanie „niemieckości” odróżniało ich wyraźnie od liberałów i chrześcijańskich socjalistów... (Peter Longerich, *Narodziny niemieckonarodowego fanatyka*, tłum. Michał Antkowiak, „Rzeczpospolita” 2017–2018, nr 302, s. 34).*

Po co Niemców austriackich nazywać *Austriakami niemieckiego pochodzenia*? Dominująca nacja w monarchii Habsburgów nie rozplynęła się przecież wśród innych, zachowując tylko pamięć o pochodzeniu, nie utraciła odrębności etnicznej, była świadoma swojej niemieckości. Nie była im potrzebna regermanizacja. Na obrzeżach Austro-Węgier zdarzały się przypadki asymilacji (tak się czasem działo w Galicji i Lodomerii, gdzie polszczyli się, a czasem i rutenizowali, osadnicy józeffińscy z krajów austriacko-niemieckich), ale częściej niemczyły się inne nacje monarchii, o czym świadczą dziś jeszcze nazwiska czeskie, polskie, słowackie, węgierskie czy chorwackie wśród mieszkańców Wiednia.

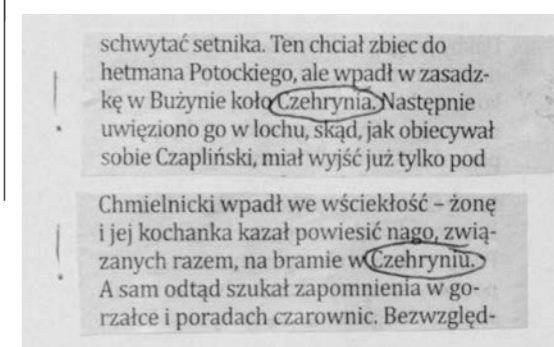
W „Polityce” wydrukowano notkę o wystawie malarstwa Józefa Brandta. Ale ta notka jakoś do „Polityki” nie pasuje. Tak w tym znakomitym tygodniku o sztuce raczej nie pisano. Oto wywody anonimowego autora: *Matejko się chowa. Józef Brandt w Muzeum Narodowym w Warszawie – zapowiada się wystawowy hit. Perfekcyjne połączenie romantyzmu z sentymentalnym akademizmem.*

Pokaz wszystkiego tego, co rodacy kochają najbardziej. Idealistyczna wersja narodowej historii, zbudowana z potyczek, pogoni, wojennych batalii [sic!], polowań, barwnych jarmarków, krytych strzechą karczm [czy nie lepiej: karczem? – A.W.], sennych stepowych krajobrazów. I wszechobecnych koni cwałujących [sic!] na co drugim płótnie [sic!]. Brandt, niegdyś lider tzw. szkoły monachijskiej, to dziś obiekt westchnień wszystkich nowobogackich kolekcjonerów sztuki. Sztuka cudownie zespalająca patriotyczną politykę historyczną obecnej władzy z gustem Januszów i Grażyn. Otwarcie wystawy 22 czerwca („Polityka” 2018, nr 1, s. 119).

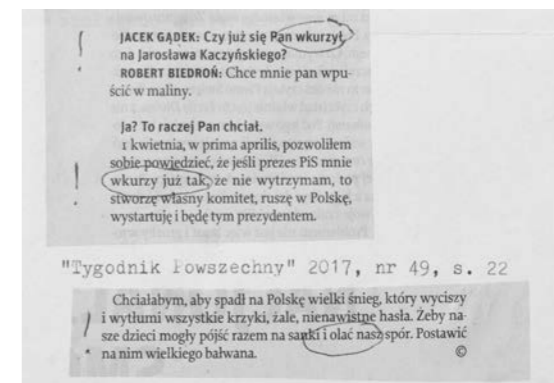
Miało być krytycznie i trochę prześmiewczo. A wyszło zjadliwie i miejscami żałośnie. Co znaczą te wojenne batalie? Po jakiemu to? Któż to wie? Zdaje się, że autor chciał napisać, że Brandt uprawiał też malarstwo batalistyczne. A u Brandta konie wcale nie cwałują na co drugim płótnie. Na jego obrazach można zobaczyć konie we wszystkich chodach, ale najrzadziej w cwale! Nawiasem: najczęściej konie cwałują w westernach: cwałują tam dzielni Indianie (dookoła pędzącego dyliżansu); cwałują kowboje w pogoni za groźnym rewolwerowcem albo za mustangiem czy za odłączoną od stada krową; cwałują też czasem żołnierze 7. Pułku Kawalerii Stanów Zjednoczonych. Na obrazach Brandta konie cwałują rzadko, częściej galopują i kłusują, niekiedy człapią zdrożone, a kiedy indziej stoją ze spuszczoneymi łbami. Tyle różnych koni na tych obrazach, rasowe wierzchowce, rozpędzone konie zaprzęgowe i spracowane szkapę z obwisłymi brzuchami. Wesole i smutne, rozbrykane i znużone. Kare, gniade, deresze, kasztanki i siwosze. Trafi się czasem sroczak, a nawet i tarant.

Nie wiem, kto zacytuje ci Janusze i te Grażyny, z tekstu wynika, że to tacy marni odbiorcy sztuki. A może to jakiś nowy „sort”? Aż trudno uwierzyć, że nawet ambitna „Polityka” mogłaby się brzydko bawić w sortowanie ludzi. Ale notkę pisał ktoś pozujący na jaśnie oświeconego.

Czy odbiorcy o *guście Januszów i Grażyn* na pewno rozumieją malarstwo Brandta? Wytworny kolorysta nie jest taki łatwy, ten „impresjonista ruchu” budził zachwyt nie tylko u naiwnych odbiorców. Nie tylko konie mało-



„Do Rzeczy” 2017, nr 50, s. 69, 70
Nie koło Czehrynia ani w Czehryniu, ale koło Czehryna i w Czehrynie. Jak w znanej kiedyś powszechnie „powieści z lat dawnych”: *Nazajutrz z rana przybywszy do Czehryna pan Skrzetuski stanął w mieście w domu księcia Jeremiego, gdzie też miał kęs czasu zabawić, aby ludziom i koniom dać wytchnienie...*



„Tygodnik Powszechny” 2017, nr 49, s. 22
Ibidem, s. 31
Język trywialny na łamach pisma społeczno-kulturalnego. Nawet tam już trafili „wkurzacz” i „olewacz”

wał Brandt. Zostawił po sobie również portrety, sceny rodzajowe i pejzaże. Czy wyobrażeni przez autora notki odbiorcy o marnym guście wiedzą coś o świecie z tych obrazów? Czy wiedzą, co to „czwórka w lejc” czy „czwórka w poręcz”? Czy wiedzą coś o historii XVII wieku, czy orientują się w geografii, czy wiedzą, gdzie leży daleki Chocim (*Chodkiewicz pod Chocimiem*) i jeszcze dalsza Bałta (*Jarmark w Bałcie*), że o Koldyndze nie wspomnę (*Czarnecki pod Koldyngą*). Czy wiedzą, co to pancerni, a co to husarze? Czy wiedzą, czym się różni husarska kopia od kozackiej spisy? Czy wiedzą, co to husaria? Może znają skrzydlatych jeźdźców tylko z naszywek na „odzieży patriotycznej”? Tak się składa, że husarze zniknęli nawet z *Wielkiego słownika poprawnej polszczyzny PWN* (Warszawa 2004 i wydania następne), tam między hasłami „hurtowy” i „husky” zabrakło miejsca dla husarzy. Pisałem już o tym kilka razy. Już nie tylko Janusze zaczęli mylić husarzy z huzarami. Nie poszła w las nauka. Tłumaczka jednego z opowiadań Gézy Csátha kazala małemu chłopcu pod koniec XIX wieku podziwiać na Węgrzech husarzy (!) zamiast huzarów: *W palącym słońcu zobaczyłem lśniąca broń i zastęp husarii* [sic!]. *Uważnie mi się przyjrzałem i zgodnie ze swoim zwyczajem zasalutowałem jadącemu na czele kapitanowi* (Géza Csáth, *Opium. Opowiadania i dzienniki*, Warszawa 2016, s. 173).

Ża szybko piszący zapominają często o tym, że dawna sztuka nie jest dla wszystkich. I wcale nie jest łatwa w odbiorze. Tyle zagadek kryje dawne malarstwo, coraz trudniejsza do odczytania dawna literatura. I Brandt coraz trudniejszy, i coraz trudniejszy dla współczesnych czytelników Sienkiewicz. Wybitny sienkiewiczolog tłumaczył: *Może być tak, że filmowe „Ogniem i mieczem”, „Potop” i „Pan Wołodyjowski” w sposób naturalny będą funkcjonowały w sferze kultury masowej, a Sienkiewiczowska „Trylogia” – nawet bardziej niż kiedyś – będzie utwierdzała swoją pozycję jako dzieło kultury wysokiej, przeznaczonej dla nielicznych. Ta okoliczność nie jest wcale pocieszająca, ponieważ stan taki będzie (a może już w jakimś stopniu jest) skutkiem coraz radszych kompetencji – zarówno kulturowych, jak i językowych – niezbędnych do lektury „Trylogii”. I to takich kompetencji, które pozwalają wydobyc z powieści jej pełne ideowe przesłanie, o wiele bardziej złożone, niż najczęściej cytowane za autorem ostatnie słowa „Pana Wołodyjowskiego” i cyklu zarazem, aktualne także i dzisiaj. A także kompetencji, nakazujących docenić artystyczną jakość powieści, którą autor pomyślał i zrealizował szczęśliwie w ten sposób, że zapewnia wielopoziomowość*

odbioru, co pozwala każdemu z czytelników wynieść z lektury tyle, ile potrafi dostrzec, zrozumieć i docenić (Andrzej Stoff, *„Trylogia” Henryka Sienkiewicza: literatura wysoka czy popularna?*, „Cywilizacja” 2010, nr 33, s. 74).

Autor notki w „Polityce” zapomniał, zdaje się, o kompetencjach kulturowych, których może zabraknąć odbiorcom o gustach Januszów i Grażyn.

* * *

Kilka za szybko napisanych zdań w dodatku historycznym do gazety o dużym nakładzie; skomplikowane stosunki polsko-ukraińskie miały się przedstawiać tak: *Na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej Polacy są na ogół szlachtą, Ukraińcy (do początków XX w. określani jako Rusini) – chłopami. Konflikty – społeczny, religijny i narodowościowy – nakładają się na siebie, co tworzy wyjątkowo niebezpieczną mieszankę wybuchową. Nie zapominając o rzezi wołyńskiej, musimy uprzytomnić sobie dość oczywisty fakt, że przez ogromną większość czasu to Polacy tak czy inaczej dyskryminowali Ukraińców, a nie odwrotnie* (Maciej Janowski, *Bez niepodległej Ukrainy...*, „Ale Historia” 2018, nr 1, s. 12).

Różnie bywało na ziemiach ruskich dawnej Rzeczypospolitej. Inaczej na Rusi Czerwonej, inaczej na Wołyniu, a jeszcze inaczej na Braclawszczyźnie czy na Kijowszczyźnie. Nie zawsze konflikty społeczne, religijne czy narodowościowe nakładały się na siebie. Polski pan bywał tam często spolszczonym kniazem czy bojarem ruskim, a niepolski chłop – zrutenizowanym włościaninem polskim, a niekiedy i drobnym szlachcicem, przybyszem z Korony. Nie tylko Polacy osiedlali się na Rusi. Henryk Litwin przypominał, że *Wśród Koroniarzy również zdarzali się Rusini, a przecież występowały także przykłady rutenizacji szlachty polskiej. Migracja ludu herbowego na Ukrainę nie miała więc jednoznacznie polonizacyjnego charakteru* (Henryk Litwin, *Napływ szlachty polskiej na Ukrainę 1569–1648*, Warszawa 2000, s. 152). Zauważył Jasienica: *Magnat ukraiński ciągnął na zachód, chłop polski na wschód. Drugi z tych prądów był dość masowy, pierwszy elitarny, lecz za to powszechny* (Paweł Jasienica, *Rzeczpospolita Obojga Narodów. Srebrny Wiek*, Warszawa 2007, s. 208).

Płynne bywały na Rusi granice między odmiennymi nacjami i żywiołami. Syn ruskiego kniazia i Mołdawianki z gospodarskiego rodu, który przeszedł na katolicyzm dopiero w dwudziestym roku życia, stał się znanym polskim magnatem (Jeremi Wiśniowiecki); kilka wieków później, przed pierwszą wojną światową, polski ziemia-

nin z Wołynia, Wacław Lipiński (1882–1931), wybrał z pełną świadomością narodowość ukraińską i podpisywał się jako Władysław Łypyński. A syn osadnika niemieckiego i polskiej szlachcianki został wybitnym pisarzem ukraińskim (Iwan Franko). Pisał też po niemiecku, po polsku i po rosyjsku. Na pytanie niektórych rodaków, dlaczego pisze po polsku, odpowiadał: *Bo umiem*.

Po co powtarzać mity utrwalane przez wczorajsze podręczniki. W powiatach tarnopolskim, skałackim i trembowelskim, gdzie kilkadziesiąt lat temu większość mieszkańców podawała język polski jako ojczysty, nie mieszkała przecież tylko polska szlachta! Na szerokim polsko-ruskim pograniczu kultur, wier i języków, zachodziły w ciągu wieków skomplikowane procesy: polszczyli się tam ziemianie ruscy i rutenizowali polscy włościanie i szaraczkowa szlachta. Paradoksy historii. Pisał Jan Stanisław Bystron: *Ależ też ruszczały szybko liczne zastępy osadników polskich, osiadłych wśród ludności ruskiej; wchodzili oni w stosunki z sąsiadami, zawierali związki małżeńskie, ulegali urokowi bogatej kultury ludowej; nawet drobna szlachta zapomniała czasem o swych tradycjach i rozplywała się w morzu ruskim, cóż dopiero ludność włościańska. Brakło w okolicy kościoła katolickiego, to do cerkwi uczęszczano i dzieci na grecki obrządek zapisywano, nawet na prawosławie* (Jan Stanisław Bystron, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, wyd. 3, Warszawa 1976, t. 1, s. 46).

Nikt nie policzył, ilu polskich włościan rozplynęło się w ruskim otoczeniu w przeszłości. Polacy nosili tam niekiedy nazwiska ruskie (ukraińskie), Rusini – polskie, ich potomkowie żartują czasem, że mogliby się zamienić nazwiskami. „Królewęta” o ruskim rodowodzie (Ostrogscy, Zasławscy, Koreccy, Wiśniowieccy, Zbarascy) korzystali często z usług „przywabiaczy” i ściągali osadników z zachodu: *Pęd uchodźczy znad Wisły, zwłaszcza ludu wiejskiego i mieszczan, był tak silny do końca XVI w., że Sejm Rzplitej powziął w tym okresie kilka dzieł konstytucji, zakazujących ucieczki na Ukrainę włościanom i stanowiących surowe kary na „przywabiaczy” cudzych poddanych. Mimo tego „Ziemie Środkowej Polski” z nieobliczalną stratą dla siebie pustoszały* (Władysław Wielhorski, *Ziemia Ukrainne Rzeczypospolitej. Zarys dziejów*, „Pamiętnik Kijowski”, t. 1, Londyn 1959, s. 27). Gdybyż pamiętali o tym za szybko piszący o „kolonizacji”, „polonizacji”, „ekspansji” czy „dyskryminacji”. Jakże często niedawni osadnicy z ziem polskich występowali i w innych rolach: *Zbiegowie lub ich potomstwo, najczęściej już zrutenizowane, brało udział w wieku*

Po niemiecku sentencja: „Prawda was wyzwoli” brzmi: „Wahrheit macht frei”. Hitlerowcy sparodiowali ją w słynnym napisie na bramie Auschwitz i innych obozów śmierci: „Arbeit macht frei” („Praca/roboty was wyzwoli”). Dla chrześcijan, którzy wchodzili do piekła obozowego, to bluźnierstwo było dodatkowym upokorzeniem. To, że chrześcijaństwo kładzie

„Do Rzeczy” 2017, nr 51, s. 34
To osławiony napis (albo sławetny), ale nie słynny!

A swoją drogą, co za wstyd z powodu Nobla za „Quo vadis”, jednostronną powiastkę o tym, jak postępowy, rozwinięty Rzym ściera się (by za parę wieków zginąć) ze wstecznym obskurantem chrześcijaństwem.

„Do Rzeczy” 2018, nr 5, s. 60

worodka. Domyślniejsi już chyba wiedzą, że chodzi o samego pana Jacka Żakowskiego, który w swoim kochanym Tok FM powiedział, że, uwaga, uwaga: „W pustyni i w puszczy” to książka rasistowska i źle napisana”. Odważnie, ale skoro to pan Jacek orzekł, Sienkiewicz idzie do śmietnika.

Co prawda grafomański pisarz dostał za „Quo vadis” Nobla. Co prawda w Polsce w „Pustyni...” zaczytywało się sześć pokoleń, a książkę przetłumaczono na 25 języków. Ale szczęśliwie Żakowski, jak to się mówi na YouTube, Sienkiewicza „zaorał”. Teraz czas na grafomanę Orzeszkową, dziada Żeromskiego, świra Prusa. Wszyscy do kosza, przemie-

„Sieci” 2018, nr 5, s. 108

„Do Rzeczy” 2018, nr 5, s. 60
„Sieci” 2018, nr 5, s. 108

Po co powtarzać niegdysiejsze plotki i wmówienia? Sienkiewicz wcale nie otrzymał Nagrody Nobla za *Quo vadis*, otrzymał ją w 1905 roku za dotychczasowy dorobek, za „znakomite zasługi jako pisarza epickiego”

XVII w walkach Kozaków przeciw Rzplitej oraz przeciw miejscowym wielkim panom, wnosząc do nich temperament, nie mniej zapalny, niż Kozaków miejscowych, rodowitych Rusinów (Ibidem, s. 25).

Nie było tam prostych podziałów, nie można z taką pewnością powtarzać, że przez ogromną większość czasu to Polacy tak czy inaczej dyskryminowali Ukraińców, a nie odwrotnie. Zapomniane studia i rozprawy Aleksandra Jabłonowskiego czy Aleksandra Brücknera, za mało znane współczesne prace Henryka Litwina czy Natalii Jakowenko. Przytomne uwagi Janusza Tazbira: *Warstwy rządzące Rzeczpospolitą równie mało przejmowały się rutenizacją polskiego chłopca, który osiedlając się na Ukrainie przejmował nie tylko obyczaje i wyznanie, lecz także języki tamtejszych ludności, co i uporczywym trwaniem przy niemieckim mieszkaniu Prus Królewskich* (Janusz Tazbir, *W pogoni za Europą*, Warszawa 1998, s. 157).

Po co utrzymywać stereotypy, po co ta mitologizacja. I po co dzisiejsze pojęcia przenosić w czasie? Pisał kiedyś Tazbir o unii brzeskiej (1596) i przypomniał historyków rosyjskich, którzy utrzymywali, że unia ta przyczyniła

się do polonizacji niedawnych prawosławnych, wynaradawianie Rusinów miało się dokonywać pod przymusem, i to brutalnym: *Jest to podobny mit historyczny jak twierdzenie, iż powstania kozackie były walką uciskanych, wyłącznie ruskich chłopów z czysto polską magnaterią. W istocie zaś słabo nieraz spolonizowani królewiczy kre-sowi musieli się ścierać z poddanymi, wśród których sporą część stanowili zbiegowie z ziem etnicznie polskich. Postępy, jakie czyniła wśród nich rutenizacja (czy – jak kto woli – ukrainizacja), należy zaś chyba w jakiejś mierze przypisać właśnie unii* (Janusz Tazbir, *Polska na zakrętach dziejów*, Warszawa 1997, s. 88).

BAJKI NA PRZEBUDZENIE

JOANNA CZAPLIŃSKA, PIOTR STEC

MISZLENA PRZEWODNIK PO GASTRONOMII MAGICZNEJ

W pałacyku z marcepanu żył sobie onegdaj, a może nawet trochę bliżej naszych czasów, w nieodległej Pololandii, mag Eskofier, wabiący ku sobie dzieci spragnione lukru, którym ozdabiał produkowane przez siebie wypieki. Lukier, jak to lukier, był słodki, więc nietrudno było przyciągnąć rzeszę ufającą, że smak słodczy pozostanie w ustach na zawsze, co zapewnić miał zapewne prestiż maga. Adeptci szkolący się w marcepanowej chatce lukrowali więc torty, ciasta i ciasteczka, prześcigali się w wymyślaniu receptur na jeszcze bardziej migdałowy marcepan lub jeszcze bardziej aksamitną polewę. Gdy zdali egzaminy u Eskofiera, przechodzili pod kuratelę czarownika Bokusa, hodującego w pałacowym lesie dziki szkolone do poszukiwania trufli, a w przypałacowym kurniku stada gęsi, by dzięki zawiłym i pilnie strzeżonym recepturom uczyć przyrządzania potraw godnych gustów najwybredniejszych smakoszy. Wysiłki żaków niepozostawały niedostrzeżone – każdy nowy pomysł na wyciśnięcie ze słodczy słodczy jeszcze większej lub sporządzenie *foie gras* jeszcze bardziej rozplywającego się w ustach był nagradzany łaskawym uśmiechem mistrzów, tudzież zapewnieniem coraz wyższej pozycji w rankingu Westeronu.

Wiele uczennic i uczniów maga Eskofiera oraz czarownika Bokusa naśladowało model szkoły i restauracji, próbując kopiować je tam, gdzie rzucił ich los. W ten sposób królestwo zaczęło się roić od szkół uczących mistrzów cukierników, sosjerów i kucharzy potrafiących przygotować frytki z wężymordu z dipem awokadowym lub torty w kształcie miniaturowego Wersalu, Sagrady Familii, Taj Mahal, w najgorszym przypadku – psa lub kota. Niektórym z nich się powiodło, jak wiedźmie Brillat, która dzięki pieniądządm dziadka otworzyła eksklu-

zywną szkołę gotowania dla dzieci z miernym talentem, ale zasobnymi portfelami rodziców, czy czarodziejowi Savarin, mającemu szczęście mieszkać w dużym mieście portowym, gdzie nietrudno o bogatych kupców zawsze gotowych sporo zapłacić za ekskluzywną kuchnię i solidne wykształcenie dzieci. Udało się także magom, których szkoła kuchni polowej i survivalowej zyskała wsparcie monarchy Gastrona Chrobrego. Reszcie nie wiodło się tak dobrze. Nawet wtedy gdy nie ustępowali talentem kolegom z czołowych akademii. Bo albo brakowało im kapitału na start, albo bogatych i utalentowanych uczniów, albo jednego i drugiego. I okazywało się, że prowadzenie restauracji na pięć gwiazdek i kształcenie wychowanków nie jest takie proste. Bo jak tu uczyć pieczenia gołąbków, gdy nie tylko na gołąbie, ale nawet na ryż i kapustę nie stać, a uczniowie do matury przystępują, znając tylko trzy zupy, trzy drugie dania i dwa desery? Magowie i maginie radzili sobie, jak umieli, zastępując mąkę tortową otrębkami, masło margaryną, śmietaną jogurtem, a trufle fasolką i pieczarkami, tłumacząc przy tym, że tak właśnie wygląda *haute cuisine*. Jak ktoś coś przypalił czy przesolił, też dziury w niebie z tego powodu nie było. Obniżeniu standardów gotowania towarzyszyło obniżenie wymagań wobec uczniów – przecież żaden z nich nie będzie gotował u Ritza, a pewnie w ogóle nie będzie gotował, więc dając im dyplom mistrza sztuk kulinarnych za pamiątkowe opanowanie „Kuchni pololandyjskiej” nie wyrządzamy nikomu szkody. No i rozniosło się w królestwie, że restauracje są do luzu, a dyplom mistrzowski nie gwarantuje, że taki *maestro culinaris* herbaty nie przypali.

W jednej z takich szkół, Akademii Opololandyjskiej, ster rządów objęła *magistra coquinaria* Henrietta. Pocho-dząca z rodu smakoszy raczej niż kucharzy, rządzący,

pierwsza gotująca w rodzinie, na czele szkoły znalazła się przypadkiem. A raczej dlatego, że nikt inny tej roboty nie chciał. Henrietta szybko dowiedziała się dlaczego: szkoła oferowała dziesiątki specjalności, od molekularnej kuchni zespolonej (studenci przygotowywali tylko część urojonej potrawy) po regionalistykę kulinarną z takimi specjalnościami jak desery mordorskie, kuchnia w poezji Vogonów lub pierożki *na'vi*. Na takie atrakcje chętnych brakowało, tym bardziej, że większa i bogatsza konkurencja oferowała to samo, a nawet więcej i lepszej jakości.

Pewnego dnia, kiedy Henrietta topiła smutki w pucharku melby, usłyszała dzieciaka napierającego, żeby mu dziadek kupił cukrowej waty. *A co ty synek same maszkiety bydziesz jod? Puć, kupia ci żymla i konsek wurstzu, a jak potym bydziesz miał smak na maszkiety, to ci kupia ta wata.*

Henrietta była co prawda na tym etapie życia, w którym pokolenie 60+ najchętniej utopiłaby w pobliskiej sadzawce albo zamieniła w żaby, jednak słowa starszego pana nie dawały jej spokoju. W końcu doznała iluminacji. Nie jest ważne to, czego ona potrzebuje, żeby czuć się spełnioną magistrami sztuki kulinarnej, ważne jest to, czego naprawdę potrzebują jej uczniowie i klienci przychodzący do restauracji. Na ślimaki po burgundzku czy *tournedos a la Rossini* przychodzi się od wielkiego dzwonu, bo to i drogie, i kaloryczne, a w dodatku wymaga odpowiednich dodatków i *entourage'u*. Natomiast prawdziwe gotowanie to kuchnia codzienna, od której zależy komfort życia. Śniadanie, które zjemy ze smakiem przed pracą czy szkołą, obiad z rodziną czy kolacja, po której cholesterol nie zatyka arterii. Poza tym wielka sztuka kulinarna zaczyna się zawsze od opanowania czynności najprostszyc.

Henrietta przemodelowała swoją szkołę. Kosztowało ją to niemało wysiłku, bo nie dość, że musiała uzyskać pozytywną opinię Kulinarnej Komisji Akredytacyjnej i zgody Arcymistrza Sztuk Kulinarynych, który podejrzliwie patrzył na kogoś, kto chce uczyć ZWYKŁEGO gotowania, to jeszcze wytłumaczyć wykładowcom, że ulepszaniu smaku mordorskich deserów powinni się poświęcać poza zajęciami dydaktycznymi i przynosić dzięki temu sławę Akademii, lecz pracę z żakami należy zacząć od nauki pieczenia zwykłego chleba i smażenia dobrej jajecznicy. Po wygranych bataliach Henrietta zaczęła więc uczyć kuchni praktycznej i domowej, pamiętając przy tym, że to, co jemy, nie powinno nas zabijać. Uczyła gotowania z tych produktów, które miała, wykorzysty-

wania tego, co w domu jest, żeby, broń Boże, nic się nie zmarnowało. Uczyła więc „kuchennego kombinowania ogólnego”, zadając zadania problemowe, np. jak z paru kromek czerstwego chleba krasnoludów, jednego jajka i resztek wędlin lub z mąki, wody i twarogu przyrządzić co najmniej trzy różne dania.

Skutki przerosły najsmielsze oczekiwania. Studenci zaczęli walić drzwiami i oknami, bo wreszcie zrozumieli, że to, czego się będą uczyć, ma jakiś sens. „Konkretne studia – konkretne żarcie”, komentowali na palantirowych forach. Karczmy, dwory i lepsze lokale biły się o absolwentów, bo wreszcie ktoś zaczął kształcić ludzi umiejących ugotować to, co chciał zjeść ich klient. W dodatku kuchenne kombinowanie ogólne okazało się świetną szkołą kreatywności, a uczniowie Henrietty wkrótce nie tylko zaczęli wymyślać nowe potrawy, ale przenieśli tę technikę także na pole biznesu i zarządzania państwem.

A inne szkoły? Te wielkie dalej kształcą magów potrafiących wyczarować glazurowaną szarańczę w sosie musztardowym, choć herb akademii na dyplomie nie zawsze gwarantuje im pracę. Te małe szkoły – ludzie, o których można przeczytać w kronice kryminalnej: „tłum pobił kucharza, bo zupa była za słona” czy „Trzy razy wleciał z pracy. Policja ujęła kucharza – truciciela”.

Jak każda bajka, również ta powinna zawierać pewien morał, sprowadzający się do prostej konstatacji, że szkoła wyższa ma przygotować swych żaków do życia i funkcjonowania w świecie, a nauczyciel akademicki powinien *primo loco* mieć na uwadze dobro studenta i jego potrzeby, nawet jeśli wydają mu się one mało ambitne i niezbyt intelektualne. Uczelnia wyższa – czy nam się to podoba, czy nie – to przedsiębiorstwo usługowe, które powinno odpowiadać na potrzeby rynku, bo od tego zależy jego przetrwanie. Jeśli akurat nie sprzedają się faszerywane bażanty, za to ciepłe bułeczki rozchodzą się jak ciepłe bułeczki – kto zgadnie, na co warto postawić?

JAN COFAŁKA

MOTOCYKLEM NA PODIUM

Zjawia się na naszych uroczystościach od lat, często przychodzi pierwszy, zajmując miejsce w pustej jeszcze auli. Zapraszany jest na każdą inaugurację roku akademickiego w Uniwersytecie Opolskim. I witany nieodmiennie słowami, którym towarzyszy burza oklasków: „Jest wśród nas także Jerzy Szczakiel, mistrz świata na żużlu z roku 1973!”

To była wielka sensacja, która 2 września 1973 roku zaskoczyła stutysięczną widownię, zgromadzoną na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Nikt prawie nie liczył, że to właśnie 24-letni Jerzy Szczakiel z Opola, jako pierwszy Polak w historii, zdobędzie tytuł indywidualnego mistrza świata na żużlu.

Po latach wyznał, że jego motocyklowa pasja zrodziła się za sprawą siostr, głównie listonoszki Renaty, która wygrywała liczne zawody kolarskie, zdobywając cenne nagrody, w tym motocykle WFM.

Właśnie WFM-kę, gdy nikogo nie było w domu, uruchamiał już jako siedmiolatek. Był zbyt mały, by na nią wsiąść, podprowadzał więc ten motocykl pod murek, odpalał i z tego murku wskakiwał na siodło. Początkowo jeździł po podwórku, z czasem wypuszczał się dalej, o czym sąsiedzi informowali ojca, od którego za to obrywał.

Kiedy miał 15 lat, spytano go w zawodówce w Opolu, do której uczęszczał, kim chce być. Odparł: żużlowcem. Mówiono o nim „Walczak”, bo nigdy nie odpuszczał na torze, wykazując dużą waleczność. Nawet zarzucano mu, że jeździł za ostro. Wtedy odpowiadał, że nikogo „nie wsadził w dechy”, czyli w drewnianą bandę okalającą wówczas tor żużlowy, choć zdarzyło mu się raz, samemu, pojechać na łuku jednym kołem po niej. Wtedy popularne stało się powiedzenie: „Wyrobił się, jak Szczakiel na wirażu”. Lubił się wyżyć na torze, ale nie było to żadne wariactwo... Potrafił wcisnąć się motocyklem w najmniejszą szczelinę między walczących zawodników.

Szczęśliwy okazał się dla niego rok 1971, w którym najpierw wywalczył awans do finału Mistrzostw Świata w Göteborgu, a potem, w Rybniku, ze starszym o osiem lat Andrzejem Wyglendą, z kompletem 30 punktów, sięgnęli po złoty medal Mistrzostw Świata Par Żużlowych, pokonując takie sławy, jak Barry Brigs i Ivan Mauger z Nowej Zelandii oraz Anders Michanek i Bernt Person ze Szwecji. To ich rekordowe zwycięstwo przetrwało do 1982 roku, wtedy dopiero zdołali je powtórzyć w Liverpoolu żużlowcy Stanów Zjednoczonych.

Największy osobisty sukces osiągnął Jerzy Szczakiel dwa lata później. Przed tym finałem w Chorzowie nie był jednak w najwyższej formie, bo ucząc się do matury, mniej trenował i mocno przeżywał śmierć matki, z którą był bardzo uczuciowo związany. Cekał jednak spokojnie na decyzję, zawsze bowiem był skromny i nie lubił się – jak twierdzi – pchać tam, gdzie go nie proszono... Uczestniczył więc w tych mistrzostwach bez większego psychicznego obciążenia, bo nikt specjalnie na niego nie liczył. Nie należał też do faworytów mediów, których ulubieńcem był najmłodszy z Polaków, 20-letni Zenon Plech ze Stali Gorzów. Na stadionie witał Plecha transparent: „Świat przyjechał do Chorzowa, mistrz pojedzie do Gorzowa!”. Oprócz Zenona Plecha i Jerzego Szczakiela w polskiej reprezentacji znaleźli się Paweł Waloszek, Jan Mucha, Edward Jancarz i – jako rezerwowi – Andrzej Wyglenda.

Była niedziela. Jerzy Szczakiel, jak na Ślązaka-katolika przystało, ogolił się, ubrał odświętnie i poszedł rano z mechanikiem na mszę świętą do drewnianej kapliczki znajdującej się przy stadionie. Po mszy przyprowadzili pod zakrytą motocykle, które ksiądz poświęcił. Potem, zamiast przygotowanego lekkostrawnego obiadu, wykalczył przyzwoity, z ulubionym kotлетem schabowym i kapustą, a przed wyjazdem na stadion uciął sobie małą drzemkę.

Faworytem tych 37. Indywidualnych Mistrzostw Świata na Żużlu w Chorzowie był Nowozelandczyk, Ivan Mauger, czterokrotny mistrz świata, który na dodatek przywiózł nowość techniczną z czeskosłowackiej fabryki Java, gdzie testował motocykle, dominujące wówczas na



Jerzy Szczakiel, mistrz świata na żużlu, Chorzów, 1973. Z lewej – Ivan Mauger, z prawej – Zenon Plech (zdjęcie z archiwum Jana Cofalki)

torach żużlowych. Dostał tam silnik z tzw. długim skokiem tłoka w cylindrze, czym pochwalił się na treningu. Ale bardzo szybki motocykl Maugera, co zdążyli z mechanikiem zauważyć, miał drobną, lecz istotną wadę – nie najlepiej wychodził ze startu.

Jerzy Szczakiel rozpoczął od zwycięstwa nad koalicją skandynawsko-angielską. Z Ivanem Maugerem zmierzył się w ósmym wyścigu i choć przypadło mu niezbyt korzystne miejsce przy bandzie, zdołał objąć prowadzenie. Tuż za nim pędził Paweł Waloszek, a Ivanowi Maugerowi nieoczekiwanie przyszło walczyć o jeden punkt z Rosjaninem Walerym Gordiejewem.

W kolejnym wyścigu Eda walczył ze Szwedem Andersem Michankiem oraz Zenonem Plechem i Janem Muchą. Szwed zerwał taśmę startową i został wykluczony z walki, tym sposobem pozostała na torze trójka Polaków. Zenon Plech spóźnił start i potem już tylko mógł oglądać oddalającego się coraz bardziej, dobrze usposobionego tego dnia Szczakiela. Do piętnastego wyścigu przystąpił już jako lider z trzema zwycięstwami na

koncie, ale przegrał z Rosjaninem, Grigorijem Chłynowskim, a w kolejnym dał się wyprzedzić Duńczykowi Ole Olsenowi. W rezultacie okazało się, że Szczakiel i Mauger zgromadzili po 13 punktów i o mistrzostwie świata miał zdecydować dodatkowy wyścig. Do rozstrzygającego pojedynku stanęli Ivan Mauger z Nowej Zelandii i dziesięć lat od niego młodszy opolanin, Jerzy Szczakiel.

Zacząła się – jak wspomina Jerzy Szczakiel – niezbędna przed takim pojedynkiem celebry. Jeszcze przed startem wiedział, że ma już pewny srebrny medal. Nie spodziewał się, że będzie stać go na pokonanie, po raz drugi tego dnia, takiego asa jak Ivan Mauger, dlatego zgodził się, by to on losował tory. Mauger wylosował pierwsze pole, Szczakiel miał się ustawić na mniej korzystnym zewnętrznym trzecim. Teraz wszystko miało zależeć od startu. Wystarczyło, że obaj ruszą spod taśmy równo i będzie *po ptokach*, bo Mauger, posiadając szybszy motocykl, wszedłby przed Szczakiem w pierwszy wiraż i już by go nie dogonił.



2 X 2013. Jerzy Szczakiel i rektorzy – gospodarze i goście inauguracji roku akademickiego na Uniwersytecie Opolskim (fot. Jerzy Mokrzycki)

Mauger pierwszy podjechał do taśmy i w skupieniu, nieruchomo czekał na jej zwolnienie. Szczakiel podjechał po nim i świetnie wcelował w moment, kiedy taśma startowa wystrzeliła w górę. Wygrał start, po czym mocno ściął do krawężnika i przed Maugerem wszedł w pierwszy łuk. Stary mistrz jednak nie odpuszczał. Na prostej rozpędził maszynę i zbliżył się, chcąc go na kolejnym łuku wypchnąć pod bandę i wyprzedzić. Wyczuł jednak ten manewr i – jak mu radził mechanik – nie oglądając się do tyłu, pędził do przodu, pilnując krawężnika, bo to był klucz do sukcesu. Doganiający go Mauger przeszarżował, dotknął przednim kołem tyłu jego motocykla i upadł, co Szczakiel zauważył.

Trudno dziś orzec, czy gdyby nie upadł, pokonałby go na dystansie, czy nie? Stało się to, co się stało, i Szczakiel przy ogłuszającym dopingiem kibiców zmierzał samotnie do mety po pierwsze w dziejach polskiego żużla indywidualne mistrzostwo świata. Niektórzy twierdzą, że stojąc na podium, płakał. On zaś płakał tylko na pogrzebie matki. Wtedy, w Chorzowie był po prostu bardzo szczęśliwy.



Migawka z ulicy w Indiach (fot. Anna Zasadna)

NASI ABSOLWENCI

BARBARA STANKIEWICZ

NAJŁATWIEJ PODAROWAĆ LITOŚĆ

Braci było trzech: D'jeeco, Ashmar i Abeecu. Bardzo inteligentni, delikatni. Przyglądali się zza krat, czasem dotykali jej dłoni. Był rok 2005. To wtedy Anna Zasadna, studentka II roku ochrony środowiska na Uniwersytecie Opolskim, przymierzająca się do pisania pracy magisterskiej o zachowaniu w niewoli goryli, naturalnie zamieszkujących lasy tropikalne w Afryce, zniechęciła ogrody zoologiczne.

Dzieci było pięcioro. Ich dwudziestopięcioletnia matka przez kolejne doby krzyczała, wijąc się w nowotworowych męczarniach. Morfiny nie było. Ojca dzieci też nie, odszedł. Był tylko ketonal, a przy łóżku umierającej – Anna Zasadna, magister ochrony środowiska, studentka

II roku pielęgniarstwa w Poznaniu, która właśnie odkryła, że nienawidzi cywilizacji europejskiej. Był rok 2010, hospicjum w Nanyuki, Kenia.

Między opolskim ogrodem zoologicznym a hospicjum w Kenii dużo się wydarzyło w życiu Anny z Olesna, idealistki, robiącej wrażenie trochę zamkniętej w sobie dziewczyny. Przez dwa miesiące, z dwójką przyjaciół i plecakiem wędrowała przez Chiny, Bangladesz i Indie. W Polsce przeszkadzała jej nawet obca stopa postawiona zbyt blisko jej stopy. Tam, na zatłoczonych ulicach, bez przerwy potykali się o leżących, wychudzonych, chorych lub już umierających ludzi. Nie dało się przejść inaczej, jak tylko ponad ich głowami. Wróciła z postanowieniem, że

nie chce być turystą z Europy fotografującym malowniczą biedę w krajach Trzeciego Świata.

Skończyła studia w Opolu, podjęła kolejne: pielęgniarstwo w poznańskiej Akademii Medycznej im. Karola Marcinkowskiego. A w Poznaniu trafiła do Fundacji Pomocy Humanitarnej Redemptoris Missio Polska. Jako wolontariuszka pakowała bandażę i leki – paczki wysyłano do szpitali i hospicjów w Afryce, dokąd polscy studenci trafiali zwykle po trzecim roku studiów. Ona, z przyjaciółką, uparła się wyjechać już po drugim. Udało się, ale musiały zapłacić za bilety. I tak trafiła, na trzy miesiące, do hospicjum w Nanyuki, miasteczku u podnóża Mount Kenya, w którym niegdyś stacjonowali żołnierze amerykańscy.

Nie był to jej pierwszy pobyt w Afryce. Rok wcześniej objechali wspólnie z przyjacielem, stopem, Maroko, Saharę Zachodnią, Mali, Mauretanię, aż po Senegal. Z tej trzymiesięcznej podróży przywiozła do Polski parę zdziwień. Choćby takie, że w małej marokańskiej wiosce żyje człowiek, który nie ma łazienki, właściwie to nie ma niczego, a mówi paroma językami i wie, jaka w Polsce obowiązuje waluta (tu trzeba uczciwie dodać, że nie wiedział, gdzie leży Europa Zachodnia, ale pytał np. o generała Jaruzelskiego).

Zdziwienie kolejne dotyczyło jej samej. Bo odkryła, że chciałaby tu zamieszkać. Tu, czy w jakimkolwiek innym kraju tak zwanego Trzeciego Świata.

Hospicjum w Nanyuki założyli włoscy misjonarze, a prowadzi je polska zakonnica. Sale w literę L, łącznie 80 łóżek, mały, zadbany ogród, kenijscy pielęgniarze, brak sprzętu, leków i środków opatrunkowych (z wyjątkiem waty). I odleżyny, jakich w Polsce już się nie widuje. Choroby psychiczne, starość, czasem trąd, choroby przewlekłe, a najczęściej AIDS – pokłosie powszechnej w miasteczku prostytucji. To właśnie tam podawała ketonal krzyczącej z bólu, umierającej na raka kobiecie. I dziwiła się, że można umrzeć na życzenie w wieku dwudziestu lat.

– To był chłopak, który właśnie dowiedział się, w poradni, że jest zarażony wirusem HIV. Załamał się zupełnie, po paru dniach od diagnozy był już w stanie agonalnym. I zmarł. To były moje pierwsze śmierci.

Po ukończonym trzecim roku pielęgniarstwa wyjechała do Zambii. Sierociniec w Kasisi, 37 kilometrów od stolicy kraju, prowadzony przez Służebniczki Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej z polskiej Starej Wsi.

Nie była tam całkiem sama (siostra prowadząca ośrodek wyjechała do kraju na urlop, zmieniała ją kenijska pielęgniarka, która w Afryce ma status lekarza, bo tych brakuje). A wokół ludzie porozumiewający się w obcym dla niej nyanja i 76 innych językach (w Kenii było łatwiej,

wystarczyło znać suahili, którego podstawy opanowała przed wyjazdem). Ogromna bieda i ogromne kontrasty. Tu, w lepiankach, dzieci umierały od biegunki, a niespełna trzydzieści kilometrów dalej, w Lusace, rosły kolejne luksusowe rezydencje i drogie sklepy.

Sierociniec w Kasisi: 250 wychowanków, od jednodniowych po dwudziestoparoletnie. Sieroty, narkomani, nosiciele wirusa HIV, chorzy na AIDS (w Afryce mówi się o AIDS: *ta choroba*), gruźlicę, dzieci chore z niedożywienia, prostytutki się na ulicach. Wśród nich był Nixon (różne dziwne imiona można spotkać w Zambii, jego rodzice postanowili nadać mu prezydenckie), chłopak-przypadek, z którym Anna do dziś nie może sobie poradzic.

– To był szalenie miły szesnastolatek, wychowywała go ulica. Nie ominęło go żadne zło – choroby weneryczne, narkotyki, prostytucja... Do nas trafił z innego ośrodka opiekuńczego, na krótko, bo uciekł z powrotem na ulicę.

Albo bliźniaki, których matka zmarła po porodzie, a ojciec o nich zapomniał – co jest normą w Afryce, tam ojciec nie zajmuje się dziećmi, po śmierci matki trafiają do sierocińca lub rodziny. Waga każdego z tych trzyipółletnich dzieci nie przekraczała trzech kilogramów. Próba przełknięcia łyżeczki pokarmu kończyła się torsjami. Karmiła je, podając mikroskopijne ilości, przez całą dobę.

Do Kasisi wróciła po roku, na dwa lata. Po Lusace, jak zauważyła, jeździły jeszcze bardziej luksusowe samochody, w sierocińcu tymczasem pojawiły się lepsze leki i lepsze jedzenie, co było zasługą Szymona Hołowni, który w 2013 r. założył Fundację Kasisi.

Tym razem nie miała już do pomocy zambijskiej pielęgniarki, cały sierociniec spoczywał na jej szczupłych barkach, już sama nie wie, co było gorsze: fizyczne czy psychiczne zmęczenie. Pracowała za darmo, korzystała jedynie z darmowego wyżywienia i noclegów. Do jej obowiązków należała nie tylko opieka medyczna, ale i pomoc dzieciom w przygotowaniu do matury.

– Egzamin się zbliżał. Wymagania maturalne – wcale nie mniejsze niż w Polsce, a one, bo to były głównie dziewczynki, dodawały liczby na palcach... Bo poziom szkół publicznych w Zambii jest tragiczny, klasy liczą przeciętnie stu uczniów.

Jest rok 2015. Anna wraca do Olesna. Wraca z dystansem – do siebie, do problemów, jakimi żyją ludzie wokół. Dziwi się powszechnym narzekaniem. I zastanawia, co dalej. Przestaje się zastanawiać, kiedy trafia na ogłoszenie opolskiego hospicjum „Betania”, które poszukuje pielęgniarek. I dziś już wie, że to jest jej miejsce. Tu trzeba dodać, że o pracy w hospicjum myślała od dawna, za sprawą



Kenneth, wychowanek sierocińca w Kasisi (fot. Anna Zasadna)

prof. Jacka Łuczaka, lekarza – legendy, prekursora opieki paliatywnej w Polsce, twórcy poznańskiego Hospicjum Palium, którego poznała w okresie studiów pielęgniarskich, a o którym mówi krótko: *cudowny człowiek*.

Została pielęgniarką w „Betanii”. Ale marzeń o pomaganiu ludziom w krajach Trzeciego Świata nie porzuciła. We wrześniu 2016 r. pojechała do Afganistanu jako wolontariuszka fundacji, której nazwy, ze względów bezpieczeństwa, woli nie wymieniać: w maju ubiegłego roku jej siedziba, w Kabulu, została zaatakowana przez uzbrojonych napastników, jedna osoba zginęła, drugą porwano. Po tej tragedii działalność fundacji zawieszono, wszyscy zostali ewakuowani.

– Ta fundacja pracuje z afgańskimi kobietami – edukatorzy uczą je, jak świadomie planować ciążę, jak dbać o siebie i o dziecko.

I to właśnie robiła w czasie dwutygodniowego pobytu w Kabulu, przy pomocy miejscowych edukatorów. Kobiety było piętnaście. Miasto otoczone górami, na zboczach – slumsy. W domkach z gliny i skał mieszkają uchodźcy, którzy wrócili do Afganistanu po nieudanej



Anna Zasadna, sierociniec w Kasisi (Zambia)

próbie osiedlenia się w innych krajach. Warunki bardziej niż prymitywne. Krajobraz surowy, wszystko popielate. – W Zambii czy Kenii – porównuje Anna – ludzie mogą choćby bananowce posadzić. Tu wszędzie są skały, niemal żadnej roślinności. Bieda ogromna, miałam wrażenie, że przeniosłam się do epoki kamienia łupanego.

Mimo to, a może właśnie dlatego, postanowiła wrócić tam na dłużej, przynajmniej na dwa lata. Atak na siedzibę fundacji w Kabulu na razie udaremnił te plany. Wtedy nawiązała kontakt z organizacją Lekarze bez Granic. Pomyśli nie przeszła przez wstępną rozmowę kwalifikacyjną, nie potrafiła i nie chciała jednak kłamać, gdy padło pytanie o jej stosunek do aborcji.

Dlaczego właśnie Afganistan? Odpowiada krótko: – Bo jesteśmy im to winni. Za wojnę, która zniszczyła ich kraj.

W „Betanii” pracuje od dwóch lat. I planuje, za namową jednej z tamtejszych lekarek, ruszyć do Gruzji, gdzie opieka paliatywna nie istnieje, trzeba organizować od zera hospicja domowe.

Wyjazd – jesienią tego roku.

PAWEŁ CZUPRYNA

NASZ PROFESOR

Minęło 55 lat od śmierci prof. Alojzego Gembali

Przed 55 laty, 26 kwietnia 1963 roku, zmarł w cieszyńskim Szpitalu Śląskim prof. dr Alojzy Gembala, były prorektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, wykładowca historii starożytnej na WSP w Krakowie, Katowicach i Warszawie. Spoczął na Cmentarzu Komunalnym w Cieszynie, żegnany przez ogromną rzeszę swych wychowanków, pracowników naukowych wielu uczelni oraz przedstawicieli świata kultury i władz oraz duchowieństwo powiatu cieszyńskiego. Serwis zdjęciowy z tej smutnej uroczystości umieściłem w holu na pierwszym piętrze naszej uczelni, Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, obok rektoratu.

Profesor Alojzy Gembala należał do grona tych naukowców, którzy pomagali ludziom młodym, szczególnie tym biedniejszym. Wielu dzisiejszych magistrów, doktorów oraz profesorów zawdzięcza „Czambalowi”, bo tak go nazywaliśmy, swoją naukową karierę i pozycję społeczną. Odszedł od nas mając zaledwie 59 lat, pełen planów, nie tylko w stosunku do swojej skoczowskiej rodziny, ale i licznej rzeszy wychowanków. Bardzo odczuliśmy jego odejście. Zapanowała wokoło nas pustka, tak jak po odejściu ojca dużej rodziny.

Prof. Alojzy Gembala urodził się 22 maja 1904 roku w Rudzicy koło Bielska. Pochodził z rodziny robotniczo-chłopskiej. Szkołę podstawową i polskie gimnazjum ukończył w Cieszynie. Już wtedy dał się poznać jako niezwykle utalentowany uczeń. Dyrygował nawet orkiestrą w Towarzystwie Muzyczno-Wokalnym „Arion”. W roku akademickim 1923–1924 był słuchaczem Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie, a potem studiował historię i filologię klasyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jako student udzielał się w „Bratniaku”, Stowarzyszeniu Studentów Polaków ze Śląska Cieszyńskiego „Znicz”, działał też w Kole Historyków UJ. W latach 1928–1930 pracował w szkołach średnich Krakowa, a do 1934 roku – w Gimnazjum Polskim w Bytomiu. Do wybuchu II wojny światowej uczył młodzież w gimnazjach: najpierw im. Antoniego Osuchowskiego w Cieszynie, a później



Profesor najchętniej odpoczywał w ogrodzie swojego domu w Skoczowie (fot. Paweł Czupryna)

im. Mikołaja Kopernika w tym mieście. Oprócz tego działał społecznie. Był m.in. członkiem kolegium redakcyjnego „Zarania Śląskiego”.

Okres okupacji przepracował jako magazynier w Cieszynie, Bielsku i Katowicach, a po wyzwoleniu wrócił do „Osucha”, gdzie uczył aż do 1950 roku. Do tamtych lat

cieszyńskich lubił wracać we wspomnieniach, szczególnie podczas naszych wspólnych przejazdów pociągiem z Katowic do Opola. W 1949 r. doktoryzował się na Uniwersytecie Jagiellońskim, po czym związał swoją karierę naukową najpierw z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Warszawie (do 1956 roku), a potem z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Opolu, gdzie w latach 1954–1959 pełnił funkcję prorektora. To dzięki jego zabiegom ta młoda uczelnia nad Odrą szybko poszerzyła profil kształcenia o nowe kierunki (był gorącym orędownikiem powołania kierunku historycznego) i wzbogaciła się o wybitnych naukowców (prof. Leszka Winowskiego, dr. Maurycego Horna, dr. Władysława Dziewulskiego, dr. Józefa Kokota i dr. Adolfa Nasza). Równocześnie profesor Gembala wykładał historię starożytną na uczelniach pedagogicznych Katowic i Krakowa. Nie dorobił się docentury, tak jak jego koledzy, których sprowadził do Opola. Raz tylko wspomniał, że w trakcie pracy w Warszawie skrytykował dorobek naukowy jednej pani z ministerstwa i ona mu to zapamiętała, uniemożliwiając nominację na docenta.

Jako ceniony naukowiec i niezwykle lubiany w środowisku akademickim człowiek, był dosłownie rozchwytywany. Działał w Polskim Towarzystwie Historycznym, Opolskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, Towarzystwie Ziemi Zachodnich, Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, prezesował też Akademickiemu Związkiowi Sportowemu na opolskiej uczelni.

Prowadził niezwykle wyczerpujący tryb życia. Ze swojej willi przy ul. Kiczyczej w Skoczowie co tydzień jeździł do Opola, Katowic, Warszawy i Krakowa... Mieszkał w akademikach, nie szukał luksusów, chciał być blisko studentów. Rozumiał ich potrzeby. Szanował ich poglądy i często bronił przed gorliwymi funkcjonariuszami różnych służb. Mimo nawału zajęć, zawsze znalazł czas, by spotkać się ze studentami pochodzącymi z Cieszyńskiego. Był dla nich jak ojciec. A była nas wtedy, pod koniec lat 50., w Opolu spora gromadka: rodzeństwo Hanka i Janek Śliżowie, Alina Wojnar, Paweł Czupryna, Andrzej Michejda, Karol Niesyt ze Skoczowa, Basia Rusek i Edmund Salachna z Cieszyna, Michał Heller i Janusz Meissner z Brennej oraz Józef Wojnar z Górek Wielkich. W następnych latach ta nasza cieszyńska rodzinka jeszcze bardziej się rozrosła. Często, gdy z rodzinnych stron wracaliśmy z profesorem pociągiem do Opola, zabierał nas z dworca do rektorskiej warszawy, prowadzonej przez pana Andrzeja i podwoził do „Mrowiska”. Tam na parterze,

po stronie żeńskiej, zajmował pokój razem z docentem Władysławem Studenckim, a potem – z rektorem prof. Jerzym Słupeckim.

Taki sposób życia musiał się odbić na jego zdrowiu. Zaczął coraz częściej chorować. Odwiedzaliśmy go w szpitalu w Cieszynie. Zawsze był pogodny, choć było widać, że jest zmęczony. Pytał, co nowego na uczelni i jak nam leci. W kwietniu 1963 roku znalazł się znowu w szpitalu w Cieszynie. I już stamtąd nie wrócił.

Wiadomość o jego śmierci okryła żałobą nie tylko opolską uczelnię. Na pogrzeb udał się cały Senat Wyższej Szkoły Pedagogicznej, na czele z ówczesnym rektorem prof. dr. Jerzym Słupeckim i liczna rzesza jego wychowanków. Kiedy spoczął w grobie, na cieszyńskim cmentarzu komunalnym, uświadomiliśmy sobie, co straciliśmy i jak wiele mu zawdzięczamy. Doceniamy to zawsze, kiedy stajemy nad jego mogiłą, chociaż od tamtych dni minęło już 55 lat.



Wystawa Pauliny Ptaszyńskiej pt. „Parhelion” w galerii Aneks (styczeń 2018)

BEATA TARNOWSKA

OPOLE ARTYSTAMI STOI

Opole cieszy się opinią miasta obfitującego w kulturalne wydarzenia. Stolica polskiej piosenki może się także pochwycić przedsięwzięciem, jakim jest coroczny Festiwal Filmowy „Opolskie Lamy”. Każdego roku organizowany jest także Opolski Festiwal Fotografii, prezentujący dokonania naszych artystów.

Choć mieszkamy w najmniejszym z województw, mamy wiele do zaoferowania, zwłaszcza na polu kulturalnym. Działająca od 1958 roku Galeria Sztuki Współczesnej, promująca zarówno polskich, jak i zagranicznych współczesnych artystów, każdego roku organizuje około trzydziestu wystaw poświęconych takim dziedzinom sztuki, jak malarstwo, rysunek, grafika czy rzeźba. Z tym niezwykle miejscem związanych jest wielu nietuzinkowych ludzi, będących członkami opolskiego okręgu

Związku Polskich Artystów Plastyków. Istotnym ośrodkiem, będącym jednocześnie gniazdem dla wielu artystów, jest Wydział Sztuki Uniwersytetu Opolskiego (do 2016 roku Instytut Sztuki). To właśnie tu wielu opolskich artystów uczy się i doskonali swój warsztat, wybiera dalszą ścieżkę rozwoju, realizuje swoje pomysły. Jedną z najbardziej rozpoznawalnych absolwentek ówczesnego Instytutu Sztuki jest zajmująca się szeroką pojętą formą rzeźbiarską, instalacją i wideo Laura Paweła, która w 2000 roku uzyskała dyplom licencjacki w pracowni rzeźby prof. Leona Podsiadły.

Choć grono zasługujących na uznanie artystów jest liczne, w ostatnim czasie moją uwagę szczególnie przykuwają działania kilkorga z nich. Jednym z takich twórców jest urodzony w 1983 r., w Lewinie Brzeskim, Józef



Józef Chyży, *Las*, akryl na płótnie

Chyży. Po raz pierwszy zainteresowałam się tym artystą osiem lat temu, podczas wystawy „Strefa Widnokregu” w Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu. Jako studentka pierwszego roku edukacji artystycznej byłam zafascynowana światem, jaki przedstawia, a fascynacja ta trwa do dzisiaj. Chyży jest absolwentem Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego, w 2008 roku uzyskał dyplom z wyróżnieniem, jego prace powstawały w pracowni grafiki warsztatowej prof. Moniki Kamińskiej, natomiast aneks do dyplomu – w pracowni malarskiej prof. Łucji Piowar-Bagińskiej. Twórczość Chyżego jest żywą mieszanką malarstwa, rysunku, grafiki oraz ilustracji. Mnogość podejmowanych przez niego tematów czyni go, moim zdaniem, niezwykle interesującym artystą. W swoich pracach łączy barwną abstrakcję z różnymi ilustracjami – rodem ze świata fantazji, a także różną typografią. Niejednokrotnie z obrazów spoglądają na nas zdeformowane zwierzęta. Obrazy, które oglądamy, wydają się być kadrem ze snów dziecka, którego wyobraźnia i umysł nie zostały jeszcze skażone konsumpcjonizmem czy szarą

codziennością, która tak często pozbawia fantazji osoby dorosłe. Jego ilustracje i obrazy same w sobie są niezwykłą opowieścią, barwną, pełną ekspresji, ale statyczną w doborze postaci. Choć dominują zamasyżone twórcze, barwne struktury, widać tu pewną konsekwencję, opanowanie w tworzeniu tego świata ze snu, a nawet halucynacji. Te świadome zabiegi zderzają się z niezwykłymi bohaterami jego opowieści – wilkiem, krokodylem, samolotem...

Kolejną osobą, której twórczość w ostatnim czasie szczególnie mnie interesuje, jest dr Edward Szczapow, malarz i wykładowca na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Opolskiego. Artysta jest absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w St. Petersburgu, Wydziału Techniki i Technologii Malarstwa oraz Wychowania Plastycznego na WSP im. Kirowa w Hoźdźentie. Swe bogate wykształcenie przynosi na płótno w sposób bezbłędny, widać, że warsztat malarski zgłębił od podstaw i że wciąż go rozwija. Malarz określa swoją sztukę jako niezwykle przyziemną, twierdzi bowiem, że obrazuje świat sobie znany, bliski. Nie

znajdziemy w jego twórczości obrazów wymyślnych i światów wykreowanych przez wyobraźnię. Szczapow w swoich obrazach uchyla nam rąbka tajemnicy z własnego życia, portretując bliskie mu osoby i zwierzęta. Częstym elementem jego twórczości są portrety osób starszych, narysowane w sposób niezwykle subtelny, eksponujące emanujące z portretowanych dostojeństwo i spokój. Na płótnach Szczapowa niejednokrotnie możemy ujrzeć znane i bliskie mu miejsca, krajobrazy, zaułki i uliczki, którymi przechadza się każdego dnia. O Edwardzie Szczapowie mówi się, że jest człowiekiem spokojnym, wrażliwym, a nawet romantycznym. Wszystkie te cechy można dostrzec w jego obrazach. Widać to w subtelnych liniach, wyraźnych konturach, a nawet w paletcie barw będącej wyszukaną, nietuzinkową mieszanką. Nie ma tu miejsca na elementy nieprzemysłane. Wrażliwość Szczapowa widać także w powielanych portretach żony, zwierząt. Ten świat emanuje ciepłem i harmonią.

Równie inspirującym artystą, też związanym z Wydziałem Sztuki, jest Ignacy Nowodworski. Absolwent Instytutu Sztuki (dyplom z wyróżnieniem w 2005 r.), rzeźbiarz, obecnie wykładowca na Wydziale Sztuki. Zajmuje się rzeźbą multimateriałową, co stanowi cechę charakterystyczną jego twórczości. Widać, że nie boi się wyzwań, a także pracy z wymagającym i zaskakującym tworzywem. To nie tylko marmur, metal, granit, drewno, ale i wszelkiego rodzaju przedmioty, z których tworzy coś zaskakującego. W pracach artysty widać fascynację codziennością i postacią ludzką, która jest najczęstszym elementem jego dzieł. Rzeźby są wielowymiarowe, czytelne – bez względu na to, z której strony się na nie spojrzeć. Rzeźbiarz nie stroni od nietuzinkowych połączeń, dzięki czemu jego prace są fascynujące na wielu poziomach. Łączenie wielu materiałów, struktur mogłoby się kojarzyć z chaosem, przypadkowością i abstrakcją. Nic bardziej mylnego, rzeźby są przemyślane i – bez względu na format, jaki wybiera – niezwykle dynamiczne. Widać w nich zainteresowanie konstrukcją, eksperymentowanie z formą, co doskonale się sprawdza, jest wyważone i precyzyjne. Choć inspiracją artysty wyraźnie jest życie, jakie znamy, w jego pracach widoczne są również elementy świata wyobrażonego, obecna jest nutka tajemniczości.

Wśród artystów, których twórczość śledzę, jest także Paulina Ptaszyńska, kolejna absolwentka Instytutu Sztuki, która dyplom, wykonany w Pracowni Projektowania Graficznego i Nowych Mediów prof. Bartosza Posackie-

go, obroniła z wyróżnieniem w 2011 roku. Zajmuje się mappingiem, projektowaniem graficznym oraz instalacją multimedialną. W jej twórczości widać zainteresowanie różnorodnością technik. Choć sięga po nowoczesne media, dostrzegalne jest powracanie do klasycznych rozwiązań. W jej pracach często pojawia się wątek kobiecy, wręcz intymny, traktowany z ogromną wrażliwością. Różnorodność technik i poruszanej tematyki czynią z niej artystkę zaskakującą, która nie boi się połączeń tradycyjnej fotografii z tzw. nowymi mediami, korzysta z możliwości, jakie stwarza montaż wideo czy instalacja. Aktualnie w galerii Aneks w Opolu można zobaczyć wystawę „Parhelion”, która jest idealnym dowodem na wszechstronność tej artystki. Jak sama mówi, wystawa nie bez powodu odbywa się zimą – właśnie teraz, kiedy jeszcze za dnia robi się ciemno, mamy najlepszą możliwość zrozumienia prezentowanych przez nią prac.

Opole jest coraz bardziej otwarte na konfrontację sztuki z życiem codziennym. I choć niejednokrotnie spotkamy się z opinią, że działania na tym polu bywają karkołomne i nieprzemysłane, myślę, że mamy się czym (i kim) chwalić nie tylko w kraju, ale i na świecie.



Patrycja Kucik, gliniane pieski

KRZYWY ZGRYZ

AGNIESZKA KANIA

SCHODZĘ NA PSY

Noc. Ani jednej gwiazdy nie widać. Na środku obrazu siedzi Pips oświetlony lampą uliczną. Czoło ma wysokie, pysk krótki, sierść jasną, wygłaskaną do czysta. Uszy położył po sobie, zmrużył oczy i obliznął czarny nos. Skóry jest trochę za dużo na psinie, toteż marszczy się i zwija, tworzy wałeczki, fałdy i oponki. Żadne tam чудо, żaden medalista czy rasowiec, z imionami przodków znanymi do pięciu pokoleń wstecz. Zwykły kundel, a jednak do czekał się portretu.

Najstarszy rysunek, przedstawiający myśliwego z psami, powstał prawie dziewięć tysięcy lat temu. Archo-

lody, pod kierunkiem Marii Guagnin z niemieckiego z Instytutu Badań nad Historią Ludzkości imienia Maxa Plancka, odkryli niedawno ten szkic na klifie piaszkowca w północno-zachodniej Arabii Saudyjskiej, w okolicy Shuwaymis. Gdzie dziś rozciąga się pustynia, były kiedyś stepy; polowano tam z nagonką. Wryte w skale czworonogi przypominają trochę mojego Szoguna – uszy w szpic, morda mała, zakręcony ogon. – I co ty na to? – pytam futrzaka, a ten ziewa, przewraca się z boku na bok i coś tam mruczy po swojemu.

Znalezisko jest dziwne. Co je wyróżnia? Co sprawia, że oglądający wraca do rysunków? Przecież wizerunki psów można też oglądać na dzbanach sprzed ośmiu tysięcy lat wykopanych w Iranie, a młodsze o jakieś trzy tysiące lat czworonogi pilnują świątyni starożytnego Egiptu. Ale tylko te arabskie chodzą przy nodze, na smyczy. Ciekawe, czy aportują i warują na rozkaz?

GOŃCZY Z TRĄBĄ

U Hieronima Boscha psy spacerują po rajach, spotykają syreny, jednorożce i pegazy, towarzyszą bogobojnym i obwąchują niepewnych. Psubraty natomiast (istoty długouchy, garbate, dwułape, którym ogon służy za oparcie) zapuszczają się do piekieł. Warczą na hydry, podgryzają hipocentaury, obszczekują gorgony, gonią harpie, tropią minotaury, obwąchują odontotyranosy, wałęsają się z hienami, ale omijają z daleka krokodyle i wydry.

Na polskich dziewiętnastowiecznych płótnach, ukazujących sceny myśliwskie, można zobaczyć gończe. Wyglądają one jak żywcem wyjęte z poradnika dla psiarzy wydanego w 1608 roku: *siła psia znaczy się grzbietem, który ma być kształtny, kościsty, pieczeniasty i długi* – pisał hrabia Jan Ostroróg w traktacie „O psach gończych i myślistwie z nimi”. *Stopa ma być podługowata, bo pies z krótką stopą każdy się poodbija, co wada wielka, i nic mu po wszystkim. [...] Trąba zasię ma być niezagarlona, między oczami przestronna, długa.* Sto siedemdziesiąt lat później ksiądz Krzysztof Kulka dodaje: *Dobry ogar powinien mieć głowę mierno-grubą, nozdrza wielkie i otwarte; uszy długie, mocne i wiszące; grzbiet mocny, wygięty; łędźwie grube, uda szerokie, nogi proste, suche z twardymi stopkami włosistymi; mordą obwisłą; zęby ostre i białe; oczy brunatne i iasne.* Takie to „trąby niezagarlone” malowali Kossakowie i Julian Fałat, „stopy podługowate” dopieszczali Tadeusz Ajdukiewicz i Józef Brandt, „uszy długie, mocne wiszące” cyzelował Aleksander Raczynski. Alfred Wierusz-Kowalski potrafił zmieścić między ramami całą sforę myśliwskich, a do tego jeszcze konie ciągnące sanie. Aż wreszcie w 1902 roku Stefan Żeromski ogłosił w „Tygodniku Ilustrowanym”, że *ogary poszły w las. Echo ich grania słabło coraz bardziej, aż wreszcie utonęło w milczeniu leśnym.* Od tego czasu moda na gończe jakby ostygła. I Franz von Struck zabrał się za portret skundlonego Pipsa. A co z opolskimi artystami?

Z GRUBA CIOSANY

On jest zły naprawdę. Potrafi się zjeżyć i naburmuszyć, umie marszczyć brwi i nawet pchły ustawić w dwóch rzędach. Czasem się sroży, udając wilka, czasem warczy i szczyrzy kły, a wtedy ślina mu cieknie z pyska. Ignacy Nowodworski – jego pan i stwórca – trochę mu nabruzdził w papierach, nazywając Puppi, czyli szczeniak. Miałby nigdy nie dorosnąć? Całe życie chce się tylko bawić, droczyć, uganiać się za własnym ogonem? Straszyc staruszków, podkraść papierosy chłopakom z mechanicznika, jeździć na gapę do Nowej Wsi Królewskiej i na czworaka wracać do domu? Czy on nigdy nie zmądrzeje? Jak długo można zjadać dwie miski na raz, ryć nosem grządki ziemniaków i obszczekiwać suche liście na polanach?

Sierść ma skudloną, skołtunioną, trochę tłustą, trochę suchą. Kłaki mu sterczą na grzbiecie, od razu widać, że nie odwiedza Fafikowego Raju, Oazy Pudelka i Azora Dandysa. Nie wie, co to szampon ani płyn do ondulacji, nie podcina pazurów, nie ściąga z zębów kamienia. Jest jaki jest. Pies z rodziny psowatych, bez rodowodu i taty czempiona. Szkół żadnych nie kończył, dobrych manier nie poznał, łapy na powitanie nie poda, o aportowaniu można tylko pomarzyć. Za to ujada i merda ogonem.

Pewnego dnia wałęsał się po rynku i podpatrzył, jak foksterier, całkiem niezłe ubrany, podlizywał się swojemu panu. Kręcił się w kółko, prostował tylne łapy, próbował zrobić salto, ale padł na psyk. – Pajac – warknął Puppi. Od tamtego czasu nie lubi francuskich piesków, omija też miasta.

Wyrzeźbiony postawił uszy, wytrzeszczył oczy, daje znak, że w każdej chwili może uderzyć i zmiażdżyć przeciwnika. Wystarczy, że usłyszysz „Bierz go!” – i już naciera, gryzie i szarpie trzewia. Spójrzcie na zęby, połamał chuligan z gruba ciosany, taki to nikomu nie przepuści: ani kotu, ani bestii.

ZMORA

A może to nie pies, tylko człowiek przemieniony w wilka? Dawniej bez trudu można było kogoś zaczarować, rzucić zaklęcie, sprawić, że nieuczciwy rejent kładł się spać jako urzędnik państwowy, a budził jako wilkołak. Czardziejów było wielu, prawie każda wioska miała swojego maga. Niechby tylko ktoś spojrział inaczej, włożył koszulę

na lewą stronę, wypił psią juchę, potknął się o wystający korzeń, a wróż zabierał się do roboty, zamieniał człowieka w diabła. Co roku przybywało zezowatych, garbatych, sześciopalczastych, ludzi z płomieniem na policzku albo bielmem na oczach; ich też należało zaczarować, a najlepiej zmienić w zwierzęta. Jean Bodin – sędzia królewski, profesor prawa na uniwersytecie w Tuluzie i autor *Demonomanii czarowników* – opowiadał, jak pewnego dnia 1542 roku na placu w Konstantynopolu zebrali się stu pięćdziesięciu wilkołaków. Skąd się tam wzięli? Z uroków oczywiście. A po Białorusi jeszcze w osiemnastym wieku *wilkołaków takie stada snuły się (...), że aż strach było wyjść w pole* – pisał Jan Barszczewski.

Wszędzie roilo się od zmór. Nie dosyć, że wilkołaki po śmierci przybierały postać wampirów, to jeszcze Anthony Masters znalazł aż czterysta osiemdziesiąt sześć przyczyn, z powodu których zwykły nieboszczyk mógł się stać upiorem. Wystarczyła pomyłka, zaniechanie, niedopełnienie rytuału przejścia i już umrzyk szukał pomsty, wył, straszył, nawiedzał żyjących. W demony przeobrażały się też – jak utrzymywał Jean-Claude Schmitt – ofiary gwałtownej śmierci, dusze skalane, nieopogrzebani (*insepulti*), samobójcy (*biothanati*) i kobiety zmarłe w połogu. Jeśli dodać ekskomunikowanych, nieochrzczonych, pozbawionych ostatniego namaszczenia, dzieci ze związków kazirodzczych, urodzone jako siódme w rodzinie i – o dziwo – w czepku urodzone, okazuje się, że na każdym rogu pomieszkiwał jakiś dziad.

W strachy przemieniali się również denaci pochowani na skraju wioski lub we wgłębieniu. Nie wolno było grzebać na podmokłych łąkach i rozdrożach, bo zmarli nie wiedzieli, jak się odnaleźć, źle się czuli wydziedziczeni, bez przynależności, nieludcy, w trupim stroju, ale jeszcze bez obywatelstwa krainy zmarłych, Miłoszowskiej *podszewki świata*.

Niełatwo było przetrwać – od narodzin do zniknięcia – pozostając człowiekiem. Nieprzynależność to zhora dawnych czasów, ludzie ciągle doświadczali obecności niedostatecznej, nietrwałości i podzielności. Tyle się działo w czasie pośrednim. Wychodząc rano w pole, można było wrócić jako wilkołak (*odszedł, obrócił się trzykroć na ziemi i stał się wilkiem* – opowiadał Adolf Czerny w *Istotach mitycznych Serbów Łużyckich*). Nawet śmierć nie była śmiercią, tylko przejściem do stanu wiecznego cierpienia, bo tylko garstkę przyjmowano do nieba.

Dziś niełatwo być psem. Na psa cychają pułapki. Psa można we wszystko zrobić: że obszczekuje karawany,

żywi się tanim mięsem, rzuca się na kości, o byle co warczy i podlizuje się podejrzanym osobnikom. Że za długo śpi, nie pilnuje zagrody, tylko liczy pchły albo skubie sierść na brzuchu. Ale *psy wiedzą wiele* – słusznie zauważył Ernest Hemingway. W każdej chwili mogą się zmienić w bestie.

JAK PSU Z GARDŁA

Napytałeś sobie biedy. Mogłeś wziąć przykład z kuzynów żyjących na Dalekim Wschodzie, oni umieli się ustawić. Hachiko doczekał się pomnika w Tokio, cała sfora białych akit baraszkuje na fasadzie dworca Shibuya. Urzędnicy w ciemnych garniturach mijają je, śpiesząc do biur, agencji i kancelarii, turyści pozują z psiakami do zdjęć, a studenci umawiają się tam na randki w ciemno. – Stoję pod ogonem – pisze chłopak na czacie. – O w mordę! – odpowiada dziewczyna. – Gdzie jesteś, psiakrew? – Nie psioch, bo się rozmyślę. – I tak cię wytropię. – Spróbuj, szczeniaku – itd., itd.

Japończycy urządzają czworonogom sanatoria, budują areny sportowe, stawiają wesołe miasteczka. I pamiętają o zwierzętach zabitych na wojnie. Bo przecież w czasie nalotów bombowych umierają nie tylko ludzie, ale i bracia mniejsi. Toteż obok posągu Kamikaze upamiętniającego lotników-samobójców Japońskiej Armii Cesarskiej z czasów II wojny światowej, umieszczono rzeźbę wychudzonej chabety. Niedaleko kręci się na postumencie kundelek, też odlany z brązu. Ileż to tresowanych psów, które pełniły rolę kurierów pomiędzy oddziałami, partyzantami i sztabem dowodzenia, przypłaciło życiem operację pod kryptonimem „Tygrys” albo „Pelikan”.

W Kraju Wschodzącego Słońca kudłaczę pilnują chramów, bram Torii i zaglądają na cmentarze – towarzyszą niekiedy umierającym, dbają, żeby śmierć nie była samotna, choć bywa odludna. W miejscach pochówku przeważają jednak lisy; bo chytruski zaskarbiły sobie przychylność bóstwa Inari w czasach, kiedy wilkom nie sniło się aportowanie. Japończycy wierzą, że rudzielce przynoszą duszom nowiny z niebios, pilnują, by los nie spletał im figla (trzeba mieć dużo szczęścia, by przeżyć życie po życiu), a w zamian otrzymują haftowane chustki i wełniane czapeczki z nausznikami.

Do muzeów lisy się nie pchają. Za to psy lubią galerie. Odwiedziły tokijski MOMAT (The National Museum of

Modern Art) – są tam charty angielskie namalowane na jedwabiu i „Piosenka o psie” Yanagihary Yoshitatsu; artysta wyrzeźbił nagą kobietę o obfitych kształtach goniącą zwierzątko. Kudłacz urwał się ze smyczy i zniknął. Goła biegała, zaciskając palce na niewidzialnym sznurku.

Może w odpowiedzi na tamtą rzeźbę Patrycja Kucik ulepiła z gliny pieska? Przypomina on beagle’a pomieszanego z wilczurem: ma sterczące uszy, zakręcony ogon i zadarty nos. Najwyraźniej zgubił pana. Jak wygląda zguba? Zwyczajnie: ani wysoki, ani niski, bez żony, toyoty i konta w banku. Nosi się skromnie: spodnie do kolan i koszula jak psu z gardła wyjęta, często chodzi głodny jak pies, niekiedy warknie na kasjerkę w pizzerii i żyje jak pies z kotem z pewną panią o imieniu Róża.

Z DUSZĄ NA RAMIENIU

Michalina z Piotruszewskich nie zgubiła pupilka. Siedzi zadumana i osobna, zobojętniała i bierna. Próbuje się uśmiechać, lecz jej oczy nie nadążają za mimiką. Upięła misterny kok, wycesała frędzelki chusty i wcisnęła na palec pierścionek z agatem. Czarny kot ma więcej wdzięku niż modelka. To on chce królować – pręży się, lśni i marszczy brwi.

Z „Portretem żony artysty z kotem” Konrada Krzyżanowskiego przekomarza się „Dzioucha z psem” Edwarda Szczapowa. Malarz ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Petersburgu, gdzie po kilkanaście godzin dziennie ćwiczył rzemiosło, doskonalił rysunek i pracował nad kompozycją. Kopiował dzieła Riepina i Surikowa, patrzył jak współgrają faktura, fabuła i barwa. Niedawno przeprowadził malarski wywiad z Krzyżakiem (artystę nazywali tak studenci i przyjaciele).

Beata Wewiórka (jak przed ponad stu laty Michalina z Piotruszewskich) wcisnęła się w kąt leżanki i pozuje. Chce być jak tamta – dumna, sobotnio-niedzielną, doskonale beczynną. Tyle że zamiast fantazyjnego szlafrocka, czarnych pończoch i pantofli ze srebrną klamerką nosi spodnie z gumką i skórzane kapcie. Do portretu włożyła też bordowy sweter w kolorze ściany. Żadnych koronek, haftów i korali. Obok niej przysypia bulterier. Pogardził miejscem na kolanach, odwrócił się i zasępił. Piękno bez wątplenia należy tu do kobiety.

A dlaczego ten pies się tak martwi? Pewnie wołałby pójść na łąkę, powąchać trawę, wskoczyć do kałuży i postraszyć bażanty. Może trapi go coś innego? Czy pies

ma duszę? Starożytni przekonywali, że istnieje zarówno dusza człowieka jak i zwierzęca: *Animal est anima* – mówili. W XIX wieku Wiktor Hugo pisał z patosem: „Pies to cnota, która, nie mogąc stać się człowiekiem, stała się zwierzęciem”. Nieco później postawiono na zdolność do abstrakcyjnego myślenia, wyróżniono zawikłane, ludzkie „ja” i odebrano czworonogom prawo do przeżywania i rozumienia. Współcześni biolodzy poszli po rozum do głowy i utrzymują, że pies wzrusza się i niepokoi, cieszy się i smuci, wyczekuje i grymasi, potrafi się odgrzyźć, obrazić, wie, co to miłość i nienawiść. Jean Prieur opowiadał w „Duszy zwierząt” o pupilach, co wracają z zaświatów, aby pilnować swego pana, albo dają się we znaki jego wrogom.

Kiedy Olaf Lunden jechał do wód podleczyć suchoty, poprosił przyjaciela, by zaopiekował się jego psem. Ten nie tylko karmił i spacerował z kudłaczem, ale i czytał mu listy z kurortu. – Twój pan wraca do sił – pocieszał nieszczęśnika, który wciąż był nieswój i łaził z podkulonym ogonem. Pewnej nocy obudził się, podbiegł do łóżka opiekuna i skomlać liżał go po rękach. „Rozumiem. Przyszłedłś powiedzieć, że już po wszystkim” – westchnął Hans Christian Andersen. Edward Szczapow opowiedział baśń farbami, rozłożył na płótnie kształty i kolory, namalował wczoraj, przedwczoraj, dziś. I dodał jeszcze *anemos* – co po grecku znaczy „tchnienie”, „powiew”.

MIESZANIEC Z GLEJTEM

W stolicy Grecji bezpieczne psy leżą pod drzewami i filozofują. Mają prawo, bo to psy z papierami. W urzędzie miejskim zapisano ich imiona, nadano przydomki związane z miejscem urodzenia, są więc: Ajaks z Rodos, Cezar Delficki i Regis Peloponeski. W kartotekach znajdują się zdjęcia ich pysków, opisy sylwetek, umaszczenia, koloru oczu oraz rejestr przebytych chorób: tych prawdziwych i urojonych. Niełatwo dostać glejt, trzeba spełnić warunki: wzrost powinien być wyższy niż przeciętny – jamnikowatych, jorkowatych i ciułał raczej nie przyjmują do grona atenczyków, natomiast skundlone wyżły i wilczury, pomieszane dogi i labradory, wielorasowe ogary i sznauclery mogą liczyć na przychylność kancelistów. Ale tylko te cierpliwe, uległe, życzliwe, co nie boją się szczerpień ani ściągania kamienia nazębnego, do tego wiedzą, jak się zachować w towarzystwie. No i mają dobre pochodzenie. Kundle z okolic Koryntu nie są mile widziane,

podobno drapią się przy ludziach i nie trzymają języka za zębami. Co innego wyspiarze – te przestrzegają zasad *savoir-vivre`u*.

W dzień ateńskie psy wylegują się na skwerach, opędzają się od much, przewracają z boku na bok, pokazują brzuchy, wylizują ogony, gryzą futro i strzygą uszami. Dla ochłody oddychają szybko, piją wodę i chlapią się w fontannach. Wieczorem odwiedzają restauracje i klubokawiarnie, spacerują po Agorze i zaglądają na cmentarz Keramejkos, gdzie gosposie podrzucają im chrupki, kości i łakocie. Niekiedy coś wymyślą; napadną na kosz z odpadami tuż przy rzeźni miejskiej, wyrwą komuś siatkę z zakupami, to znów wytrącą łód turyście.

„Kompan” Józefa Chyżego mógłby się ubiegać o urzędowe papiery w Atenach. Jest wysoki, gładki, z podkaszonym brzuchem i domieszką błękitnej krwi, która nadała jego sierści niebieskawy odcień. Ogon nosi podwinęty, dba o pazury i czyści szyję. To pies – ogrodnik, na obrazie wacha lilie z rodziny ostowatych. Dogląda je, podlewa, wzmacnia odżywkami i chroni przed słońcem. Zaprasza też pszczoły, odstrasza gryzonie i amatorów bukietów z polnych kwiatów.

Nad psem lata ptaszek. W kolorze burgunda, z pozłacanym ogonem, dużymi oczami i krzywym dziobem. Podśmiewają się z niego skrzydlaci: Co u twojego kolegi? Jak się ma pchlarz? Czy podwórzowiec dobrze dziś spał? – ćwierkają wróble i szpaki. Ptaszek nie zwraca na nich uwagi, czasem tylko odburknie z przekąsem: „Mój kumpel mógłby mieszkać pod Akropolem”.

W BOGÓW NIE WIERZĄ

Dawno temu, kiedy nie było ani miast, ani Partenonów, Atena wybrała się w podróż. Po niebie. Wynajęła sześcioro olbrzymów. Rozsiadła się w lektyce z drzewa sandałowego tak przybranej wawrzynem, że nawet z bliska trudno ją było zobaczyć. Giganci ruszyli przed siebie. Biegli, unosili się wysoko nad ziemią, ale szybko boska córka Zeusa zaczęła im ciążyć. Przystanęli w półcieniu, wycisnęli deszcz z chmury, bo akurat przypląnęła i spytali: – Czyżbyś przybrała na wadze, Ateno? Poblądła i rzuciła okiem w lustro Morza Jońskiego. W zwierciadle odbił się niepokój. – Wzięłam kilka kamyczków na drogę – wyjaśniła, odsłaniając głązy wciśnięte pod ławkę. – Tego już za dużo! – zawołał rudy goliat i poszedł sobie. A za nim inni.

Zostawili boginię na środku nieba. Rozglądała się za rydwanem, kwadrygą czy pegazem, lecz w przestworzach nie było nikogo. Sięgnęła po siatkę i cisnęła kamieniami o ziemię. Starożytni utrzymywali, że tak powstało wzgórze Lykavittos. W dziewiętnastym wieku na jego szczycie wzniesiono kościół. Na wprost wejścia srebrzy się ikona. Święty Jerzy walczy z bestią. Rycerz przyjechał konno, odnalazł w zaroślach zwierzę, podniósł Ascalon i chce trafić gada w serce. Błyszczą kolczuga i przysła chwała, lśnią ostrogi i krzyż na piersiach wielkiego pana. Tylko smok zamiast drapać pazurami, gryźć, szarpać, zamiatać ogonem, położył się na plecach, wywalił język i czeka. Wygląda jak doberman, a nie postrach dziewic.

Zygmunt Moryto poszedł jeszcze dalej. Nie tylko skundlił smoka, ale odebrał świętemu zbroję. Zrobił z niego chłopca z podwórka, takiego co w pomiętym swetrze, przykrótkich spodniach i bejsbolówce ugania się za bezpiecznym psem. Łobuz dorwał czworonoga w parku. Biedak pałętał się po skwerze, zajrzał na plac zabaw, powąchał siatkę pachnącą rybami i gdy zabierał się za wylizywanie starej puszki, ktoś dźgnął go w szyję. Zachwiał się, upadł, zarył nosem w ziemię i postawił ogon, jakby chciał złapać równowagę. Może się jeszcze wymigam? – pomyślał. Ale Jerzy nacierał, był wprawnym szermierzem. Zamiast huścić się na trzepaku, ćwiczył fechtunek w osiedlowym klubie. Złocił się, i pokrzykiwał: – No już! Walcz potworze!

Kundel zawył, jakby chciał obudzić Atenę. Ucichł. Przypomnił sobie, że przecież psy w bogów nie wierzą.

Niedawno zaproszono mnie do telewizyjnego programu śniadaniowego. Rozmowa miała dotyczyć zwierząt, kazano mi więc przyprowadzić Szoguna. Przed wejściem do studia zaczął mnie chłopak z żółwiem. – Schodzisz na psy. – Przynajmniej nie pełzam – odgryzłam się w duchu.

TOMASZ TARMAS

AFORYZMY

Wymowie faktów dykcji nie poprawiaj.

Przydałyby się niektórym badania okresowe zdrowego rozsądku.

Połączył ich wspólny cel: razem wznosili dzielącą ich barykadę.

Niedobrze, gdy klucz do przyszłości tkwi w zamku na piasku.

Likwidacji analfabetyzmu nie zaczynaj od likwidacji analfabetów.

Cały kłopot w tym, że wyroki boskie ogłaszają ludzie.

Czasem stając za kimś murem - można nieopatrznie odciąć mu drogę odwrotu.

Nie mógł znieść myśli, że stanie się ofiarą... Został więc katem.

Walka klasy politycznej z klasą jako taką rzeczywiście się zaostrza.

Nie proś tyrana, by zabrał głos w sprawie wolności słowa – gotów go nie oddać.

Pamiętaj o śmierci! Bo jej będzie przykro.

Wybieraj sobie bogów rzadko czczonych – u nich kolejka do nieba krótsza.

Z zarzutem braku patriotyzmu spotykają się najczęściej nie ci, którym brak narodowych zalet, lecz ci, którym brak narodowych przywar.

Bywają teatry, w których gwóźdź programu wbity jest w piętę achillesową dyrektora.

Nie jest najlepiej, gdy oklaski tłumu nadają rytm epoche.

Nie dowierzaj drogowskazom. Nigdy nie były u celu.

I my jesteśmy średniowieczem następnych epok.

INDEKSOWA GALERIA SZTUKI – WYSTAWA POPLENEROWA STUDENTÓW WYDZIAŁU SZTUKI UO

KRONIKA... I TRZY KROPKI

23 stycznia w Galerii A4 na Wydziale Sztuki UO odbył się wernisaż wystawy prezentujący prace studentów i wykładowców Wydziału Sztuki UO, które powstały podczas ostatniego pleneru artystycznego w Lubawce.

Plener, podobnie jak w latach poprzednich, miał charakter interdyscyplinarnych warsztatów twórczych. Uczestniczyli w nim studenci I roku licencjatu edukacji artystycznej (obecnie II roku), którzy pod okiem swoich wykładowców – **dr hab. Magdaleny Hlawacz**, **dr. hab. Grzegorza Gajosa** i **dr. Bartłomieja Trzosa** – pracowali przez dziesięć dni nad indywidualnymi i grupowymi projektami w różnych dyscyplinach artystycznych. Pierwszy z projektów pt. **Kronika...** ma charakter dokumentacyjny, aczkolwiek traktowany jest z pewnym dystansem. Odnosi się do codziennych doświadczeń plenerowych, obserwacji natury, relacji międzyludzkich i innych interesujących zjawisk, jakie zaistniały w czasie pleneru.

Projekt fotograficzny **Jeden pokój, dwie osoby** dał studentom możliwość zaaranżowania przestrzeni konkretnego pokoju według własnego pomysłu, pod kątem stworzenia relacji pomiędzy dwiema osobami przebywającymi w tej przestrzeni. Wystawie towarzyszy także projekt wykładowców pod tytułem **Jeden pokój, trzy osoby**, który powstał jako sesja-niespodzianka i komentarz do prac studentów. Nie przypadkiem wystawa prezentowana jest w czasie sesji. Naszą intencją bowiem jest rozluźnienie napięcia związanego z czasem zaliczeń i egzaminów, a także wywołanie pozytywnych emocji.

Wystawę można oglądać do 13 lutego 2018 roku, od poniedziałku do soboty, w godzinach pracy wydziału.



Wernisaż wystawy w Galerii A4 Wydziału Sztuki UO (fot. G. Gajos)

Rysunki Hanny Tretiak



Rysunki Anny Shyshko



Jedna z realizacji projektu: *Jeden pokój, dwie osoby*. Autorzy: Kamil Świątlak i Jakub Rybak

LUBIĘ WIEDZIEĆ, O CO CHODZI

Z Zofią Bielewicz, aktorką Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu, o legendarnym Teatrze 13 Rzędów rozmawia Hubert Michalak



Zofia Bielewicz (fot. Tomasz Kuc)

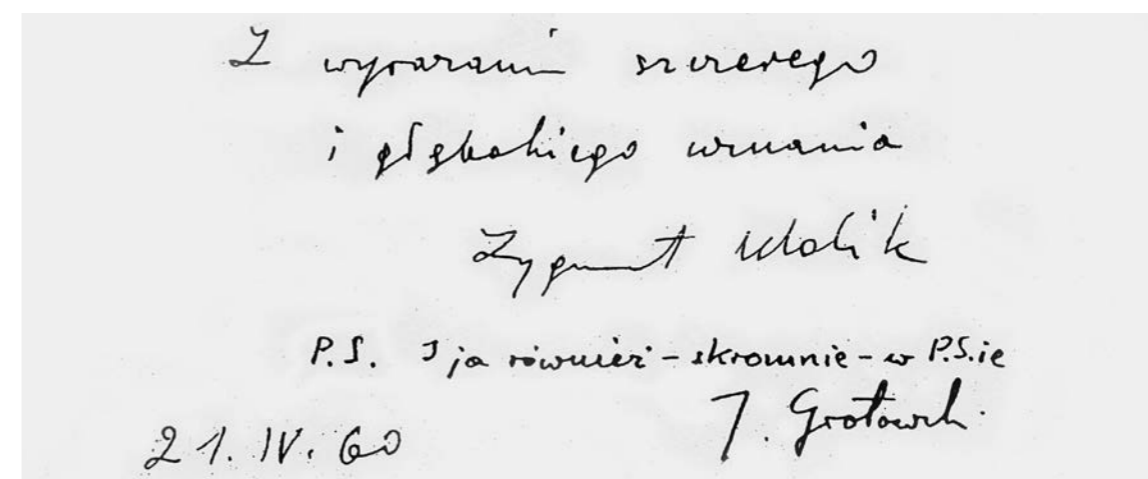
– **W jaki sposób zespół Państwowego Teatru Ziemi Opolskiej (PTZO) reagował na przedstawienia Teatru 13 Rzędów? Czy to była dla was konkurencja?**

– Nie. Państwo Stanisława i Eugeniusz Ławscy, pierwsze kierownictwo Teatru 13 Rzędów, odeszli z teatru państwowego chyba dlatego, że byli niezadowoleni z repertuaru. Choć z drugiej strony sporo jednak grali.

– **Byli dobrymi aktorami?**

– Tak. Szczególnie ona. To była inteligentna kobieta. Do tego piękna, brunetka. Grała w Opolu na przykład Baladynę – duża, ważna rola. W swoim graniu wszystko

miała bardzo przemyślane. Ale czasem to „przemyślane” nie dociera do człowieka wprost. W „Don Karlosie” byliśmy partnerkami. Ja grałam królową, Elżbietę Valois, czyli żonę Filipa II, a ona jego kochankę, księżniczkę Eboli. Jest w tej sztuce scena spotkania królowej z księżniczką, starcie tych postaci. Z pewnej drobnej sytuacji z tamtej sztuki pamiętam jej drapieżną grę. Moja suknia miała dekolot zakryty lekko cieniućką gazą i obszyty blaszkami w kształcie rombów, w złotym kolorze. Blaszkki dookoła były bardzo ostre, całe obszycie dekolotu było nimi wyłożone. Ona na scenie w pewnym momencie chwyciła mnie za suknię i raz poraniła sobie palec. Potem żądała, żeby zdjęli mi te blaszki, ale na to się nie zgodził reżyser. A ona miała chyba jednak trochę racji. Ja też się raz zra-



Pamiętkowy wpis aktora Teatru 13 Rzędów Zygmunta Molika i twórcy teatru – Jerzego Grotowskiego

niłam o ten sam kostium – bardzo realistycznie to wtedy wypadło, bo zakrwawioną dłonią dotknęłam czoła, a działo się to w momencie, gdy padała kwestia: „Królowa ma krew na skroni”. Ale z jakim ona temperamentem się na mnie rzuciła, że się poraniła?! O tak, miała temperament, i to duży.

– **A Eugeniusz Ławski?**

– Jego słabiej pamiętam. Dobry był. Ale ona jednak była na scenie... znacząca. Oboje mieli swoją pozycję w teatrze. Nie spodobał im się repertuar, za mało było psychologicznych sztuk, więc odeszli, otworzyli swój teatr.

– **Jak został przyjęty?**

– Musisz pamiętać, że w Opolu był już teatr, Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej, do którego ludzie przychodzili na repertuar poważny, rozrywkowy czy muzyczny. A że ktoś sobie otworzył scenę – nikt z tego powodu nie wpadał w euforię. Ludzie pewnie chodzili, tego nie pamiętam. Byłam tam na sztuce „Freuda teoria snów”. Cóż, sztuka jak sztuka. Aktorzy dobrzy. Później Ławscy wyjechali do Katowic, tam grali, on umarł wcześniej, ona sporo pracowała.

– **A w Opolu pojawił się Grotowski.**

– Przyznam się, że nie każdą jego sztukę widziałam. Bo kiedy byłam w teatrze państwowym, już z pewną pozycją, grałam duże role i dużo występowałam, to mało czasu było na interesowanie się powstającą obok nas nową sceną. Moi koledzy też nie bardzo się interesowali. Ja może bardziej, bo przyjaźniłam się z Zygmuntem Molikiem, który z PTZO przeszedł do Grotowskiego. Dlaczego poszedł tam? Cóż, warunki miał nie za dobre, nie był piękny, wysoki czy charakterystyczny; był średniego wzrostu, twarz miał niezbyt interesującą...

– **A na scenie?**

– On w jednej ze sztuk grał – to pamiętam, bo się o tym mówiło, aktorzy śmiali się z Molika – postać drugiego milorda. Myślę, że zobaczył, że nie ma wielkich możliwości, jeśli zostanie w PTZO. A był bardzo inteligentny, miał dużą wiedzę i był ciekawy nowej wiedzy. Był taki, „z przy-mrużeniem oka”, zresztą sam tak o sobie mówił. Nie można powiedzieć, że był miły czy dobry; raczej: z rezerwą. Choć czasem się spotykaliśmy, chodziliśmy na spacer. Ale jak to się stało, że nie dostrzegłam u Grotowskiego Ryszarda Cieślaka... Potem dopiero czytałam, że to był aktor, który bardzo dobrze opanował technikę. A ta stro-

na pracy mnie interesuje, to bym chciała zobaczyć. Wszyscy to później podkreślali, ale ja tylko o tym czytałam.

– *Jakie były w Pani oczach tamte przedstawienia?*

– Co ja w ogóle wiem? Wiem niedużo – ale chodziłam. Forma była zupełnie inna. Nie bardzo rozumiałam, o co chodzi. A lubię wiedzieć. Kogóż więc miałam zapytać, jak nie Molika?! Wtedy padło jedno zdanie z jego strony: „Tego nie musi się rozumieć, tylko trzeba przyjmować to emocjonalnie”. To jest zdanie, które, jako podstawowe, mogę przekazać. A im dłużej o tym myślę, tym bardziej ono jest dla mnie przekonujące. Przedwczoraj usłyszałam, jak aktor, Piotr Gąsowski, w jakiejś audycji cytował swoją profesorkę ze szkoły teatralnej, która w pewnym momencie powiedziała mu: „Wiesz, ty dobrze to robisz, dobrze i nawet prawdziwie, ale to jest nie to”. Bo aktorstwo jest niewymierne. Jednemu się podoba, drugiemu nie. I od razu: przypomina mi się fragment wiersza Wisławy Szymborskiej „Niektórzy lubią poezję”:

tylko co to takiego poezja.

Niejedna chwiejna odpowiedź

na to pytanie już padła.

A ja nie wiem i nie wiem i trzymam się tego

jak zbawiennej poręczy

Myślę też o wywiadzie z Andrzejem Sewerynem. Mówił, że aktor, tworząc rolę, nie wie wszystkiego do końca, bo do końca wie tylko autor. Człowiek jest nieprzewidywalny.

– *Nietypowy zestaw nazwisk: Zygmunt Molik, Piotr Gąsowski, Wisława Szymborska, Andrzej Seweryn...*

– Śmieszny zestaw. Ale to wszystko bardziej wyjaśniło mi tamto zdanie Molika. Te głosy artystów mnie podbudowały, trochę lepiej zrozumiałam, że może rzeczywiście tamten teatr po prostu robił wrażenie, choć nie dla wszystkich jego przekaz był zrozumiały. Zobacz, jak to się złożyło, że te bardzo różne wypowiedzi artystyczne coś mi dały, większe zrozumienie Grotowskiego. Jakby tłumaczyły się słowa Molika, które kiedyś słyszałam. Wtedy chodziłam, starałam się coś oglądać, ale niewiele. Później zespół przeniósł się do Wrocławia. Tutaj jednak nie mieli takiego uznania. Lepiej więc dla nich, że przenieśli się do większego miasta. I jeździli po Polsce, bo np. „Akropolis”

widziałam później jeszcze raz w Katowicach. Szkoda, że nie zapytałam o opinię samego Grotowskiego.

– *A znaliście się?*

– Tak, chodził na przedstawienia do naszego teatru, na przykład był na naszym „Zygmuncie Auguście” – do kwiatów, które po spektaklu posłał mi Molik, dołączył własne dwa słowa. Ja go też spotykałam, widywałam go w Teatrze 13 Rzędów. Ale nie spytałam. Ciekawa jestem – no właśnie, teraz to jestem ciekawa, co by powiedział. A sądzę (takie słuchy dochodziły do mnie), że on by mnie chętnie widział u siebie. Ale, widzisz, miałam swoją pracę, grałam, niby dlaczego miałabym przejść tam, do niego? W dodatku nie rozumiejąc do końca, o co w tym chodzi?! O tym nawet mowy nie było; było jasne, że ja bym nie przeszła z PTZO, więc nie ma o czym mówić.

MAŁGORZATA ANDRZEJAK-NOWARA

OSIEMNASTKA TEATRU EKO STUDIO

Andrzej Czernik, urodzony w 1957 roku, pochodzi z Gryfowa Śląskiego. Aktor filmowy i teatralny, reżyser, scenarzysta, założyciel Teatru EKO STUDIO. Laureat wielu nagród, odznaczony medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis” (2014 r.). Wcześniej związany z teatrami w Krakowie, Legnicy, Gnieźnie, Kaliszu i Łodzi.



Andrzej Czernik (fot. Tadeusz Parcej)

Teatr EKO STUDIO założony przez Andrzeja Czernika – jednego z czołowych aktorów Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu – jest teatrem prywatnym. Pełni nieco inną rolę niż dotowane z budżetu państwa instytucje kulturalne w mieście. Swoją formułą wpisuje się w nurt teatru ulicznego, dając pokazy i przedstawienia na zewnątrz tradycyjnych zabudowań miejskich. Realizowane przez EKO STUDIO przedstawienia uliczne, hap-

peningi, performance, instalacje, świadomie wychodzą poza tradycyjną salę teatralną, każdorazowo zmieniając przypisane konkretnym miejscom funkcje. Widowiska plenerowe w nowatorski sposób wykorzystują oswojoną tkankę miejską, na nowo ją definiując. I co najważniejsze, pozwalają uczestnikom-przechodniom na mniej lub bardziej świadomy wybór roli widza-observatora bądź aktora-wykonawcy. Zmiana charakteru i przeznaczenia sceny zdarzenia za każdym razem przyjmuje formę karnawalizacji, z typowym dla kultury ludowej wymieszeniem pierwiastków poważnych i komicznych.

Teatr Andrzeja Czernika nieprzypadkowo został nazwany EKO STUDIEM. Pierwszy człon nazwy bezpośrednio kojarzy się z ekologią, ponieważ – jak przyznaje pomysłodawca i założyciel teatru – wszystko zaczęło się od najprostszej relacji człowiek – przyroda.

– Nie potrzebowaliśmy żadnych dekoracji, wszystko, co nas otaczało, było najprawdziwszą scenografią. Tak więc aktorzy Teatru EKO swoje pierwsze spektakle prezentowali w naturze: na trawie, w pełnym słońcu, w świetle księżyca, nad wodą, w towarzystwie natrętnych komarów, podczas deszczu, a nawet w ekstremalnych temperaturach i w śniegu. Dalsza część nazwy nawiązuje do studium człowieka, przy czym „studio” oznacza też poszukiwanie nowych rozwiązań formalnych, nowoczesnego języka scenicznego przekazu, dlatego nazwa EKO STUDIO idealnie oddaje myśl i ideę tego, co chcieliśmy zawrzeć w naszych spektaklach – mówi Czernik.

Na początku Teatr EKO nie miał swojej siedziby. – Szukałam długo miejsca, gdzie można by wystawiać moje sztuki – wspomina Czernik. Teatr, jako instytucja, został zarejestrowany 1 lipca 2000 r., ale dopiero w 2007 r. Rada Miasta i prezydent Opoli wydzierżawili pomieszczenia warsztatów nieistniejącego już Zespołu Szkół Zawodowych przy ul. Armii Krajowej 4 w Opolu, gdzie do tej pory teatr Czernika działa i wciąż się rozwija.

Teatr EKO STUDIO zainauguował swoją działalność artystyczną 13 marca 1999 r. premierą „Pilata” Wojciecha Bąka, w niezwyklej atmosferze opolskiego Muzeum Diecezjalnego. Potem teatr Czernika parokrotnie gościł w murach Muzeum Śląska Opolskiego, wykorzystując do swoich projektów stałe ekspozycje i historyczne wnętrza – jako teatralne dekoracje. Po roku dwutysięcznym EKO nawiązało współpracę z kolejną w mieście instytucją kultury – Muzeum Wsi Opolskiej. Pierwszy eksperymentalny kontakt teatru ze skansenem bierkowickim rozwinął się w stałą kooperację, która zaowocowała serią niezapomnianych widowisk.

Od samego początku EKO STUDIO w nowatorski sposób wykorzystywał otwartą przestrzeń miejską i podmiejską, aranżując ją i za każdym razem dostosowując do potrzeb określonego dzieła. Dyrektor teatru łączy obowiązki aktora, reżysera, dramaturga i w zależności od konkretnego zamysłu inscenizacyjnego wybiera do swoich projektów bądź przestrzeń zamkniętą już oznaczoną, niosącą określone konotacje, bądź otwartą i tym samym spełniającą wszystkie warunki do zagospodarowania. Przedstawienia zrealizowane we wnętrzach na ogół są określone tematycznie, a konkretna przestrzeń pełni rolę gotowej już scenografii, stając się głównym atutem danej realizacji. Spektakularnymi widowiskami, które przeszły już do historii miasta i regionu, były paradokumentalne rekonstrukcje przedstawiane na terenie gigantycznego skalnego amfiteatru na Górze św. Anny – miejsca ściśle związanego z historią powstań śląskich. W podobnym duchu aktorzy EKO STUDIA uczcili, na ulicy Krakowskiej, rocznicę wybuchu II wojny światowej – w samym centrum opolskiego deptaka.

Jednym z najbardziej przejmujących doświadczeń, nie tylko dla widzów, ale także dla wykonawców, stał się spektakl, którego scenariusz powstał na bazie wspomnień jeńców wojennych, więzionych podczas II wojny światowej w obozie w Łambinowicach. Premiera „Życ za wszelką cenę”, spektaklu wystawionego w miejscu eksterminacji więźniów dawnego Stalagu VIII F Lamsdorf, na tle wieży strażniczej, za ogrodzeniem z drutu kolczasteo, wzruszała do łez licznie zgromadzoną publiczność. EKO STUDIO może poszczycić się też sztukami związanymi bezpośrednio z historią miasta – m.in. inscenizacją poświęconą dramatycznej śmierci księcia opolskiego pt. „Mikołaj II, czyli historia śmierci opolskiego księcia”, na schodach kościoła pw. Matki Boskiej Bolesnej i św. Wojciecha, czyli tzw. kościoła Na Górze.

Sukcesem frekwencyjnym i artystycznym zakończyło się duże przedsięwzięcie, przygotowane w opolskim amfiteatrze z iście broadwayowskim rozmachem – musical „Wybór”, w którym wystąpiło kilkudziesięciu wykonawców: tancerzy, wokalistów, aktorów i statystów, a które przyciągnęło setki spragnionych rozrywki opolan.

Nie mniejszą atrakcją dla publiczności stanowią przestrzenie nigdy wcześniej niezagospodarowane, zupełnie pozbawione jednoznaczności i jakiegokolwiek tradycji historycznej czy teatralnej. Warto tu wspomnieć o efektywnych plenerowych widowiskach inscenizowanych przez EKO STUDIO nad wodą. Rozległe nadodrzańskie błonia świetnie sprawdziły się jako tło dla cyklicznych, organizowanych zawsze w noc świętojańską „Wianków”. Wielką popularnością cieszyła się również niezapomniana inscenizacja „Romea i Julii” wystawiona nad kanałem Młynówka. Spektakl, w którym dyrektor Czernik zrealizował swoją oryginalną wizję, prezentując całkowicie odrębną od dotychczasowych, autorską interpretację kanonicznego dzieła, zupełnie inny rodzaj widowiska. Twórcze poszukiwania własnej, niezdominowanej niczym piętnem przestrzeni, przyniosły zaskakujące rozwiązania scenograficzne. Widzowie oglądali szekspirowską tragedię z platformy parkingu usytuowanego na wysokim nabrzeżu. Wiele scen zostało rozegranych na swobodnie dryfujących łódkach. W ten sposób spektakl osadzony w szczególnej scenerii opolskiej Wenecji został skomponowany niejako od podstaw, z dosłownie pływających elementów. Zabieg ten już w samym założeniu określił relacje pomiędzy sceną a widownią. Ustalona przestrzeń, z wykorzystaniem nieoczekiwanej nowatorskiej perspektywy, na nowo wpisała się w romantyczną atmosferę dramatu stratfordczyka. Warto tutaj wspomnieć, że do motywu tragicznej śmierci młodych kochanków z Werony twórca EKO powrócił po paru latach. Jego pierwsza sztuka, zatytułowana „Rajmund i Julka”, którą sam napisał i wyreżyserował – oparta na wątkach „Romea i Julii” – została wystawiona w skansenie Muzeum Wsi Opolskiej. Skłócone rody Capulekich i Montecchich zastąpiono repatriantami ze Wschodu oraz Ślązakami, a aktorzy konsekwentnie posługiwali się ich gwarą.

Andrzej Czernik lubi eksperymentować, poszukiwać nowych rozwiązań, a jego wyobraźnia eksploruje coraz śmielsze przestrzenie. Stałych bywalców teatru nie dziwią już coraz bardziej śmiałe działania performatywne i happeningowe. Trudno tutaj nie wspomnieć o „Przyjeź-

dzie króla Jana Kazimierza” na opolski rynek w otoczeniu konnej dworskiej świty czy niezwyklego multimedialnego widowiska, wystawianego parokrotnie na terenie kompleksu Wodociągów i Kanalizacji (WIK) w ramach dni otwartych tejże instytucji. Główną atrakcją jednego ze spektakli było umieszczenie na dachu zabytkowej wieży ciśień fortepianu wraz z pianistą koncertującym na wysokości ponadpięćdziesięciu metrów. W połączeniu z projekcjami, pokazem sztucznych ogni oraz tryskającą z koron drzew wodą, spektakl przybrał formę rewii muzyczno-światło-wodnej, wprawiając w zachwyt rzesze zgromadzonych widzów. Była to instalacja w duchu najczystszej formy teatru postdramatycznego w plenerowej odsłonie. Do tradycji EKO STUDIA przeszły organizowane w siedzibie teatru coroczne wystawy połączone ze spektaklami i koncertami o nazwie „Zimowy Las Sztuki”. Co roku w siedzibie teatru swoje prace wystawiają artyści plastycy z Opola i województwa opolskiego, którzy prezentują rzeźbę, fotografię, grafikę i malarstwo. Pokazy mają charakter konkursowy, ponieważ podczas finałowego wernisazu wręczane zostają nagrody Eko Liścia w poszczególnych kategoriach.

Do niezapomnianych realizacji Teatru EKO należą inscenizacje wystawiane w przepięknej, oryginalnej scenerii Muzeum Wsi Opolskiej w Bierkowicach. Imponujące plenerowe produkcje, z wieloosobową obsadą aktorską uatrakcyjniały zwiedzanie opolskiego skansenu. Pierwszym widowiskiem w tej niecodziennej przestrzeni było „Wesele, Wesele” według Stanisława Wyspiańskiego. Kolejną propozycją Czernik zaskoczył najbardziej wytrawnych teatromanów, wystawiając w plenerze swoją adaptację „Chłopów” W. S. Reymonta. Inscenizacja była prapremierowym wydarzeniem w skali kraju i zarazem unikatową próbą prezentacji powieści w scenerii naturalnej. Warto podkreślić, że artystyczna wizja Czernika zgodna jest z układem Reymontowskiej tetralogii. Sugeruje to już zastosowanie niejako zapożyczonego od młodopolskiego prozaika podziału dzieła na cztery odrębne części. To oryginalne posunięcie zdeterminowało konieczność dostosowania momentu inscenizacji do cyklu rocznego, a nawet rytmiki dobowej – stąd czas premiery uzależniony był od pory roku oraz zachodu słońca. Prapremiera pierwszego wydarzenia, „Jesieni”, odbyła się 23 września 2002 roku, „Zimę” wystawiono 10 lutego 2003 roku, „Wiosną” z kolei zaprezentowana została 3 maja 2003 roku, a wreszcie – nieco spóźnione ze względu na zwyczajową przerwę urlopową w teatrze – „Lato”, 17 września 2003 roku.

Zdaniem Czernika, miejsca podobne skansenowi to przestrzenie, które pobudzają wyobraźnię i niejako domagają się artystycznego uruchomienia. Adaptacja epepe polskiego noblisty stała się inspiracją i pretekstem dla ukazania czasów, kiedy człowiek żył w zgodzie z prawem oraz rytmem przyrody. Z tej perspektywy naturalną stała się chęć i potrzeba zaangażowania nie tylko twórców, lecz także piękna otaczającej przyrody. Choć było to zadanie niełatwe, w pełni się powiodło, gdyż natura niejako sama zagrała w spektaklu. Dużym utrudnieniem w okresie rozgrywania „Jesieni” wydawały się rzęsiste deszcze, ale mimo niesprzyjającej aury reżyser często decydował się na rozpoczęcie przedstawienia (swoją decyzję uzależniał od siedzących na widowni łysych widzów, wychodząc z założenia, że jeżeli oni okażą się wytrwali i zdecydują pozostać do końca, mimo wszystko warto podjąć wysiłek). Najtrudniej było jednak wystawiać „Zimę”. Wpływ trudnych warunków atmosferycznych odczuli nie tylko aktorzy, ale przede wszystkim widzowie, którzy przybywali do skansenu z własnymi termosami oraz śpiworami. Pewnego dnia okazało się, że z powodu przemarzniętych dłoni widzowie nie mogą klaskać. Był to niezapomniany moment, kiedy po zakończeniu spektaklu, chcąc docenić artystyczne starania, postanowili tupać. Był to jedyny spektakl, na którym nas dosłownie wytupano – wspomina ze śmiechem Czernik.

Obserwując repertuar EKO STUDIA, można śmiało stwierdzić, że teatr stara się bawić, uczyć i uczyć, bawiąc, ponieważ, poza tak zwanym repertuarem ambitnym, nie stroni od form komediowych. Można pośmiać się bez skrępowania, nie zważając na posądzenie o brak zrozumienia założeń sztuki. Różnorodne formy artystycznych poszukiwań EKO STUDIA bezpośrednio nawiązują do ludowych tradycji teatru ulicznego, ożywiając nie tylko życie artystyczne, ale również społeczne w mieście. I tak już od osiemnastu lat.



Pękają bąbelki, piana zanika, powstaje „deszcz” wodny w oleju, kropelki lokalnie łączą się w większe, stąd spadające ciemne kule... (fot. Wojciech Dindorf)

FIZYKA DLA LAIKA

WOJCIECH DINDORF

WIDOWISKO DLA CAŁEJ RODZINY

Tak powstał Wszechświat?

Archimedes (III w. przed Chrystusem) zauważył, że obiekty wypływają na powierzchnię cieczy lub unoszą się ku górze w gazach (w powietrzu), gdy ich gęstość (stosunek masy do objętości) jest mniejsza niż gęstość cieczy czy gazu, w którym obiekt zanurzamy. Stąd balony z helem

czy z podgrzanym powietrzem unoszą się w górę, a okręty, kajaki i łodzie podwodne (nie mówiąc o rybach i ludziach) potrafią pływać.

Pigułka wrzucona do wody tonie, reaguje z wodą tak, że wydziela się gaz*, który jest znacznie mniej gęsty niż

woda (czy olej) i stąd bąbelki idą w górę. Szybko – w wodzie, a wolniej w oleju, bo olej, choć jest mniej gęsty niż woda, ale znacznie bardziej lepki. I dobrze, że z wodą się nie miesza.

Pascal (XVII w. po Chrystusie) wyjaśnił, że bąbelki gazu w cieczy mają kształt kulisty, ponieważ ciśnienie gazu na ciecz, i odwrotnie, jest z natury niezależne od kierunku, czyli, że efekt działania ciśnienia w danym obszarze jest ze wszystkich kierunków taki sam... Pascal określił też, jak to ciśnienie zależy od miejsca, na ogół od głębokości (im głębiej, tym większe ciśnienie), stąd bąbelki, idąc w górę (Archimedes) stają się coraz większe (Pascal).

A potem jeszcze dochodzi piana, czyli tysiące mniejszych lub większych bąbli, które z czasem zanikną, tworząc krople wody** (kolorowej), a że są gęściejsze od oleju – więc toną... I wszystko się uspokaja, wraca do stanu początkowego (powiedzmy, po godzinie), aż nie wrzucisz następnej „musującej” piguły i.... *da capo al fine*.

PS Nie wypada nie zwrócić uwagi na lustro powierzchni olejowo-kawowej, które też ma swój udział w tym niezwykłym widowisku.

Doświadczenie to demonstrowała na SDF w Borowicach (2012) mgr Dobromiła Szczepaniak, nauczycielka fizyki z Wrocławia, posługując się wysokim, grubym cylindrem szklanym, kilkoma litrami oleju i pastylką musującą magnezu. Wysoki flakon czy cylindryczna szklanka (patrz: foto) też gwarantują fascynujące widowisko!

* Po dostaniu się tabletki do wody zachodzi reakcja między użytym kwasem organicznym (winowym lub cytrynowym) a węglanem, w wyniku której wydziela się CO₂, obserwowany w postaci uwalniających się pęcherzyków gazu.

** Pęcherzyki gazu (niczym bańki mydlane) są zamknięte warstewką wody i tak wydostają się na powierzchnię oleju, tworząc pianę. Pękają bąbelki, piana zanika, powstaje „deszcz” wodny w oleju, kropelki lokalnie łączą się w większe, stąd spadające ciemne kule – niesamowity widok! Głębokość ich barwy zależy od użytego barwnika – w doświadczeniu widocznym na fotografii była to kawa rozpuszczalna.

BARTŁOMIEJ KOZERA

WIOSNA: MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ

Niezależnie od tego, jaka była zima, to gorąco witamy wiosnę. Najpiękniej się ją nazywa w językach słowiańskich. Polska „wiosna” w językach sąsiadów nazywana jest *wiesną*, a to słowo Aleksander Brückner w „Słowniku etymologicznym” od *wesołości* wyprowadza. Wiosna wiąże się z jakąś otuchą, właśnie z radością. Skąd ta radość? Odpowiedź naturalistyczna jest prosta: to radość z przeżycia zimy. Już w tej najprostszej odpowiedzi jest ślad, którym chcę pójść. Radość przeżycia zawiera w sobie dwoistość: uznanie dla siebie i uznanie dla świata. Tego nie ma żadna inna pora roku. W lecie i jesienią radujemy się bowiem światem, natomiast w zimie – sobą. Wiosenna radość jest podwójna. I to drugi powód niezwykłości wiosny.

Ale to chyba nie wszystko. Starsi ludzie często mówią, że liczą sobie ileś tam wiosen. Utożsamiają lata życia z wiosnami, czyli blask swojego życia, jego wartość, łączą z wiosną. To powszechnie najulubieńsza pora roku. Czy Kochamy wiosnę tylko z tego powodu, że przepędza ona zimę? Raczej nie.

Chcę teraz mówić o trzecim powodzie niezwykłości wiosny. Z miłością najściślej związana jest śmierć. Trafnie ujął to Zygmunt Freud, gdy stwierdził, że życiem ludzkim kierują dwie moce: Eros i Tanatos, Miłość i Śmierć, siła twórcza i burząca, konstrukcyjna i destrukcyjna. Czy miłość rzeczywiście chroni od śmierci? Wielu już wypowiedało tę myśl, że gdyby nie miłość, śmierć nie byłaby przeżyciem strasznym, byłaby raczej czymś obojętnym. Najwcześniej, bo w V wieku, wyraził to św. Augustyn. Kochamy życie, świat, innych ludzi, więc śmierć jawi się jako zerwanie więzi. I odwrotnie: gdyby nie śmierć, miłość nie byłaby uczuciem tak pięknym. To umiłowanie życia czyni śmierć przerażającą, a możliwość przezwyciężania śmierci przez następstwo pokoleń, co jest konsekwencją miłości, sprawia, że to uczucie jest tak wzniosłe. I jeszcze jedna kwestia: miłość powoduje, że bardzo intensywnie odbieramy własne istnienie. Wiosna tym się odznacza, że

czujemy wówczas smak życia, bo kochać to nieustannie uświadamiać sobie wartość życia. Wypatrujemy życia w jego różnych postaciach, cieszy nas każdy kwiat, każde zioło, każda roślina.

W miłości do świata nikt nie może mnie zastąpić. Mam głęboką świadomość tego, że jestem, tedy zmienia się to w pragnienie, by dalej być. Wiosna wzmacnia owo pragnienie, by być, by trwać.

Życie ma dwa bieguny, jak magnes: plus – miłość i minus – śmierć. Miłość i śmierć od początku toczą ze sobą walkę. Chcą zapanować nad moim istnieniem. Jeśli miłość wierzy w wieczne istnienie, to śmierć pragnie zakończyć je teraz.

I oto nadchodzi wiosna – pora, kiedy miłość zwycięża śmierć, świat ożywia się, zmartwychwstaje. Stąd ta radość życia, które teraz triumfuje. I to jest inny, głębszy powód cieszenia się wiosną.

WŁODZIMIERZ KACZOROWSKI

POGRZEB W CIENIU KORONACJI



Trasa konduktu żałobnego królowej Konstancji i Zygmunta III

Królowa Konstancja Habsburżanka, druga żona Zygmunta III Wazy, zmarła 10 lipca 1631 r. w Warszawie. Król nie zdążył pochować jej w Krakowie, gdyż zmarł 30 kwietnia 1632 r. (po jego śmierci rozpoczęło się czwarte już z kolei bezkrólestwie w Rzeczypospolitej).

Termin pogrzebu pary królewskiej określiła uchwała sejmu elekcyjnego z 1632 r., zgodnie z którą uroczystości pogrzebowe zaplanowano na 24 stycznia 1633 r. w Krakowie. Tym samym zwłoki królowej Konstancji czekały na pochowanie przez 556 dni, a Zygmunta III przez 252 dni.

Dopiero 7 stycznia 1633 r. nastąpiła uroczysta eksportacja ciała pary królewskiej z Warszawy do Krakowa. Tymczasem w nocy z 6 na 7 stycznia król elekt Władysław Waza zapadł na febrę, nie mógł więc wziąć udziału w ceremonii.

Warszawa żegnała parę królewską 7 stycznia. Tego dnia do kaplicy zamkowej, gdzie spoczywały zwłoki, przybyli królewicze (Jan Kazimierz, Jan Albert, Karol Ferdynand) w towarzystwie Honorata Viscontiego, nuncjusza papieskiego oraz senatorów duchownych i świeckich. Po odprawieniu mszy świętej żałobnej przystąpiono do rozmontowywania akcesoriów pogrzebowych. Z trumien zdjęto insygnia królewskie, przekazując je osobom, które miały je nieść na poduszkach ze złotogłowia w czasie ceremonii żałobnej. Insygnia Królestwa Polskiego: koronę – Melchiorowi Wejherowi, wojewodzie pomorskiemu, berło – Zbigniewowi Sienieńskiemu, kasztelanowi lubelskiemu, jabłko – Krzysztofowi Sułowskiemu, kasztelanowi żarnowskiemu. Insygnia Królestwa Szwecji przekazano: koronę – Jerzemu Ossolińskiemu, podskarbiemu nadwornemu koronnemu, jabłko – Zygmunтови Guldensternowi, berło – Zygmunтови Kazanowskiemu, podkomorzemu koronnemu. Oznaki godności monarcha przekazał: koronę – Pawłowi Stefanowi Sapieżowi, podkanclerzemu litewskiemu, berło – Janowi Mikołajowi Daniłowiczowi, podskarbiemu wielkiemu koronnemu, jabłko – Stanisławowi Niemirze, kasztelanowi podlaskiemu.

Z trumien królewskich zdjęto czerwony złotogłów, po czym trumny zostały wyniesione z kaplicy zamkowej i ustawione na wozach, stojących na dziedzińcu zamkowym. Do niesienia trumny Zygmunta III wyznaczono 26 osób, a do przeniesienia trumny Konstancji – 24 osoby. Karawany obite były tradycyjnie czarnym sukniem, każdy zaprzężony w ósemkę koni przybranych czarnymi kapami. Trumny pokryto czerwonym złotogłowiem, na który nałożono czarną tkaninę z białymi atłasowymi krzyżami. Na jej brzegach przymocowano wyhaftowane herby: państwowe, Wazów i Habsburgów. Krótką egzortę wygłosił Sebastian Łajszczeński, kaznodzieja nadworny Zygmunta III, po którego kazaniu marszałkowie dali syg-

nał wymarszu konduktu żałobnego w kierunku Ujazdowa.

Kondukt otwierały delegacje szkolne i przedstawiciele niższych warstw, niosący krzyże i świece, wszyscy ubrani w żałobne szaty. Za nimi kroczyła grupa księży świeckich, reprezentujących kościoły warszawskie, reprezentacje poszczególnych bractw i zakonów różnych reguł, za nimi postępowała kapela królewska w otoczeniu gwardii królewskiej z opuszczonymi halabardami. Tuż za kapelą szedł nuncjusz papieski Honorat Visconti w towarzystwie biskupów: kujawskiego – Macieja Łubieńskiego, płockiego – Stanisława Łubieńskiego i chełmińskiego – Jakuba Zadzik, a za nimi marszałkowie: wielki koronny Łukasz Opaliński, wielki litewski – Jan Stanisław Sapieha, nadworny koronny – Stanisław Przyjemski, nadworny litewski – Krzysztof Wiesiołowski, niosący łaski marszałkowskie, oznaki swej godności, tradycyjnie na znak żałoby zwrócone głowicami ku ziemi. Za marszałkami szli dwójkami senatorowie niosący na poduszkach insygnia Zygmunta III (polskie i szwedzkie), poprzedzając jadącą na wozie trumnę królewską. Pomędzy trumną Zygmunta III a Konstancji kroczył, z opuszczoną łaską, marszałek dworu królowej Maksymilian Przerembski, kasztelan sieradzki, a za nim osoby niosące koronę, berło i jabłko Konstancji. W niewielkiej odległości za nimi jechał wóz z trumną królowej. Za trumnami szli najbliżsi zmarłych: Jan Kazimierz, Jan Albert, Karol Ferdynand, Aleksander Karol i Anna Katarzyna. Za nimi, w asyście dwóch senatorów, szła ochmistrzyni dworu Zygmunta III – Urszula Meierin. Dalej kroczyli senatorowie, licznie przybyła do Warszawy szlachta, fraucymer królowej Anny Katarzyny. Kondukt zamykali mieszkańcy Warszawy.

Trasa konduktu żałobnego wiodła z Zamku Królewskiego, przez Bramę Zegarową, ulicą Senatorską obok kościoła i klasztoru Franciszkanów Bosych, a następnie, w pobliżu kaplicy Szujskich, drogą prowadzącą do Ujazdowa. Uroczystości żałobne zakończyły się na rogatkach Warszawy, gdzie kondukt żałobny zaczął się rozwiązywać. Nuncjusz papieski, senatorowie duchowni i świeccy oraz fraucymer pozostali w Warszawie, zaś rodzina królewska zajęła miejsca w karetach, udając się do Ujazdowa, gdzie oczekiwano na trumny pary królewskiej.

W Ujazdowie już stał podłużny drelichowy namiot, przypominający swym kształtem szopę. W nim umieszczono trumny królewskie: wóz z trumną Zygmunta III po prawej stronie, po lewej – trumnę Konstancji. Namiot ten miał służyć nie tylko jako ochrona przed niesprzyjają-

mi warunkami atmosferycznymi, ale także jako przenośna kaplica, w której odprawiano msze żałobne.

Późnym wieczorem, 7 stycznia 1633 r., Jan Albert, Karol Ferdynand i Anna Katarzyna powrócili do Warszawy, natomiast Jan Kazimierz i Aleksander Karol udali się na miejsce następnego postoju konduktu żałobnego, tj. do Piaseczna. Nocą przy trumnach królewskich czuwali księża, straż złożona z piechoty królewskiej oraz przedstawiciele szlachty.

8 stycznia, w Warszawie, król elekt Władysław Waza zwołał naradę, w której uczestniczyli: Jakub Zadzik, biskup chełmiński i kanclerz wielki koronny, Jerzy Ossoliński podskarbi nadworny koronny, Łukasz Opaliński, marszałek wielki koronny, Jan Stanisław Sapieha, marszałek wielki litewski, Stanisław Przyjemski, marszałek nadworny koronny, Krzysztof Wiesiołowski, marszałek nadworny litewski. Jak już wspominałem, z powodu złego stanu zdrowia Władysław Waza zdecydował się na pozostanie w Warszawie, podobnie jak jego siostra Anna, która również nie czuła się najlepiej. W tej sytuacji trumny królewskie do Krakowa mieli prowadzić czterej królewicze oraz wyznaczeni przez króla elekta dostojnicy: Jakub Zadzik, biskup chełmiński i kanclerz wielki koronny, Paweł Stefan Sapieha, podkanclerz litewski, Jan Mikołaj Daniłowicz, podskarbi wielki koronny, Jerzy Ossoliński, podskarbi nadworny koronny, Krzysztof Gosiewski, pisarz wielki litewski, Stanisław Naruszewicz, pisarz wielki litewski, Łukasz Opaliński, marszałek wielki koronny, Krzysztof Wiesiołowski, marszałek nadworny litewski, Stefan Pac, podskarbi litewski. Datę wymarszu z Ujazdowa w kierunku Piaseczna ustalono na 9 stycznia.

O decyzji podjętej przez Władysława Wazę nie zostali zawiadomieni w odpowiednim czasie przebywający w Piasecznie bracia: Jan Kazimierz i Aleksander Karol, którzy 8 stycznia oczekiwali konduktu żałobnego. Dopiero wieczorem dotarli do nich aktualne informacje z Warszawy.

9 stycznia Jan Albert i Karol Ferdynand przybyli z Warszawy do Ujazdowa, gdzie zastali trumny rodziców gotowe do drogi. Po odprawieniu uroczystej „żałomszy” zdemontowano namiot, a następnie uformowano kondukt, który na sygnał Krzysztofa Wiesiołowskiego, marszałka nadwornego litewskiego, wyruszył w kierunku Krakowa. Kondukt na trasie swego marszu z Warszawy do Krakowa zatrzymywał się na noclegi w następujących miejscowościach: Ujazdów – 7/8, 8/9 stycznia, Piaseczno – 9/10 stycznia, Warka – 10/11 stycznia, Stroniec – 11/12

stycznia, Radom – 12/13 stycznia, Iłża – 13/14 stycznia, Bodzentyn – 14/15, 15/16 stycznia, Kielce – 16/17 stycznia, Pińczów – 17/18 stycznia, Skalbierz – 18/19 stycznia, Luborzyca – 19/20 stycznia, Łobzów – od 20 stycznia do 3 lutego, Kraków – 3/4 lutego, pokonując drogę długości ok. 280 km.

Zasadniczą część konduktu żałobnego stanowiły wozy z trumnami królewskimi, za którymi podążali królewicze wraz z dostojnikami. Przez miasta i wsie uczestnicy konduktu szli pieszo, poza nimi wsiadali do karet i wozów. Towarzyszyli im księża odprawiający msze żałobne. Do ochrony konduktu i czuwania przy trumnach wyznaczono 20 żołnierzy gwardii królewskiej. Ich obecność – jak konstatuje Juliusz A. Chrościcki – upodabniała kondukt do przemarszu oddziału zbrojnego, a jego postój do obozu stacjonującego wojska¹. W ostatniej wędrownicy Konstancji i Zygmuntovi III towarzyszyły rzesze dworzan i służby. Część posługujących przebywała ze swymi panami przy trumnach, reszta wyprzedzała znacznie kondukt celem przygotowania kwater i rozstawienia namiotu w miejscu następnego postoju. Na trasie przemarszu orszaku żałobnego do uczestników konduktu dołączała często okoliczna szlachta i kler. Na przykład w Radomiu, dokąd kondukt miał przybyć 12 stycznia, odbywał się akurat sąd kapturowy. Z tej okazji w mieście przebywało wielu szlachciców z powiatów: radomskiego, stężyckiego, chełmińskiego i opoczyńskiego, stąd zbliżający się do miasta kondukt został uroczystie powitany przez liczną reprezentację szlachty na czele z Filipem Wołuckim, wojewodą rawskim oraz jego bratem Sebastianem, starostą rawskim. Z kolei 16 stycznia, kiedy kondukt zbliżał się do Kielc, na kilka kilometrów przed miastem witali go górnicy ze swoim starostą. Ciekawy widok przedstawiała ta górnicza „gwardia” w liczbie 700–800 ludzi, jednolicie ubranych, z berdyszami w rękach. Doprowadziła ona kondukt przed bramy miejskie, gdzie wszystkich powitał Tomasz Oborski, sufragan krakowski.

Drogę z Warszawy do Krakowa kondukt żałobny pokonywał w deszczu, zimowej zadymce, przy silnym wietrze. Zmienna pogoda, bardziej marcową niż styczniową, znacznie utrudniała pokonywanie trasy. W grząskim podłożu, w koleinach, grzęzły konie i wozy. Na drodze z Iłży do Bodzentyna część konduktu utknęła, przybywając do Bodzentyna późną nocą. Po jednodniowym odpoczyn-

ku, dzięki poprawie pogody, kondukt ruszył w kierunku Kielc, a dwa dni później, ponownie w deszczu, dotarł do Łobzowa.

Na trasie do Łobzowa orszak żałobny zatrzymał się na 13 noclegach w wymienionych wyżej miejscowościach. Na każdym nocnym postoju rozbijano drelichowy namiot, w którym na noc składano trumny, a rano dnia następnego odprawiano przed wymarszem msze żałobne. Nie obywało się bez kłopotów. 11 stycznia na przykład, w drodze do Stromca, zablądziły wozy dworskie wiozące namiot i pozostały sprzęt. W czasie pobytu w Radomiu okazało się, że dziedziniec zamkowy, gdzie planowano rozbić namiot, był na to zbyt mały, usytuowano go zatem na rynku przed plebanią. 13 stycznia w Iłży, okazało się, że podjazd zamkowy tak rozmiękł od ulewnych deszczy, że nie można było nań wprowadzić wozów z trumnami (ustawiono je, podobnie jak w Radomiu, przed budynkiem plebanii). Kłopoty z rozstawieniem namiotu napotkano również w Pińczowie i Skalbierzu.

Wieczorem 20 stycznia (cztery dni przed zaplanowanymi uroczystościami pogrzebowymi w Krakowie) kondukt żałobny przybył do Łobzowa, podmiejskiej rezydencji królewskiej, gdzie trumny królewskie miały oczekiwać na dzień pogrzebu. Ustawiono je początkowo w ogrodzie w namiocie. Z powodu ulewnego deszczu, jak również informacji o przeciągającej się chorobie króla elekta Władysława Wazy, uniemożliwiającej mu podjęcie podróży z Warszawy do Krakowa, konieczne było przesunięcie terminu pogrzebu. W związku z tym 22 stycznia przeniesiono trumny „do wielkiej Sali w letnim zamku w Łobzowie, ćwierć mili od Krakowa, gdzie każdego dnia wszyscy mogli oglądać zwłoki króla i królowej. Zwłoki były przykryte złotogłowie. Na trumnie króla był srebrny krzyż i dwie korony, dwa berła i dwa jabłka. Na trumnie królowej jeden krzyż, jedna korona, jedno berło i jedno jabłko”². Porządek ceremonii żałobnych przy ciałach pary królewskiej nie uległ zmianom. Dniem i nocą pełniono wartę honorową, dwukrotnie w ciągu dnia księża odprawiali msze żałobne. W Łobzowie trumny królewskie stały przez dwa tygodnie (od 20 stycznia do 3 lutego 1633 r.).

Do Krakowa tymczasem zjeżdżali senatorowie i posłowie na sejm koronacyjny. 29 stycznia przybył Jerzy Ossoliński, podskarbi nadworny koronny, z listem króla elekta Władysława Wazy skierowanym do senatorów

¹ J. A. Chrościcki, „Pompa funebris. Z dziejów kultury staropolskiej”, Warszawa 1974, s. 50.

² „Theatrum Europaeum, Thl. 2, von Anno Christi 1629–bis auff das Jahr 1633”, Frankfurt nad Menem 1679, s. 8.

i posłów, zawierającym informację, „że już jest w drodze, pomimo że stan zdrowia jego nie jest doskonale utwierdzony, zapowiadając przybycie swe do Krakowa w krótkim czasie i wzywając stany, aby zwłoki tej ku urazie nie brały”³. Sejm koronacyjny rozpoczął się w ustalonym terminie – 31 stycznia 1633 r., pod nieobecność pierwszego stanu sejmującego, tj. króla, który dopiero 24 stycznia wyruszył z Warszawy, docierając 2 lutego do Prądnika pod Krakowem. W Prądniku Władysław Waza zatrzymał się na dworze patrycjusza krakowskiego pochodzenia włoskiego, Andrzeja Cellarego, gdzie przyjął marszałków nadwornych: koronnego – Stanisława Przyjemskiego i litewskiego – Krzysztofa Wiesiołowskiego, ustalając z nimi szczegóły dotyczące uroczystego wjazdu do miasta i ceremonii pogrzebu pary królewskiej. Ułożono nowe kalendarium uroczystości: wjazd króla elekta do Krakowa – 3 lutego, pogrzeb pary królewskiej – 4 lutego, koronacja Władysława Wazy – 6 lutego.

Pogrzeb pary królewskiej poprzedzony został uroczystym wjazdem króla elekta Władysława Wazy do Krakowa. We czwartek 3 lutego 1633 r. („dzień bardzo się trafił pogodny i mroźny”⁴) przed południem król elekt wyruszył kareta z Prądnika, przez Kazimierz, do Krakowa. Senatorowie, urzędnicy państwowi i dworscy, posłowie ziemscy oraz liczna szlachta, uformowali orszak towarzyszący Władysławowi Wazie. Przybyli również trzej królewicze: Jan Kazimierz, Karol Ferdynand i Aleksander Karol.

Na spotkanie króla elekta wyruszyły z Prądnika magistraty Kazimierza i Krakowa, cechy pod swymi chorągwiemi oraz gwardie miejskie. Jakub Sobieski, krajczy koronny, odnotował w swym diariuszu: „Mieszczanie ze wszystkich miast krakowskich w pole z chorągwiemi wyszli byli. A gdy witając do pocałowania ręki króla JM przyszło, kleparzanom, stradomianom i kazimierzanom król JM rękę gołą do całowania dał przed samym Kleparzem i każde miasto króla JM osobną oracją witało, którym ksiądz kanclerz [Jakub Zadzik – W.K.] odpowiadał, a król JM na karcie siedział. Mieszczanom zaś krakowskim przez rękawicę rękę dał. gdy go u Panny Maryjej kościoła witali. A to dlatego, iż w zdradzie quondam [niegdyś – W.K.] przeciwko Panu swemu deprehensi erant [byli

złapani – W.K.]”⁵. Pod kościołem św. Floriana oczekiwali na przybycie Władysława Wazy profesorowie Akademii Krakowskiej. W ich imieniu powitalną orację wygłosił rektor Akademii, Jakub Najmanowicz, doktor praw rzymskiej Sapienzy. W imieniu króla elekta podziękował wszystkim zebranym Jakub Zadzik, kanclerz wieki koronny. Po powitaniu przez rektora Władysław Waza wsiadł na gniadego konia i wraz z towarzyszącym mu orszakiem udał się w kierunku Bramy Floriańskiej.

Orszak towarzyszący królowi elektowi otwierały piechote gwardie cechów miejskich. Źródła odnotowują od 14 do 16 oddziałów gwardii (po 70 ludzi) krakowskiej, stradomskiej oraz kazimierzowskiej. W dalszej kolejności jechało na koniach 150 „najznakomitszych kupców”⁶, 18 chorągwi hajduków i chorągiew królewska. Za nią konno jechało wielu urzędników państwowych i dworskich, posłów ziemskich oraz senatorów, wyprzedzając jadącego na gniadym koniu Władysława Wazę w towarzystwie Jana Kazimierza, Karola Ferdynanda i Aleksandra Karola. Obok króla elekta szli drabanci z halabardami, za nimi kilku paziów i gwardia królewska. Pochód zamykało około 730 jeźdźców. Źródła odnotowują, że w pochodzie wzięło udział od 20 do 30 tys. osób.

Kiedy około południa orszak wjechał w Bramę Floriańską, mieszczanie krakowscy podszli do Władysława Wazy, „obowiązując wokół jego szyi piękną, złotem i srebrem haftowaną chustę, ofiarowaną przez radę miejską”⁷. Od Bramy Floriańskiej aż na Zamek sześciorajców krakowskich niosło nad królem elektem, jadącym na koniu, purpurowy, złoty tkany baldachim, zmieniając się trzykrotnie po drodze: przy kościele Mariackim, ul. Grodzkiej i Kanoniczej.

Dla uświetnienia i upamiętnienia wjazdu Władysława Wazy do miasta koronacji królów polskich, mieszczanie krakowscy wystawili dwa łuki tryumfalne w kształcie bramy: jeden u wylotu ul. Floriańskiej, drugi u wylotu ul. Grodzkiej. Na szczycie pierwszego łuku „biały orzeł pochylał głowę i rozpinał skrzydła, obracając się na drugą stronę w chwili przejazdu króla elekta pod nim. Na drugim łuku „Bogini Zwycięstwa przepowiadała królowi elektowi szczęśliwe triumfy wierszami i licznymi napisami”⁸. Na obu łukach – jak odnotował Jakub So-

bieski, krajczy koronny – „muzyka grała, kiedy król JM wjeżdżał”⁹. W czasie całego przejazdu Władysława Wazy grano na trąbach i szalabajach.

Gdy Władysław Waza wjechał na Rynek, „strzelano (...) z dział na wałach zamkowych i na wałach miejskich, i piechota z muszkietów JM pana podkanclerzego koronnego [Tomasza Zamoyskiego – W.K.] z zamku strzelała”¹⁰. Z kolei kiedy król elekt opuszczał Rynek, udając się w kierunku Zamku, „kawalkada wszystka dworzan i sług pańskich dwoma rzędami, począwszy od kościoła Wszystkich Świętych aż do pół Kanoniczy ulice, a po tym piechota aż do samego zamku stanęła, między którymi król JM wjeżdżał”¹¹. Tomasz Zamoyski, podkanclerzy koronny i zarazem starosta krakowski, „zamek Władysławowi oddawał i kluczy złotych trzy na miednicy srebrnej złocistej”¹². Po złożeniu gratulacji królowi elektowi, w imieniu Władysława Wazy przekazał podziękowania Tomaszowi Zamoyskiemu kanclerz wielki koronny Jakub Zadzik, „i klucze mu nazad wrócił”¹³. Następnie monarcha, zszedłszy z konia, udał się do katedry wawelskiej, gdzie dziekan kapituły krakowskiej Piotr Gembicki wygłosił powitalną orację. W imieniu Władysława Wazy ponownie słowa podziękowania przekazał Jakub Zadzik. Władysław Waza wraz z bratem Janem Kazimierzem przy konfesji św. Stanisława ucałowali relikwie głowy świętego. W tym momencie duchowieństwo zaintonowało hymn dziękczynny *Te Deum laudamus*, zakończony błogosławieństwem udzielonym przez sufragana krakowskiego Tomasza Oborskiego. Udającemu się na Zamek Władysławowi Wazie salutowano wystrzałami armatnimi. Około godziny 18.00 monarcha znalazł się w Zamku, kończąc w ten sposób swój uroczysty wjazd do Krakowa.

Późnym wieczorem trzej marszałkowie (Łukasz Opaliński, wielki koronny, Stanisław Przyjemski, nadworny koronny, Krzysztof Wiesiołowski, nadworny litewski) wraz z nieliczną grupą ludzi udali się do Łobzowa celem sprowadzenia ciała królowej Konstancji i Zygmunta III do Krakowa. Około północy przywieziono je do dworu Montelupich na Kleparzu. Tutaj miały oczekiwać uroczystości pogrzebowych, które planowano za niespełna kilka godzin. Wartę nocną przy zwłokach pełnili: Marcin

Borkowski i Andrzej Wodyński, łowczy podlaski. ^{Pompa funebris} Konstancji i Zygmunta III odbyła się 4 lutego 1633 r. w Krakowie.

Od redakcji: Miło nam poinformować, że w grudniu ub. roku prezydent RP Andrzej Duda nadał prof. Włodzimierzowi Kaczorowskiemu Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski – za „wybitne zasługi w pracy naukowo-dydaktycznej, za wkład w rozwój międzynarodowej współpracy naukowej”.

³ „Dziennik prowadzenia ciała króla Zygmunta III i królowej Konstancji do Krakowa oraz pogrzebu Ich tamże r. 1633”, w: A. Grabowski, „Ojczyste wspominki”, Kraków 1845, s. 64.

⁴ AGAD, APP 303, s. 842.

⁵ *Ibidem*, s. 843–844.

⁶ Archiwum Państwowe w Gdańsku 300,29/113, k. 5v.

⁷ *Ibidem*, k. 6.

⁸ A. S. Radziwiłł, *op. cit.*, t. 1, s. 276–277.

⁹ AGAD, APP 303, s. 846.

¹⁰ *Ibidem*, s. 847.

¹¹ *Ibidem*, s. 848.

¹² *Ibidem*, s. 847.

¹³ *Ibidem*, s. 848.

MAGDALENA GROCHOWSKA (GAZETA WYBORCZA)

NADCHODZĄ

Ze ściśniętym gardłem czytałam tekst Barbary Stankiewicz „Margines” w grudniowym „Indeksie”. To kolejny sygnał alarmowy: nadchodzą! Z pięściami gotowymi do ciosu, z hasłem „Polska dla Polaków!”. Tak właśnie krzyczał – wedle świadków – mężczyzna, szarpiąc czterystoletnią Turczynkę na warszawskiej Ochocie. Wracała ze szkoły ulicą Słupecką, była środa, 3 stycznia, jeszcze jasne popołudnie. Znam tę ulicę: to dwa kroki od placu Narutowicza, nieopodal mieści się redakcja „Polityki”, zawsze kręcą się tu ludzie. „Nie ma miejsca na rasizm w Polsce” – zareagował premier. Czyżby?

*

Kilka dni później, spowita w zieloną gazę, leżę na stole operacyjnym. Trwa drobny zabieg w znieczuleniu miejscowym, można rozmawiać. Chirurg tnie, z dowcipami na ustach. Rozluźniam się, uśmiecham bezgłośnie. Opowiada o własnych perypetiach z medycyną, wszak lekarze też bywają pacjentami. – Czekam znieczulony – mówi – a tu w drzwiach staje „beżowy”.... Tacy jak on oferowali mi wielbłądy za moją żonę w Egipcie... Chciałem uciec ze stołu operacyjnego, ale już było za późno...

Widocznie zmieniłam się na twarzy, bo zapytał: – Czy wszystko w porządku?

Zamknęłam oczy. Nagle przypomniał mi się bohater mojego eseju, Jerzy Stempowski, który w maju 1938 roku, zmuszony do operacji ślepej kiszki, wybrał Szpital Starozakonnych na Czystem w Warszawie, bo nie chciał, by operował go „jakiś endek”; i nie chciał leżeć „pośród pałkarzy”. Stał mi pod powiekami obraz: Stempowski wchodzi do sklepu, uchyla kapelusza i pyta, czy to sklep chrześcijański. Bo hasło tamtych lat głosi: „Nie kupuj u Żyda”. – Tak – potwierdza skwapliwie sprzedawca. – Przepraszam – wycofuje się Stempowski – ale ja kupuję tylko u Żydów.

Milczenie przedłużało się i zaniepokojony chirurg ponowił pytanie. Myśli trzepotały w mojej skołatanej głowie. Jak zareagować? Czy w ogóle reagować? Czy fakt, że pisałam wielokrotnie o ludziach, którzy ze swego kruchego „nie!” stawiali tamę brunatnej fali, zobowiązuje mnie?

I do czego? Ostrzegali: do głosu doszło „barbarzyństwo żwawe i rumiane”.... Tę dramatyczną konstatację przyjmowałam od jakiegoś czasu jako opis współczesności. Ich ówczesny opór pokrępa mnie dziś... Więc dlaczego milczę?

A w kolejnym błysku przypomniłam sobie niedawną wizytę w banku. To państwowy bank w centrum stolicy; znalazłam się w gabinecie, gdzie załatwia się bardziej skomplikowane sprawy niż wpłata czy wypłata. Mój wzrok natrafił na niewielki portret. Żyd liczący pieniądze. Rysy twarzy karykaturalne, niemal jak ze „Stürmera”. Siedziałam sztywno, słuchałam urzędniczkę, wyszłam bez komentarza. Wstydyłam się. Za siebie, że milczę.

Teraz więc, kiedy lekarz ponawia pytanie, gwałtownie wyzwałam się z roli pacjentki zdanej na swego chirurga. Jest mi wszystko jedno, czy skończył życie. Mówię cicho, ale wyraźnie: – To, co pan powiedział, to jest rasizm.

Ogarnia mnie uczucie ulgi. Zapada cisza. Pielęgniarka gorliwie pochyla się nad narzędziami. A on szyje w skupieniu.

Potem zalecenia, przy biurku. Gdy podaję mu rękę na pożegnanie, mówi: – Przepraszam panią za moje słowa, ale ja naprawdę nie jestem rasistą.

Mam do niego wrócić na zdjęcie szwów.

*

Swoją przejmującą tekst Barbara Stankiewicz kończy zapewnieniem ministra – że nacjonałści to w Polsce wąski margines – oraz definicją tego słowa, zaczerpniętą ze słownika: „przewidywana możliwość zaistnienia czegoś”.

To „coś” już jest między nami. Między naszym wstydem za własne milczenie i kruchym „nie”.

WOJCIECH DINDORF

PO LEKTURZE „MARGINESU”

Z mieszanymi odczuciami przeczytałem artykuł Barbary Stankiewicz w ostatnim numerze „Indeksu”. Mieszały się strach ze złością, współczucie ze zdziwieniem, niesmak z zaskoczeniem.

Polacy leją się na stadionach w całej Polsce. A dawniej chodziłem z nieletnim synem na Stadion Odry, gdzie „Budowlani” grali np. z „Ruchem Chorzów” i nikt nikogo nie lał. Polacy się wzajemnie mordują masowo, często po pijanemu, na wszystkich klasach dróg – ponad tysiąc zabitych, a dziesięć razy więcej rannych każdego roku. Głowę daję, że w tych wymienionych przypadkach nikt nie patrzył ani na kolor skóry, ani na język ojczysty, ani na wiarę wyznawaną, ani na poglądy polityczne, ani na kraj pochodzenia. Leją się dla samego lania. Kopiają się – od dzieci w przedszkolu, przez studentów, do emerytów. Rodzice mordują dzieci, wnukowie podrywają gardła babciom. Dodajmy to wszystko razem, to wyjdzie na to, że opisywany przez Barbarę Stankiewicz wycinek z wielkiej całości, to naprawdę MARGINES.

Byłem pilotem wycieczek zagranicznych. Oprowa- dzałem wielu kolorowych, pejsatych, oturbanionych (zazwojowanych) po ulicach polskich miast. Miałem jeden przypadek zawału, jeden wypadek samochodowy, i żadnego pobicia. Wręcz przeciwnie. Wspólne z przypadkowymi przechodniami zdjęcia, toasty i „przybijania” w restauracjach, uśmiechy i dowody sympatii i przyjaźni.

Do Polski przyjeżdżają turyści z całego świata. Wielu zostaje na dłużej.

To tak dla złagodzenia wrażenia, jako dodatek do ostatnich oficjalnych komunikatów w mediach, że jest coraz lepiej. Powszechnie wiadomo, że na ogół pomagamy sobie wzajemnie w skali światowej i sąsiedzkiej, uśmiechamy się do różnobarwnych małżeństw i ich ślicznych dzieci. Nie oglądamy się z wybałuszonymi oczami za Murzynami spotkanymi na ulicy. Nie niszczyliśmy świątyń innych wyznań częściej niż kościołów.

A ów „margines” trzeba bezwzględnie tępic sprawnie funkcjonującymi narzędziami. Od dawna czekam na to, że złamanie przysięgi studenckiej (np. publiczne użycie wulgarnych słów nie tylko pod adresem obcokrajowca) będzie karane natychmiastowym wyłączeniem z uczelni. Bo uczelnie powinny dawać dyplomy ludziom kulturalnym.

LISTY, POLEMIKI

ANDRZEJ HAMADA

LIST OTWARTY DO WOJEWODY OPOLSKIEGO w sprawie zmiany nazwy ulicy Obrońców Stalingradu w Opolu

Obrońcy Stalingradu to nazwa skrótowa, umowna; to jeden milion żołnierzy armii rosyjskiej, którzy w ogromnej operacji wojennej w 1943 roku, w rejonie Stalingradu (Wołgograd nad Wołgą) powstrzymali nawałę niemiecką. Tam, pod Stalingradem, odwróciły się losy wojny, od tej bitwy Niemcy byli w odwrocie, aż do Berlina. Stalingrad to symbol zwycięstwa nad niemiecką ekspansją w Europie, punkt zwrotny w całej II wojnie światowej; poległo tam 400 tys. żołnierzy rosyjskich. Oddali życie za wolność i pokój w Rosji i za wolność i pokój w całej Europie, także w Polsce. „Obrońcom Stalingradu” – bohaterom znad Wołgi – wieczna chwała. Jerzy i Ryszard Kowalczykowie to frustraci reżimu komunistycznego. Nienawiść do reżimu wyrazili aktem terrorystycznym, niszcząc to, co myśmy budowaliśmy. Jestem architektem, odbudowywaliśmy zniszczoną Polskę; nie dla Moskwy, nie dla jakiegoś Bieruta, budowaliśmy dla nas, Polaków, żeby żyło się lepiej. A oni to zniszczyli. Cześć ich pamięci, ale na pochwałę i specjalne wyróżnienie nie zasłużyli. Panie Wojewodo, jeżeli nazwa „Obrońców Stalingradu” musi być zmieniona (według mnie nie musi), to proszę przywrócić poprzednią nazwę „Strzelecka” albo „Wojska Polskiego”.

Z szacunkiem

**Andrzej Hamada, opolanin, żołnierz Armii Krajowej,
„Żelbet”, Kraków 1944**

3

INDEKS

RELACJE, RECENZJE, NOTY

95

str. 127



Prof. Barbara Kubis w otoczeniu współpracowników, przyjaciół i rodziny (fot. Jerzy Stemplewski)

ANNA GOŁĘBIEWSKA

NAUCZYCIELKA NAUCZYCIELI

Jubileusz 50-lecia pracy prof. Barbary Kubis

„Nauczyciel ociera się o wieczność. Nigdy nie może stwierdzić, gdzie kończy się jego wpływ” – pod takim hasłem, 27 października 2017 r., w Villa Academica UO, odbył się jubileusz pięćdziesięciolecia pracy naukowo-dydaktycznej prof. Barbary Kubis, historyka, dydaktyka, wychowawcy kilku pokoleń nauczycieli historii.

W tym szczególnym dniu towarzyszyła Jubilatce rodzina, znajomi, przyjaciele, współpracownicy, przedstawiciele kilkunastu ośrodków akademickich w Polsce oraz wychowankowie, których łączy sympatia i szacunek do Pani Profesor oraz pasja do historii, w wielu przypadkach zaszczepiona właśnie przez Jubilatkę.

Podczas uroczystości Pani Profesor usłyszała wiele ciepłych słów, podziękowań za swą pracę oraz życzeń skierowanych przez rektora Uniwersytetu Opolskiego – **prof. Marka Masnyka**, dziekana Wydziału Nauk Społecznych – **prof. Janusza Dorobisza**, dyrektora Instytutu Historii – **prof. Tomasza Ciesielskiego** oraz dyrektora Miejskiego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli – **Małgo-**

rzatę Szelağ. Na ręce prof. Barbary Kubis zostały również złożone uroczyste gratulacje od Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego, prezesa Stowarzyszenia Oświatowców Polskich w Toruniu oraz redaktora naczelnego „Wiadomości Historycznych”, czasopisma dla nauczycieli historii i wiedzy o społeczeństwie.

Laudację na cześć dostojnej Jubilatki wygłosił **prof. Adam Suchoński**, mistrz i mentor opolskich dydaktyków, sława polskiej dydaktyki historii. Zwieńczeniem oficjalnej części uroczystości było wręczenie Pani Profesor książki „*Amor patriae nostra lex*. Oblicza polskiej niepodległości w literaturze dokumentu osobistego, dydaktyce i edukacji historycznej”, w której ponad 40 autorów postanowiło opublikować swoje teksty, obrazujące różnorodność i wszechstronność zainteresowań naukowych Barbary Kubis.

* * *

Barbara Kubis¹ przyszła na świat w czasie II wojny światowej w Stanisławowie, na wschodnich rubieżach ówczesnej Rzeczypospolitej. Wobec złożonej sytuacji geopolitycznej spowodowanej działaniami wojennymi oraz polityką wielkich mocarstw wobec państwa polskiego, rodzina Zawadzkich zdecydowała się opuścić dotychczasowe miejsce zamieszkania i wraz z wieloma tysiącami Polaków wypędzonych z Kresów przybyła na Śląsk. Transport zatrzymał się m.in. w Opolu, w pobliżu dworca kolejowego Opole-Wschód – okolicy, w której Pani Profesor mieszka do dziś.

W Opolu Barbara Kubis uczęszczała do Szkoły Podstawowej nr 2 przy ulicy Katowickiej, następnie ukończyła dawne Liceum nr 11, które znajdowało się przy placu Staszica. W 1962 r. zdała maturę i w tym momencie pojawiły się w głowie abiturientki poważne rozterki – jakie wybrać studia. Pierwotnie chciała studiować archeologię we Wrocławiu, jednakże pod wpływem rodziców została w Opolu. Uwzględniając swoje pasje oraz zamiłowanie do literatury i historii, miała ogromny dylemat, gdzie składać dokumenty. Wahała się między polonistyką a historią. Postanowiła złożyć wymagane dokumenty na filologię polską. W ostatnim momencie zdecydowała się jednak na zmianę kierunku i przeniosła dokumenty na historię. Na tę decyzję wpływ miał bez wątpienia nauczyciel przyszłej studentki opolskiej WSP – profesor Edward Mendel. Literatura, jak możemy się przekonać z dorobku naukowego Jubilatki, pozostała jednak Jej drugą, wielką pasją.

Już w czasie studiów objawił się talent pedagogiczny Pani Profesor. Po jednej z lekcji prowadzonych na II roku studiów w ramach praktyki pedagogicznej, obserwujący ją Adam Suchoński, ówczesny asystent w Zakładzie Dydaktyki, a obecnie profesor i uznany autorytet polskiej dydaktyki historii, stwierdził: „Gratuluję, mamy talent pedagogiczny!”. Należy więc z dumą podkreślić, że opolskie środowisko historyczne wykształciło i ukształtowało tak ważną postać – kontynuatorkę dzieła profesora Suchońskiego i jedną z głównych postaci opolskiej szkoły dydaktyki historii.

¹ Niniejszy życiorys prof. Barbary Kubis to skrót artykułu pt. „Kobięca strona historii w wydaniu Profesor Barbary Kubis” zamieszczonego w książce „*Amor patriae nostra lex. Oblicza polskiej niepodległości w literaturze dokumentu osobistego, dydaktyce i edukacji historycznej*”, red. A. Gołębiowska, Opole 2017.

Po ukończeniu studiów otrzymała propozycję pracy w bibliotece, a następnie zatrudniono Ją jako nauczycielkę języka polskiego szóstej klasy w Szkole Podstawowej nr 21 przy ulicy Sienkiewicza. Tam po raz kolejny objawił się – doceniony przez uczniów i rodziców – wielki talent dydaktyczny Pani Profesor. Od 1969 r., przez niemal dwadzieścia kolejnych lat, pracowała w Szkole Podstawowej nr 11, pełniąc tam różne funkcje, w tym zastępcy dyrektora szkoły. W 1970 r. nawiązała współpracę z ówczesną Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Opolu, prowadząc przez wiele lat szkołę ćwiczeń, dzieląc się swoim talentem, wiedzą i doświadczeniem ze studentami pragnącymi realizować się w pracy nauczycielskiej. Wtedy też jej profesjonalizm dostrzegł profesor Edward Mendel, który po rozmowie z Adamem Suchońskim zaproponował Barbarze Kubis etat w Instytucie Historii. Pani Profesor swoją pracę w Instytucie rozpoczęła w 1985 r., choć jeszcze przez wiele lat była czynnym nauczycielem historii w jednej z opolskich szkół.

Swoje zainteresowania badawcze Pani Profesor skoncentrowała wokół szeroko rozumianej dydaktyki historii. W 1989 r. obroniła pracę doktorską pt. „Przedlekcyjna wiedza historyczna ucznia szkoły podstawowej”, której promotorem był prof. Adam Suchoński. Jednak swoje dociekania naukowe prowadziła wielokierunkowo – skierowała je również w stronę zagadnień związanych z kształtowaniem się świadomości historycznej młodzieży, nauczania historii na terenach mieszanych etnicznie oraz źródeł wiedzy historycznej uczniów. Nie bez znaczenia była również wspomniana już wcześniej miłość do literatury, która z czasem przekształciła się także w naukową analizę wspomnień i pamiętników. Zaważyło to w bardzo szczególny sposób na dalszej drodze naukowej Jubilatki.

Niezmiernie ważną cezurę w pracy naukowej Pani Profesor stanowi rok 2007, w którym uzyskała stopień doktora habilitowanego nauk humanistycznych w zakresie historii Polski XX wieku i dydaktyki historii na podstawie monografii „Poznawcze i kształtujące walory literatury dokumentu osobistego”, napisanej w oparciu o relacje Polaków wysiedlonych z Kresów Wschodnich oraz Niemców wysiedlonych ze Śląska w latach 1944–1946. W 2009 r. została zatrudniona na stanowisku profesora nadzwyczajnego Uniwersytetu Opolskiego. Prawdziwym zwieńczeniem kariery naukowej była

jednak nominacja profesorska, którą otrzymała z rąk prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego, 5 sierpnia 2015 r.

Trudno na kilku stronach podsumować cały dorobek naukowy osoby tak płodnej naukowo, jak Pani Profesor. W chwili obecnej w wykazie Jej publikacji znajdziemy ponad 160 pozycji, w tym 8 książek autorskich (w dwóch jest współautorką), trzy prace pod redakcją, a także wiele artykułów naukowych ogłoszonych drukiem w czasopiśmie zagranicznych oraz polskich renomowanych czasopiśmie naukowych. Nie sposób również zliczyć konferencji naukowe i popularnonaukowe, w których Pani Profesor przedstawiała wyniki swoich badań oraz dzieliła się z młodszymi lub mniej doświadczonymi dydaktykami, w jaki sposób zarażać pasją do historii młode pokolenie.

Nieoceniony jest również wkład Pani Profesor w popularyzację wiedzy historycznej, czego wyrazem są m.in. warsztaty studenckie przygotowywane z okazji Dnia Holocaustu cyklicznie od 2005 r., lekcje regionalne oraz konferencje popularnonaukowe pt.: „Śląsk w kreatywnej edukacji regionalnej”, organizowane przez Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej. Nie bez znaczenia jest również aktywna współpraca z instytucjami regionalnymi: Muzeum Śląska Opolskiego i Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach/Opolu. Barbara Kubis jest również współorganizatorką Konkursu Wiedzy o Kresach Wschodnich dla szkół gimnazjalnych i średnich oraz organizatorką sesji naukowej w Urzędzie Wojewódzkim w Opolu na temat: „Zagłada Romów w czasie II wojny światowej z perspektywy historycznej i dydaktycznej”. Pani Profesor uczestniczy też w pracach Międzynarodowego Stowarzyszenia Dydaktyków Historii, które skupia przedstawicieli 74 krajów świata.

Przedstawiony wyżej dorobek naukowy można z pewnością określić jako imponujący. Jednak należy również podkreślić jeszcze jeden, niezmiernie istotny element działalności Barbary Kubis. Otóż przez pięćdziesiąt lat swojej pracy naukowo-dydaktycznej wykształciła ogromne rzesze kompetentnych i cenionych nauczycieli historii. Można śmiało stwierdzić, iż na terenie województwa opolskiego nie ma chyba szkoły podstawowej czy ponadpodstawowej, gdzie nie pracuje historyk, który swych umiejętności dydaktycznych nie zdobywałby pod czujnym okiem Pani Profesor. Henry Brooks Adams stwierdził, iż: „Nauczyciel ociera się o wieczność. Nigdy nie może stwierdzić, gdzie kończy się jego wpływ”. Sło-

wa te można bezpośrednio odnieść do Profesor Barbary Kubis, która oprócz wiedzy i przygotowania dydaktycznego i zawodowego, wyposażała swych studentów w umiejętność patrzenia na drugiego człowieka z empatią i życzliwością, a sposób przekazywania wiedzy historycznej nakierowany został na przeżywanie emocji, dostrzeganie piękna i wrażliwość na indywidualne losy konkretnych ludzi.

Pani Profesor podziwiana jest również za wytworność i prawdziwą elegancję. Jej sposób bycia sprawia, że gdziekolwiek się pojawia, tam wprowadza bardzo przyjazną, wręcz rodzinną atmosferę. Także swoich najbliższych współpracowników otacza szczególną opieką merytoryczną i koleżeńską. Posiada również ogromną umiejętność przewycięzania wszelkich trudności, które z niesamowitym spokojem i pogodą ducha traktuje jako wyzwania motywujące do osiągnięcia wybranego celu. Dodać należy, iż nie sposób na jej twarzy i w jej słowach lub zachowaniu dostrzec choć odrobiny złości i zawiści wobec drugiego człowieka, a jedynie sympatię, zrozumienie, pogodę ducha i radość ze spotkania.



Na zdjęciu – prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i wiceprezes opolskiej spółki WiK Mateusz Filipowski

BEATA ŁABUTIN

WIRTUALNE SERCE – NOWA JAKOŚĆ NAUCZANIA

Prezentacja miała miejsce 1 lutego 2018 r. w sali anatomii wirtualnej Collegium Medicum Uniwersytetu Opolskiego.

– Mamy ogromną satysfakcję, mogąc przekazać studentom ciekawe, nowatorskie rozwiązanie dydaktyczne, jakim jest wirtualne serce – powiedziała prorektor UO **prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak**, witając gości. – Ta aplikacja to dar firmy Wodociągi i Kanalizacja w Opolu, która to firma sfinansowała prace nad wirtualnym sercem. Jesteśmy głęboko wdzięczni za to wsparcie i wyrażamy serdeczne podziękowania władzom firmy.

Wirtualna rzeczywistość dla wielkich celów

Kierunek lekarski na Uniwersytecie Opolskim jest pierwszym w kraju, który będzie korzystał z aplikacji „Wirtualne serce”.

Opowiadał o niej **Michał Grzesiczek** z firmy The Farm 51 z Gliwic, odpowiedzialny za projekt (realizowany współ-

nie z Uniwersytetem Opolskim i Fundacją Rozwoju Kardiologii im. prof. Zbigniewa Religi w Zabrze).

– Największy walor tej aplikacji polega na tym, że studenci czy lekarze mogą zobaczyć serce takim, jakim ono rzeczywiście jest, bijące, podczas pracy. Opracowując ją, bazowaliśmy na sercu świńskim, anatomicznie bardzo podobnym do serca ludzkiego. Dzięki zastosowaniu skanowania fotogrametrycznego prezentowany model serca jest fotorealistyczny. Oprócz statycznej prezentacji budowy serca aplikacja przedstawia jego pracę w warunkach normalnych oraz po spożyciu alkoholu. Dodatkowo zaprezentowane są stany patologiczne zastawki trójdziennej. Co zyskuje student korzystając z aplikacji? Zamiast przewracania płaskich kartek atlasu anatomicznego ma możliwość zobaczenia serca w trójwymiarze, obracania go, uzyskiwania jego przekrojów, powiększania fragmentów, obejrzenia około stu elementów anatomicznych, ob-

serwacji jego pracy. By móc to czynić, należy skorzystać ze specjalnych gogli do oglądania wirtualnej rzeczywistości.

„Wirtualne serce” – najnowsza aplikacja studia The Farm 51 z Gliwic – jest adresowana przede wszystkim do studentów medycyny i lekarzy. Pomoże ona pogłębić wiedzę na temat anatomii serca, ale także lepiej przygotować się np. do skomplikowanej operacji.

Michał Grzesiczek dodał, że jest dumny, mogąc współpracować z Uniwersytetem Opolskim w tak ważnej sprawie jak tworzenie wirtualnego serca. – Jak się okazuje, wirtualna rzeczywistość służy nie tylko rozrywce, ale i wielkim celom. Planowany jest dalszy rozwój aplikacji – zapewnił.

Na uroczystej inauguracji aplikacji „Wirtualne serce” obecni byli studenci pierwszego roku medycyny. Byli pod wrażeniem. – Możliwości wydają się nieograniczone, to naprawdę imponujące – powiedział jeden z nich, dodając, że nauka anatomii przy pomocy takich narzędzi jak to właśnie prezentowane będzie łatwiejsza. – To będzie wielkie ułatwienie w nauce i przyczyni się do naszego rozwoju jako studentów – zauważył.

Na początek wirtualne serce, a potem...

– Dzisiejsza inauguracja umożliwia nam przekazanie studentom aplikacji prezentującej serce w poszerzonej rzeczywistości – powiedziała prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak. – To bardzo ważny moment, bowiem nasi studenci pozyskują fantastyczne narzędzie do nauki, stanowiące wyższy etap dydaktyki. Pozyskaliśmy znakomity model, który w nauczaniu anatomii jest doskonałą pomocą dla studentów. Jesteśmy tym bardziej dumni, że Uniwersytet Opolski to pierwszy ośrodek akademicki w kraju, który taką pomoc dysponuje i zamyślamy z czasem rozszerzać tę wirtualną przestrzeń. Mamy wirtualne serce, a potrzebny nam cały człowiek, większość jego organów w poszerzonej rzeczywistości. Zdajemy sobie oczywiście sprawę, że to wymaga wielu lat pracy, jednak marzyć należy, należy mieć wizję i dążyć do jej realizacji. Tym bardziej, że jest darczyńca, firma WiK, która widzi potrzebę inwestowania w nowatorskie rozwiązania dydaktyczne, za co serdecznie dziękujemy.

– Nasza firma interesowała się kierunkiem lekarskim na Uniwersytecie Opolskim od chwili, gdy pojawiła się informacja, że jest szansa na jego powołanie – powiedział wiceprezes WiK **Mateusz Filipowski**. – Kwestia zdrowia i życia opolan jest dla nas bardzo ważna; sami jako firma mamy na to wpływ, dostarczając im wodę pitną. Uznali-

śmy, że warto sfinansować projekt wirtualnego serca. Bardzo nas cieszy fakt, że możemy wspierać kierunek lekarski na Uniwersytecie Opolskim, jesteśmy z tego dumni i możemy zapewnić, że na dotychczasowym wsparciu nie poprzestaniemy. Wirtualne serce to dopiero początek naszej współpracy – zapewnił.

Trzeba nadążać za współczesnością

Prof. Piotr Wilczek z Fundacji Rozwoju Kardiochirurgii w Zabrze podkreśla, że możliwość korzystania z aplikacji wirtualnego serca, serca w rozszerzonej rzeczywistości jest w nauce anatomii nie do przecenienia. – Daje ona studentom możliwość nauki na poziomie światowym, możliwość obserwacji pracy serca praktycznie w rzeczywistych warunkach. Dzięki temu nauka anatomii, nauka patologii serca jest znacznie łatwiejsza i bardziej efektywna. Poza tym pamiętajmy, że program nauczania proponowany studentom powinien być coraz bardziej atrakcyjny i nadążać za współczesnością. Nie możemy się przecież zatrzymać na etapie glinianych tabliczek – zażartował.

– Trudno mi ukryć wzruszenie – powiedział **prof. Zenon Halaba**, wykładowca na kierunku lekarskim. – Moim marzeniem było móc wykorzystać w medycynie wirtualną rzeczywistość i to marzenie się spełnia. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie szerokie horyzonty i odwaga pani profesor Piątkowskiej-Stepaniak, która dostrzegła wartość w przedstawionym jej pomysśle i zdecydowała się na jego realizację. Dzięki technologii wirtualnej rzeczywistości możemy tworzyć nowe programy dydaktyczne. Nauczanie medycyny w oparciu o wirtualną rzeczywistość sprawi, że pacjent, do którego w końcu trafi przecież student, a potem młody lekarz, będzie bezpieczniejszy – dodał prof. Halaba.

Głos zabrał także **prof. Marian Simka**. – Chciałbym pięknie podziękować w imieniu studentów za tę niezwykłą ideę. Mam nadzieję, że to dopiero początek i że program będzie się rozwijał – stwierdził.

Na zakończenie prezentacji nastąpiło formalne przekazanie przez firmę The Farm 51 aplikacji „Wirtualne serce” Uniwersytetowi Opolskiemu. Oficjalny dokument sygnowali: prof. Marian Simka (wykładowca na kierunku lekarskim UO), **Marek Ganczarski** (Centrum Informatyczne UO), prof. Zenon Halaba (wykładowca na kierunku lekarskim UO), prof. Piotr Wilczek (Fundacja Rozwoju Kardiochirurgii w Zabrze), **Piotr Budzisz** (The Farm 51) i Michał Grzesiczek (The Farm 51).



Podczas spotkania wicemarszałek woj. opolskiego Stanisław Rakoczy wręczył Janowi Cofałce (na zdjęciu z lewej) honorową odznakę „Zasłużony dla Województwa Opolskiego”. Na zdjęciu, z prawej – Grzegorz Sawicki, dyrektor Biura Projektów Strategicznych Uniwersytetu Opolskiego

BARBARA STANKIEWICZ

KULISY SPORTOWYCH LEGEND I SŁAW

– Można dokonać najwspanialszych rzeczy, ale jak ktoś tego wszystkiego nie opisze lub w inny sposób nie utrwali – bohater osuwa się w przepaść zapomnienia, nie istnieje. Oto co znaczy dobry biograf! W Polsce mamy w tej chwili 9 tys. historyków po habilitacji. To jest cała dywizja! Ale umiejących pisać jest może ze stu. Można nudziarstwem odgonić ludzi od historii. A Cofałka umie zaciekawić.

Taką puentą **prof. Stanisław S. Nicieja**, prowadzący spotkanie z **Janem Cofałką**, autorem kolejnej książki poświęconej Ślązakom – „Legendy sportu śląskiego”, podsumował wystąpienie otwierające wieczór.

Promocja odbyła się 19 stycznia br. w Muzeum Śląska Opolskiego. Podczas spotkania wicemarszałek woj. opolskiego **Stanisław Rakoczy** wręczył Janowi Cofałce honorową odznakę „Zasłużony dla Województwa Opol-

skiego”, a **Eugeniusz Brudkiewicz**, prezes opolskiego oddziału Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód i współorganizator promocji – dyplom honorowy tego stowarzyszenia.

W sali był nadkomplet. Zabrakło tylko, niestety (złożonych zniecałkowieniami), zapowiadanych w zaproszeniu na promocję – poety **Jana Goczoła** i **prof. Jana Miodka**, „Ślązaków z krwi i kości, wielkich kibiców sportu, szczególnie zaś jednej drużyny: Ruchu Chorzów”, jak o nieobecnych mówił bohater wieczoru. Dopisało za to dwoje bohaterów książki Jana Cofałki, których powitano gromkimi brawami – **Inga Maria Krawiec** (kiedys reprezentantka Polski w szczyptorniaku, zawodniczka Budowlanych Gogolin) i **Jerzy Szczakiel**, indywidualny mistrz świata na żużlu z 1973 r. (tekst Jana Cofałki o Jerzym Szczakielu – na 59 str. „Indeksu”).



Gromkimi brawami powitano Jerzego Szczakiela, indywidualnego mistrza świata na żużlu z 1973 r. Na zdjęciu, w pierwszym rzędzie siedzą (od lewej): Stanisław Rakoczy, Jan Cofałka, prof. Stanisław S. Nicieja, Jerzy I. Wójcik i Eugeniusz Brudkiewicz

Prof. Stanisław S. Nicieja: – Cofałka potrafi naszkicować portret człowieka trzema kreskami, pokazać to, co w nim najbardziej wartościowe i istotne. Nie jest to portret czarno-biały, bo nikt z nas taki nie jest. I tak właśnie trzeba pisać, zwłaszcza dziś, gdy jesteśmy jako naród tak podzieleni, a historia często służy wynoszeniu na ołtarz fałszywych bohaterów.

Jan Cofałka, urodzony w Rybnej (dziś dzielnica Tarnowskich Gór) Ślązak, mieszkający od dziesięcioleci w Warszawie, jest autorem pięciu książek poświęconych wybitnym postaciom pochodzącym ze Śląska. Pisząc swoją piątą książkę, o śląskich sportowcach, uświadomił sobie, jak krucha jest sportowa sława:

– Wystarczy, że pojawi się nowa znakomitość, aby uprzednio ubóstwiani, wynoszeni pod niebiosa idole zeszli na zanikający, dalszy plan. A przecież piłka ręczna na Opolszczyźnie, męska i żeńska, szczyt się prawdziwą plejadą gwiazd, takich jak Anna Dreszer z Otmętu, a póź-

niej Ruchu Chorzów, Anna Koczwar-Zielińska, Barbara Jeż (matka najlepszego strzelca piłkarskiej reprezentacji Niemiec, Mirosława Klose), Stanisława Gotówko, bramkarka Franciszka Uliczka. W Opolu zaczynał karierę jako hokeista najlepszy piłkarz ręczny w historii tej dyscypliny – Jerzy Klempel, ze Strzelec Opolskich wywodzi się Sławomir Szmal, uznany najlepszym piłkarzem ręcznym w 2009 roku. Podobną plejadą gwiazd może się poszczycić opolskie kolarstwo – ze wspaniałym Stanisławem Szozdą, Benedyktem Kocotem, Edwardem Barcikiem i Joachimem Halupczokiem.

Indeks nazwisk w najnowszych książce Jana Cofałki zajmuje szesnaście stron! W poszczególnych rozdziałach autor przypomina wielkich niegdyś, znanych niemal wszystkim, sportowców ze Śląska. Są wśród nich m.in. piłkarze-legendy ukochanego przezeń Ruchu Chorzów („choć Ruch – mówił z żalem Cofałka – zdziałał dziś do potęgi”): Ernest Wilimowski i Gerard Cieślak. W książ-

ce opowiada o nich barwnie, nie szczędząc czytelnikom anegdot z życia swoich bohaterów, ale nie pomijając wątków dramatycznych, m.in. prób lustracji śląskich sportowców, z których wielu (m.in. Gerarda Cieślaka), jak innych Ślązaków, w czasie wojny przymusowo wcielono do Wehrmachtu, bądź zmuszono do podpisania *volkslisty*. Przypomina dramat Wilimowskiego, którego ogłoszono zdrajcą – za przejście do klubów niemieckich, a potem do reprezentacji III Rzeszy, przywołując na koniec słowa wybitnego pisarza Józefa Hena o Wilimowskim: „Jemu było wszystko jedno dla kogo strzela, dla Polski czy Niemiec, chciał grać. Ja go nie oceniam. (...) On nie traktował zmiany barw jak zdrady, jego ojczyzną był Śląsk. A poza tym on się urodził do grania, jak Maurice Chevalier urodził się do śpiewania. I śpiewał również podczas niemieckiej okupacji w Paryżu, a Niemcy tego słuchali. A inni Polacy nie grali podczas okupacji? Gdzieś tam grali. To byli młodzi ludzie, którzy chcieli grać, mimo wojny”.

Przejmująco pisze Cofałka o reakcji kibiców na wieść o śmierci Gerarda Cieślaka, niewielkiego wzrostem, a wielkiego sportowym duchem piłkarza z Chorzowa: „Po śmierci nie mogło zabraknąć jego pożegnania ze stadionem, na którym spędził tyle czasu, zawsze wierny Ruchowi. Za to go kochano i kocha się w Chorzowie. Dlatego w przeddzień pogrzebu kilka tysięcy kibiców przyszło towarzyszyć mu w jego ostatniej wizycie na tym stadionie. Trumnę, przykrytą klubowymi barwami, wyniesiono na murawę, obok ustawiono biało-niebieski wieniec w kształcie znaczka klubowego Ruchu. Przez godzinę kibice modlili się za Cieślaka i potem długo skandowali nazwisko uzupełnione chóralnym: *dzię-ku-je-my, dzię-ku-je-my!*”.

Jan Cofałka przypomina też inny legendarny klub, jakim dla śląskich kibiców był Górnik Zabrze. Autor zaczął się nim interesować w 1956 roku, gdy zespół po raz pierwszy wszedł do ekstraklasy i od razu, w pierwszym meczu, wygrał z tak bliskim mu Ruchem Chorzów. Przywołuje nazwiska śląskiego piłkarza, wcielonego do warszawskiej Legii, Lucjana Brychczego, oszczepnika Janusza Sidłę, biegacza Jerzego Chromika, trójskokowca Józefa Szmida, maratończyka Euzebiusza Ferta, skoczek Dwidka Hryniewieckiego, boksera Henryka Nowarę, himalaistę Jerzego Kukuczkę... I wielu, wielu innych. Dzieli się z czytelnikami swoimi sportowymi fascynacjami z czasów dzieciństwa – kiedy, jak wspomina, wystawał z innymi dziećmi pod stadionem, w nadziei, że

któryś z kibiców wprowadzi go do środka (wtedy tak było można). Mówił podczas wieczoru: – Dziś jest już inaczej. Mamy sporo boisk z piękną nawierzchnią, ale jakoś mało biega po nich młodych ludzi. Są przy szkołach, np. na moim warszawskim osiedlu, piękne, prawie marmurowe stoły do ping-ponga, na przerwach lekcyjnych – zajęte przez młodzież. Tyle że ci uczniowie siedzą na nich i poruszają kciukami na swoich smartfonach... Przeraza mnie też, jak bardzo schamało kibicowanie na piłkarskich stadionach, na które strach chodzić, także na Śląsku, bo opanowali je nie kibice, lecz jacyś bandyci, nazywani kibolami. Z tym większą uwagą trzeba wspierać młodych ludzi, którzy sportem się interesują, czy to bezpośrednio, czy jako kibice.

Takich, jak obecny na spotkaniu **Kamil Stankiewicz**, gimnazjalista z Opoli, świetny szachista grający też w piłkę nożną, której jest zapalonym kibicem, a „o FC Barcelona wie wszystko”. Jerzy Szczakiel – na prośbę Jana Cofałki – wręczył nadziei opolskiego sportu promowaną książkę, wzbogaconą autografami śląskich sportowych sław.

Podczas promocji w Muzeum Śląska Opolskiego fragmenty „Legend sportu śląskiego” czytał **Janusz I. Wójcik**.

Nakładem Wydawnictwa Naukowego Scholar ukazało się do tej pory pięć książek Jana Cofałki: „Księga Ślązaków”, „Ślązacy w Warszawie”, „Ślązacy i Kresowiaci”, „Ślązacy w świecie”, „Legendy sportu śląskiego”.

CO CZUJE OFIARA, CO MOŻE ZROBIĆ ŚWIADEK?

Studenci i studentki Erasmusa w Teatrze Forum



Widzowie mogli w każdej chwili zatrzymać spektakl i zmienić bieg wydarzeń

Sala studenckiego klubu „Skrzat” we wtorkowy wieczór 23 stycznia z trudem pomieściła wszystkich chętnych obejrzenia prezentacji studentów Erasmusa, którzy przygotowali krótki film pokazujący ich wrażenia z pobytu w Polsce oraz performance zrealizowany metodą Teatru Forum. O ile w filmie przeplatają się zarówno doświadczenia pozytywne (których nie brakowało!) i te mniej przyjemne, to przedstawienie Teatru Forum miało zupełnie inny charakter ze względu na specyfikę tej formy przekazu.

Teatr Forum („Theatre of the Oppressed”), stworzony przez brazylijskiego pedagoga, Augusto Boala, pokazuje sytuacje opresyjne w sposób, który zmusza widzów do refleksji i sprawia, że próbują zmienić rzeczywistość. Spektakl Teatru Forum składa się z dwóch części. Najpierw

aktorzy i aktorki przedstawiają sytuacje z udziałem osoby doświadczającej przemocy (realnej lub symbolicznej), sprawcy oraz świadków. Następnie to samo przedstawienie odgrywane jest jeszcze raz, ale tym razem widzowie w dowolnym miejscu mogą interweniować – zatrzymać spektakl i zaproponować zmianę, która zmieni bieg wydarzeń na korzyść ofiary.

W przypadku naszych studentów przygotowania do spektaklu rozpoczęły się podczas zajęć dotyczących realizacji projektu międzykulturowego. Studenci dzielili się tym, co spotkało ich w Polsce, a podczas dyskusji prowadząca zajęcia **dr Marzanna Pogorzelska** proponowała, aby doświadczenia trudne, będące udziałem studentów, przepracować w formie Teatru Forum. Bardzo



Fragment przedstawienia z udziałem publiczności

szybko utworzyła się grupa teatralna, wybrano sceny do odegrania (dyskryminujące zachowanie wobec tureckiej studentki na lotnisku w Polsce, sytuacje napastowania studentki noszącej chustę i studenta z Turcji w klubie muzycznym w Opolu). Podczas wielu prób ćwiczone poszczególne sceny, budowano postaci tak, aby uczestnicy spektaklu byli gotowi na interwencje publiczności.

Kiedy zaczęło się przedstawienie, publiczność, już podczas pierwszego pokazu, reagowała niezwykle żywiołowo, a kiedy nadszedł czas na odgrywanie scen po raz drugi i czas na interwencje, wielość i różnorodność proponowanych rozwiązań przeszła najśmielsze oczekiwania. Każda zaproponowana interwencja była dyskutowana z aktorami i publicznością pod kątem jej realności oraz skuteczności. I chociaż w sytuacjach przemocowych trudno o jedno, idealne rozwiązanie, każdy z oglądających mógł (w bezpiecznych, teatralnych warunkach) przeżyć tę sytuację i wpłynąć na zmianę biegu wydarzeń.

Po spektaklu widzowie mówili o ogromnym, pozytywnym wrażeniu, jakie wywarł na nich spektakl i potrzebie podejmowania tego typu działań. Z jednej strony, podkreślali, chodzi o uświadomienie wszystkim, z jakimi problemami coraz częściej spotykają się cudzoziemcy w Polsce, z drugiej – o praktyczne ćwiczenie, co robić w konkretnych sytuacjach, kiedy jesteśmy świadkami lub ofiarami przemocy.

Jedna z osób przygotowujących spektakl, **Elena Tonu**, tak podsumowała to wydarzenie: „Spektakl dał mi niesamowite poczucie sprawstwa. Poczułam, że każdy z nas, choćby małymi krokami, może zmienić świat na lepszy, bardziej tolerancyjny i mniej dyskryminujący. To było niezwykle mocne i piękne doświadczenie”.

Styczniowy spektakl w wykonaniu studentów Erasmusa był pierwszym z planowanego cyklu. Kolejne – wkrótce.

(C)

Z OPOŁA DO BEER SHEWY

Rozpoczęliśmy współpracę z Izraelem. W ramach studiów z komunikacji międzykulturowej (spec. Intercultural Communication) będziemy pracować razem nad zagadnieniami sąsiedztwa kultur poddanych wielkim procesom historycznym. Nasz partner to Kaye Collage w Beer Szewie, dużym mieście na południu Izraela, na pustyni Negev. Od lat powojennych miasto zasiedlają głównie Żydzi sefardyjscy, a od ostatniej dekady XX w. – także przybysze z byłego Związku Radzieckiego. Jednocześnie, w okolicznych wioskach (dawniej po prostu na pustyni) mieszkają Beduini.

Centrum Wielokulturowe Kaye Collage, prowadzone przez doktorów: **Mueena Fakhereldeena** i **Simona Lichmana** (odwiedzą naszą uczelnię w kwietniu br.) zajmuje się budowaniem komunikacji między Żydami i Arabami. Na przełomie grudnia i stycznia br. region Negev odwiedził **dr Michał Wanke** z Instytutu Socjologii, żeby poprowadzić zajęcia ze studentami, ale przede wszystkim zaplanować wspólne przedsięwzięcie naukowe, które będzie realizowane w okolicach Beer Shewy. Choć kontekst bliskowschodniej pustyni wydaje się zupełnie abstrakcyjny, w kategoriach analitycznych (przesiedlenia, lokalne kultury, spotkanie „Wschodu” z „Zachodem”, pewna peryferyjność) Opole i Beer Shewa są sobie dużo bliższe. Dr Michał Wanke odwiedził miejscowości Hura i Drejat, które będą uczestniczyć w przygotowywanym przedsięwzięciu badawczym. Wizyta była częścią projektu Erasmus+ KA 107, w ramach którego na Uniwersytecie Opolskim, w następnym semestrze, będzie się kształcić pierwsza studentka z Izraela, a w kolejnych latach nasi studenci również będą mogli wyjechać na semestr studiów lub praktykę na Bliski Wschód.

(b)

PŁATNE STAŻE WAKACYJNE DLA STUDENTÓW

W związku z uzyskaniem finansowania z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju na realizację projektu pn. „Stażysta z kompetencjami – staże dla studentów Wydziału Przyrodniczo-Technicznego Uniwersytetu Opolskiego”, rusza rekrutacja na płatne staże wakacyjne.

Umowę o dofinansowanie podpisano na okres od 1 lutego 2018 r. do 30 listopada 2019 r. Płatne, jedno- i trzymiesięczne staże krajowe są organizowane dla studentów kierunków: ochrona środowiska, architektura krajobrazu, biologia oraz biotechnologia i biotechnologia medyczna.

Uczestnikami staży są studenci czterech ostatnich semestrów studiów powyższych kierunków, w wieku 19–35 lat (możliwy jest udział osób starszych, o ile będą spełniać pozostałe warunki).

Każdemu stażysty oferowane jest:

- stypendium stażowe w wysokości 2220 zł brutto/m-c,
- zakwaterowanie poza miejscem zamieszkania – o ile staż realizowany jest powyżej 50 km od miejsca zamieszkania,
- dojazd z domu do miejsca stażu (maks. 200 zł),
- niezbędne badania lekarskie,
- ubezpieczenie stażysty od NNW,
- materiały zużywalne, niezbędne do realizacji zadań stażowych.

W 2018 roku planuje się objęcie stażem:

STUDIA I STOPNIA:

- ochrona środowiska (III rok, studia inżynierskie): 4 osoby,
- architektura krajobrazu (III rok, studia inżynierskie): 5 osób,
- biotechnologia (III rok, studia inżynierskie): 12 osób,
- biotechnologia medyczna (II rok, studia licencjackie): 10 osób,
- biologia (III rok, studia licencjackie): 5 osób.

STUDIA II STOPNIA:

- ochrona środowiska (II rok, studia II stopnia): 7 osób,
- architektura krajobrazu (II rok, studia II stopnia): 6 osób,
- biotechnologia stosowana 2-letnia (II rok, studia II stopnia): 6 osób,
- biotechnologia kosmetyczna (II rok, studia II stopnia): 4 osoby,
- biotechnologia stosowana 1,5-letnia (II rok, studia II stopnia): 9 osób.

Staż odbywają się w instytucjach, których działalność opiera się na praktycznym wykorzystaniu przez studenta wiedzy uzyskanej na danym kierunku studiów.

WIĘCEJ INFORMACJI NA STRONIE: www.stazeuo.uni.opole.pl oraz dodatkowo:

dla kierunków ochrona środowiska, architektura krajobrazu oraz biologia
ul. Oleska 22, pok. 207 – mgr Agnieszka Brożonowicz (kierownik projektu)
tel. 77 401 60 20, e-mail: abroz@uni.opole.pl

dla kierunków biotechnologia i biotechnologia medyczna
ul. Kominka 6A, pok. 217 – mgr Karolina Wilk (koordynator zadania)
tel. 77 401 60 50, e-mail: biotechnologia@uni.opole.pl

STANISŁAW SKAKUJ

NADMIERNIE ZADŁUŻAMY NASZE DZIECI

Na przełomie każdego roku państwo i gminy uchwalają roczne budżety. Prace nad nimi nie cieszą się, niestety, większym zainteresowaniem mieszkańców i środków przekazu, nie budzą gorących politycznych sporów ani rozmów sąsiedzkich. Według niektórych polityków, po uchwaleniu budżetu rady gmin mogłyby się spotkać dopiero za rok, aby rozliczyć wykonanie budżetu i uchwalić nowy, na rok następny. Na co dzień jednak rady są bardzo zajęte bieżącym funkcjonowaniem gminy, poświęcając swój czas i energię na sprawy drugorzędne. Potwierdza to obserwacja opiniowania tegorocznego projektu budżetu przez Komisję Infrastruktury Rady Miasta Opola. Nikt nie kwestionował sprawy zasadniczej, jaką jest projekt zadłużenia Opola, a krótka dyskusja dotyczyła tylko szczegółów. Inny przykład: na sesji 30 listopada 2017 r. radni rozpatrywali – oprócz spraw organizacyjnych (zawartych w 11 pkt.) – także 32 uchwały w bardzo różnych sprawach. Czy Rada Miasta musi się zajmować tak wieloma zagadnieniami? Czy nie dzieje się to kosztem jakości i rzetelności? Czy nie następuje rozmycie odpowiedzialności? Gdy decyduje ciało kolegialne, wówczas nikt za nic nie odpowiada.

Radni i posłowie jako politycy swoim postępowaniem nie przekonują, że ich podstawowym zadaniem jest gospodarowanie pieniędzmi zebranymi od mieszkańców. Gdyby rozumieli to zadanie, inaczej by wtedy do tego podchodzili, a gminy i państwo nie byłoby tak zadłużone. Przecież rząd i gminy nie mają własnych pieniędzy, dysponują tylko pieniędzmi podatnika zbieranymi pod przymusem w postaci różnych opłat i podatków. Dochody z mienia też pochodzą od podatników, właścicieli tego mienia.

Dzięki sprytnemu postępowaniu politykom różnych szczebli udało się przekonać opinię publiczną, że za gospodarowanie finansami publicznymi odpowiadają minister finansów w państwie, a w gminie – skarbnik. Paradoksalnie, wykonawcy polityki finansowej przeistoczyli się, w powszechnym mniemaniu, w jej kreatorów. Tak ukształtowana świadomość pozwala politykom nie poczuwać się do odpowiedzialności za finanse publiczne

i spać spokojnie. W kampanii wyborczej można obiecywać prawie wszystko, a w Sejmie czy w gminie domagać się finansowania działalności związanej głównie z ich interesem wyborczym.

W naszym kraju jednym z poważniejszych problemów finansów publicznych są długi, zarówno na poziomie państwa, jak i gmin. Widać to dobrze na przykładzie Opola, miasta będącego stolicą województwa, diecezji i siedzibą uniwersytetu. Wydawałoby się, że taki status zobowiązuje. Tak, niestety, nie jest.

Po zmianach w Polsce, w 1990 roku, nowa ekipa polityczna przejęła Opole niezadłużone, z budżetem ponad 150 mln zł. Tak gospodarowano, mimo zmieniających się opcji politycznych, do 1998 roku. Ekipa Platformy Obywatelskiej i prezydent Ryszard Zembaczyński rozpoczęli zadłużanie miasta Opola. Zauważmy, że w ekipie tej był też Arkadiusz Wiśniewski jako zastępca prezydenta. Po rządach tej grupy w Opolu został dług w wysokości ok. 230 mln zł. Tak uzasadniała zadłużanie w wywiadzie telewizyjnym ówczesna skarbnik gminy (cyt. z pamięci): *Dzisiaj pożyczamy, a gdy przyjdą lepsze czasy, to splacimy.* Opolem teraz rządzi następne pokolenie polityków.

Według powszechnej opinii, podzielanej też przez prezydenta Opola Arkadiusza Wiśniewskiego, dziś mamy najlepszą koniunkturę gospodarczą od lat. Sytuacja ta stwarza wprost wymarzoną okazję do splacenia długu. Prezydent chwali się nawet, że Opole ma największy budżet w swojej historii! Dlaczego w tej sytuacji rządzący miastem, przy braku jakiegokolwiek sprzeciwu w Radzie, postanowili zwiększyć dług do około 330 mln zł?

Dług to przecież zobowiązanie splacania w ustalonych terminach rat kapitałowych i odsetek.

Deficyt w 2018 r. wysokości 141.010.592 zł oznacza, że Opole nie ma dochodów do sfinansowania zamierzeń na ten rok i musi zaciągnąć kredyt. Budżet z deficytem to plan wydania nieosiągniętych dochodów.

Tak oto kształtuje się zadłużanie Opola (informacja ze strony internetowej miasta), cytuję fragmenty:

Ustala się dochody budżetu miasta Opola na 2018 rok w łącznej wysokości 983.484.016 zł, w tym: 1) dochody

bieżące w wysokości 798.720.029 zł; 2) dochody majątkowe w wysokości 184.763.987 zł, zgodnie z załącznikiem nr 1.

§ 2. Ustala się wydatki budżetu miasta Opola na 2018 rok w łącznej wysokości 1.124.494.608 zł, w tym:

1) wydatki bieżące w wysokości 774.253.000 zł;

2) wydatki majątkowe w wysokości 350.241.608 zł, zgodnie z załącznikiem nr 2.

§ 3. Deficyt budżetu miasta Opola w 2018 roku w wysokości 141.010.592 zł, zostanie pokryty przychodami pochodzącymi z:

1) zaciągniętych kredytów i pożyczek na rynku krajowym w wysokości 58.139.307 zł;

2) zaciągniętych kredytów i pożyczek na rynku zagranicznym w wysokości 70.000.000 zł;

3) wolnych środków, o których mowa w art. 217 ust. 2 pkt 6 ustawy o finansach publicznych w wysokości 11.371.285 zł;

4) spłaty udzielonej pożyczki w wysokości 1.500.000 zł.

Do tego deficytu należy dodać już istniejący dług zaciągnięty do 2017 roku w wysokości 230 940 058 zł.

Finanse Opola – długoletnia prognoza finansowa:

Lata	Kwot długu w zł	Splata rat kapitałowych oraz wykup papierów wart. w zł	Obsługa długu, w tym odsetki w zł
2017	230 940 058	18 948 383	5 613 820
2018	293 238 705	19 802 952	8 218 195
2019	328 948 051	32 118 503	9 923 899
2020	317 171 211	31 776 840	11 185 874
...
2036	0	8 792 813	542 511
RAZEM:		420 896 486	98 183 745

Do splacenia w latach 2018–2036 (raty kapitałowe + odsetki) pozostaje **519 053 231 zł**.

Największe roczne obciążenie budżetu, spowodowane długiem, przypadnie na rok 2020 (w tym splata raty kapitałowej 31 776 840 zł i odsetki 11 185 874 zł, razem **42 962 714 zł**).

Dla porównania: w 2020 r. planowany dochód z podatku od nieruchomości to 140 mln zł (jedno z podstawowych źródeł dochodu gminy), a więc ponad 32% z tego dochodu pójdzie na splatę długu.

Ze sprzedaży majątku w latach 2018–2036 planowane jest uzyskanie 272 mln zł, co może zabezpieczyć splatę długu w ok. 53 proc.

Planowany koszt obsługi długu od 2018 roku do 2036 roku to **98 183 745 zł**. Wcześniej, bo od 2010 roku, też już były płacone odsetki od części tego długu.

Budżet Opola uchwała Rada Miasta i to radni poszczególnych kadencji odpowiadają za ten stan. Na przestrzeni lat żadne z ugrupowań reprezentowanych w Radzie Miasta nie było przeciwne zaciąganiu tak wysokich długów. Opozycja przez lata, różna w różnych kadencjach, w sprawie podstawowej, jaką są finanse Opola, miała i ma taki sam pogląd, jak rządzący. Splata długu będzie ściągana z podatków tych, którzy jeszcze nie głosowali, a nawet się nie urodzili.

Dla przypomnienia: urodzeni w 2018 roku będą mogli głosować po raz pierwszy w 2036 r., gdy zostanie do splacenia jeszcze 177 821 zł., oczywiście, o ile rządzący Opolem nie zaciągną nowych długów.

Pozostają pytania: czy obowiązuje zasada nienakładania zobowiązań na tych, którzy jeszcze nie głosowali?; czy może Opole funkcjonować bez długu?; czy Opole wpadło w pętlę zadłużenia?; kto doprowadził do takiego stanu?; czy winni są tylko radni poszczególnych kadencji, czy także opolanie, którzy się na to biernie godzą?

No i pytanie zasadnicze: czy mamy moralne prawo zaciągać długi na koszt tych, którzy jeszcze nie głosują? Czy oni tak wydawaliby pieniądze, czy mieliby inne pomysły? Odpowiedź może być tylko jedna: nie mamy w warunkach pokojowych moralnego prawa zadłużać naszych dzieci i wnuków.

PAWEŁ CIEŚLA

JAK DOBRZE ZNAM SĄSIADA?

Gala II Konkursu Polsko-Czeskiego



II miejsce w kategorii szkół ponadgimnazjalnych zajął Maciej Fabiańczyk z PLO II w Opolu, na zdjęciu z opiekunem – Jolantą Siemieniuk (pierwsza z lewej), Sylwią Orlik z Wydziału Oświaty Urzędu Miasta Opola (druga z lewej) oraz dr Libuše Josiekovą i dr. Jaromírem Bönischem (przedstawiciele hetmana Kraju Morawsko-Śląskiego)

14 grudnia 2017 r. w auli uniwersyteckiej odbyła się uroczysta gala wręczenia nagród w II Konkursie Polsko-Czeskim pt. „Znam historię, kulturę i życie codzienne naszych sąsiadów – Czechów”. Celem konkursu było upowszechnienie wiedzy i rozbudzenie zainteresowań wśród uczniów o historię, kulturze i życiu codziennym naszych południowych sąsiadów. Podobnie jak w ubiegłym roku, konkurs zorganizowany został przez Instytut Nauk Pedagogicznych UO przy współudziale Urzędu Marszałkowskiego Województwa Opolskiego, Kuratorium Oświaty w Opolu, Wydziału Oświaty Urzędu Miasta Opola, Miejskiego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli w Opolu, a także Polsko-Czeskiego Towarzystwa Naukowego. Patronat nad konkursem objął marszałek woj. opolskiego **Andrzej Buła**.

Ubiegłoroczna, pierwsza edycja konkursu okazała się sporym sukcesem wizerunkowym regionu, promującym współpracę z przygranicznymi regionami czeskimi. Z uwagi na wdrożoną reformę systemu edukacji, tegoroczna formuła konkursu została rozszerzona o nową kategorię (oprócz klas gimnazjalnych i szkół ponadgimnazjalnych), wyodrębnioną w ramach szkoły podstawowej (klasy IV-V i VI-VII). Tematyka prezentacji multimedialnych nadesłanych przez uczestników było bardzo zróżnicowana, począwszy od regionalnych specjalów kuchni czy piękna krajobrazów i zabytków czeskich, poprzez gałęzie przemysłu, znane przysłowia, ważne dla wzajemnych relacji postacie historyczne i współczesne, a skończywszy na bohaterach czeskich filmów animowanych dla dzieci. Warto podkreślić, że



Prof. Eugenia Karcz-Taranowicz wręcza dyplom Michałowi Sieczce, laureatowi trzeciego miejsca w kategorii klas gimnazjalnych. Na zdjęciu także (od lewej): Elżbieta Widera, Janusz I. Wójcicki, dr Stefania Jagło. Z prawej – wiceprezes Polsko-Czeskiego Towarzystwa Naukowego prof. Zenon Jasiński

główną nagrodą w konkursie dla laureatów pierwszych miejsc w każdej z kategorii była ufundowana przez UMWO wycieczka po Kraju Morawsko-Śląskim.

Inicjator i przewodniczący jury konkursowego – **prof. dr hab. Zenon Jasiński** uroczystie otworzył galę, witając zebranych gości, wśród których nie mogło zabraknąć przedstawicieli współorganizatorów: **Janusza I. Wójcicka** – doradcę marszałka woj. opolskiego, który przybliżył ideę konkursu; **Krzysztofa Grzędy** (zastępca dyrektora Departamentu Edukacji i Rynku Pracy UMWO); **Iwony Sękowskiej** (kierownik Referatu Współpracy z Zagranicą UMWO), **Joanny Wnuk** (dyrektor Wydziału Rozwoju Edukacji Kuratorium Oświaty w Opolu); **dr Stefanią Jagło** (konsultant MODN) oraz przedstawicielki Wydziału Oświaty Urzędu Miasta Opola – **Sylwii Orlik**, ale przede wszystkim głównych bohaterów – laureatów i uczestników konkursu, przybyłych wraz ze swymi opiekunami.

Uniwersytet Opolski reprezentował dziekan Wydziału

Nauk Społecznych **dr hab. Janusz H. Dorobisz**, **prof. UO**, który podziękował uczestnikom i organizatorom za włożony wysiłek w promocję kultury czeskiej w regionie oraz zastępca dyrektora Instytutu Nauk Pedagogicznych ds. naukowych **dr hab. Eugenia Karcz-Taranowicz**, **prof. UO**. Galę uświetnili również przedstawiciele naszych południowych sąsiadów i fundatorzy nagród w konkursie, profesorowie: **PhD Libuše Josieková** oraz **Jaromír Bönisch**, którzy odczytali list gratulacyjny hetmana Kraju Morawsko-Śląskiego – **Prof. Ing. Ivo Vondráka, CSc**.

Najlepszą prezentację multimedialną wśród uczestników w kategorii szkół podstawowych klas IV-V przygotował **Filip Pięta** z PSP nr 1 im. Marii Skłodowskiej-Curie w Ozimku (opiekun: **mgr Grażyna Świercz**), który przybliżył zebranym „To co polskie, to co czeskie – czyli krótki przewodnik kulturowy”. Drugie miejsce jury przyznało **Piotrowi Jasińskiemu** z ZSP w Goświnowicach (opie-

kun: **mgr Łukasz Zajdler**), trzecie miejsce przypadło w udziale Oliwierowi Nadolnemu, również z PSP nr 1 im. Marii Skłodowskiej-Curie w Ozimku (opiekun: **mgr Grażyna Świercz**). W tej kategorii przyznano także trzy wyróżnienia. Otrzymali je: **Sebastian Kozioł** z ZSP w Kup (opiekun: **mgr Elżbieta Widera**), **Marcelina Nawarowska** z PSP nr 1 im. Marii Skłodowskiej-Curie w Ozimku (opiekun: **mgr Grażyna Świercz**) oraz **Marta Muszyńska** z PSP nr 11 w Opolu (opiekun: **mgr Maryla Lisowska**).

W kategorii szkół podstawowych, klas VI–VII, triumfowała **Daria Krawiec** z ZSP w Kup (opiekun: **mgr Elżbieta Widera**), prezentując czeskie wynalazki, które zrewolucjonizowały świat (np. hydrożel, piorunochron, plug, prysznic czy soczewki kontaktowe). Laureatem drugiego miejsca został **Marcel Kucypera** z PSP nr 12 im. Kadeta Zygmunta Kuczyńskiego w Kędzierzynie-Koźlu (opiekun: **mgr Adriana Piliszko**), a trzecie miejsce przypadło **Bartoszowi Szatkowskiemu** z PSP nr 1 im. Marii Skłodowskiej-Curie w Ozimku (opiekun: **mgr Grażyna Świercz**). Wyróżnienia w tej kategorii otrzymały **Agnieszka Smandzich** i **Karolina Guzy** z PSP nr 1 im. Marii Skłodowskiej-Curie w Ozimku (opiekun: **mgr Grażyna Świercz**).

W kategorii klas gimnazjalnych zwyciężcą okazała się **Elżbieta Kilinkiewicz** z Publicznego Gimnazjum nr 7 im. gen. Władysława Andersa w Opolu, której prezentacja skoncentrowała się na semantyce wybranych przysłów czeskich i polskich. Drugie miejsce w tej kategorii zajęła **Weronika Mielczarek** z PSP z OI nr 26 im. Komisji Edukacji Narodowej w Wałbrzychu (opiekun: **mgr Grzegorz Marszałek**). Na trzecim miejscu uplasował się **Michał Sieczka** z ZSP w Kup (opiekun: **mgr Elżbieta Widera**). Wyróżnienia za oryginalność prezentacji przyznano **Agnieszce Dudek** z PSP nr 5 z OI im. Karola Musioła w Opolu (opiekun: **mgr Halina Brodziak**), **Kamili Jasińskiej** i **Natalii Szewczenko** z Gimnazjum nr 4 w Nysie (opiekun: **mgr Anna Cisakowska**), a także Łukaszowi Kowalskiemu z PSP z OI nr 26 im. Komisji Edukacji Narodowej w Wałbrzychu (opiekun: **mgr Renata Staniec**).

W kategorii szkół ponadgimnazjalnych najlepszą prezentację multimedialną przygotowała **DominiKa Turyniewicz** z LO im. Bohaterów Powstań Śląskich w Grodkowie (opiekun: **mgr Bogusława Szczotka**), kompleksowo omawiając jeden z czeskich zamków. Druga najlepsza prezentacja multimedialna została wykonana przez **Macieja Fabiańczyka** z PLO Nr II w Opolu (opiekun: **mgr Jolanta Siemieniuk**), a laureatem trzeciego miejsca został **Stanisław Dendewicz** z ZSO nr 1

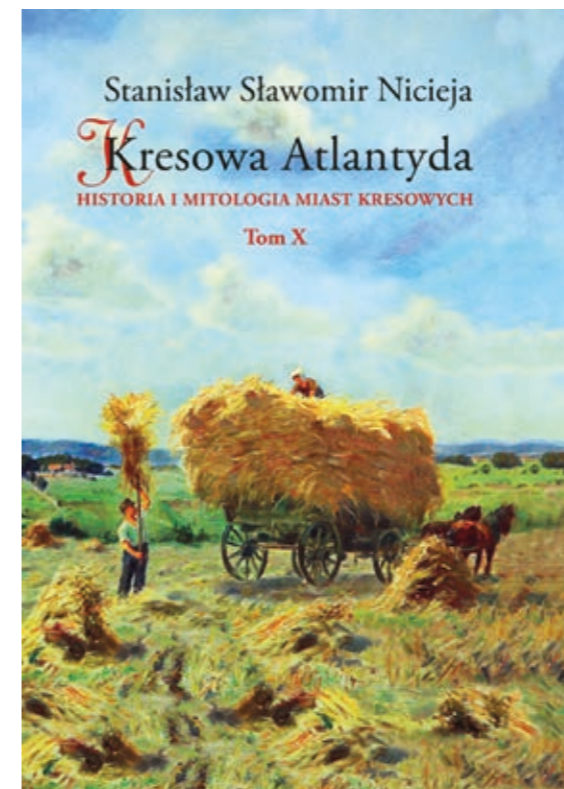
w Prudniku (opiekun: **mgr Agata Dendewicz**).

W przerwie między wręczaniem nagród wystąpił znany artysta i trener sztuki cyrkowej, półfinalista programu „Mam Talent”, student pedagogiki opiekuńczo-wychowawczej i terapeutycznej – **Krzysztof Riewold**. Galę uświetnił także występ muzyczny **Dariusza Czarnego** (muzyka, gitarzysta, kompozytora specjalizującego się w muzyce country, obecnie lidera zespołu „U Studni”) oraz **Agnieszki Mecner** – studentki specjalności pedagogicznej: planowania i zarządzania w edukacji, muzykującej z pasji liderki zespołu GAPy.

Konkurs okazał się sporym sukcesem promującym nasz region i współpracę z przygranicznymi regionami czeskimi. W przyszłym roku, w ramach rozpoczętej współpracy z Krajem Morawsko-Śląskim odbędzie się w Czechach analogiczny konkursu – wiedzy o polskiej kulturze, historii, zwyczajach i życiu codziennym.

MARCELI KOSMAN

FINALNY AKORD PIERWSZEJ DEKADY



Okładka dziesiątego tomu „Kresowej Atlantydy”

Niespotykane to dziś zjawisko, by jeden badacz podjął się zakrojonego na tak szeroką skalę przedsięwzięcia twórczego (i – co ważniejsze – konsekwentnie je realizował), jakim jest *Kresowa Atlantyda*. Jeśli szukamy podobnych dzieł, to na myśl przychodzi tytaniczne dokonania Romana Aftanazego, który w minionym półwieczu uwiecznił pozostawione poza wschodnią granicą polskie dwory i pałace, a w wielu wypadkach jedynie ich ślady. Stanisław Sławomir Nicieja w 2012 r., we wstępie do pierwszego tomu swego imponującego cyklu (*Rector Magnificus* przez czwartą – zaplanowaną jako ostatnia

w trakcie dwudziestolecia – kadencję dźwierzł wówczas berło Uniwersytetu Opolskiego i postanowił skupić siły nad tym dziełem), zarysował swe zamierzenie ewokowania krainy „zatopionej w odmętach niepamięci poprzez długotrwałe działanie cenzury i milczenie, by rzekomo nie wzbudzać resentymentów do ziem przez Polskę utraconych”.

Romantyk, a zarazem realista, badacz doświadczony, władający świetnym piórem, gromadził od lat materiały źródłowe, których trudno szukać w zbiorach archiwalnych. Skrupulatnie, w każdym tomie, wymieniał nazwiska tych potomków owych egzulów, osiadłych na ziemiach Polski w jej granicach po 1940 r., a także na całym globie, pieczołowicie przechowujących dokumenty rodzinne. Datowany w sierpniu 2017 r. tom X otwiera wymownie zatytułowane słowo wstępne, sięgające do znanej powieści Włodzimierza Odojewskiego (*Zasypane nas, zawieje?*), które autor zamyka refleksją: „*Kresowa Atlantyda*, licząca już dziesięć tomów i prawie trzy tysiące stron druku, jako seria książek ma podstawowy cel: przywoływać biografie oraz opisywać czyny i dokonania Kresowian, by nie pokrył ich popiół zapomnienia. Ma też wykazać, że historii Polski nie można zamykać w granicach obecnego państwa polskiego”.

Nie ma to nic wspólnego z osławioną *polityką historyczną*, bez skrupułów służącą aktualnym celom ekip rządzących i naginającą, a nierzadko nawet fałszującą fakty z przeszłości, przy pomocy usłużnych badaczy (?), dla swych potrzeb. Nicieja zachowuje pełen szacunek i respekt dla dokumentów dziejowych, zaś cały swój talent pisarza i doświadczenie uczonego oddaje celowi, jakim jest ochronienie ważnego fragmentu historii ojczystej przed owym *popiołem zapomnienia*. Zgodnie z przyjętą konwencją wykład koncentruje się wokół jednego miasta kresowego (jest nim tym razem *Złoczów – łanami malowany*), s. 7–160, ewokowany w 80 przeważnie

¹ S. S. Nicieja, „*Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych. Złoczów, Zadwórze, Kozaki, Gańczary, Łanowce, Zasmyki*”, t. X, Wydawnictwo MS, Opole 2017, s. 6.

krótkich i wymownie zatytułowanych rozdziałach) i uzupełniony (na s. 161–271) pięcioma, również zapisanymi w narodowych dziejach miejscowościami (II: *Zadwórze – legenda polskich Termopil*; III: *Kozaki-Pyrzany – wielka przeprowadzka*; IV: *Gańczary – macecznik Samborskich*; V: *Łanowce – świat legionistów i osadników wojskowych*; VI: *Zasmyki – kolebka 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK*). Cała ta piątka, a raczej czwórka (z wyjątkiem otoczonego sławą obrony odradzającej się międzywojennej państwowości Zadwórze) została przywołana na karty wielkiej historii dzięki temu tomowi *Kresowej Atlantydy*.

A i sięgający swymi początkami pierwszych Jagiellonów – położony w odległości 60 kilometrów na wschód od Lwowa, Złoczów zyskał piękne ujęcie monograficzne, zwłaszcza w odniesieniu do ostatnich dwóch stuleci. W dobie zaborów czytelnicy czerpali o nich informacje z dwóch fundamentalnych kompendiów. W pierwszym – *Encyklopedyi Powszechnej* Samuela Orgelbranda – u progu uzyskania przez zabór austriacki autonomii – Cezar Biernacki (1827–1896), sekretarz tego wydawnictwa i autor wielu artykułów, zamieścił napisany z warszawskiej perspektywy² dość zwięzły tekst o ówczesnym mieście obwodowym „nad wielkim stawem położonym”, zawierający informacje głównie z XVIII wieku, zakończony opartą na podaniu wiadomością, jakoby istniały „podziemne do wycieczek lochy na pół mili długości, a co większa, pod staw ciągnące się”³.

O wiele bogatszy i oparty na świeżych materiałach statystycznych jest opublikowany w 1895 r. obszerny artykuł napisany przez znawcę wschodniej Galicji, Ludwika Dziedzickiego (1844–1903), nauczyciela gimnazjalnego, przez całe życie związanego ze Lwowem i Krakowem, który ogłosił na łamach warszawskiego *Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* szereg gruntownych tekstów monograficznych dotyczących Galicji Wschodniej⁴. Tekst jego pióra⁵ stanowić może instruktywne wprowadzenie do dziejów Złoczowa w dobie porozbiorowej, a zwłaszcza w XX wieku, ukazanych w literackim obrazie przez Stanisława Sławomira

Nicieję na kartach X tomu epopei kresowej.

Obraz ten poprzedzany przez krótką informację dotyczącą czasów jagiellońskich i Rzeczypospolitej szlacheckiej (*Słynni właściciele Złoczowa* – byli nimi m.in. Sobiescy) można podzielić na kilka części. Pierwsza z nich obejmuje czasy od utraty przez Polskę niepodległości, do jej odzyskania, następna – dwudziestolecie międzywojenne, kolejna – koszmar dwóch okupacji i wreszcie ostatnia – czasy ekspatriacji mieszkańców z ojczyzny przodków do ojczyzny w jej granicach po 1945 r. Oczywiście etapy te ze sobą się zazębiają ze względu na wątki dziejów wielu pokoleń, sięgające od XVIII wieku do dnia dzisiejszego.

Punkt wyjścia stanowi opowieść o słynnym złoczowskim wydawnictwie Zukerhandlów, specjalizującym się w literaturze młodzieżowej i brykach z lektur dla młodzieży gimnazjalnej, zwłaszcza z łaciny. Firma, która od 1904 r. miała księgarnię również w uniwersyteckim Lwowie, rozkwitła aż do katastrofy wrześniowej, kiedy jej zasoby zostały zniszczone przez barbarzyńców. Autor ukazuje ją w rozdziale pod przejmującym nagłówkiem *Poddeptane czcionki Zukerhandla*.

Momentem przełomowym dla czasów zaboru austriackiego było otwarcie w 1871 r. linii kolejowej do Lwowa, co ułatwiło kontakt dynamicznej, galicyjskiej prowincji z ówczesnym wielkim światem. Nim autor przejdzie do opisu martyrologii złoczowskiej *Atlantydy*, czytelnik otrzymuje barwny obraz cieszącego się sławą *gimnazjum królewskiego* wraz z jego profesorami i wybitnymi uczniami, których nazwiska będą się pojawiać w późniejszych rozdziałach. Wiele z tych rozdziałów utrwała obraz potwornych zbrodni z czasów drugiej wojny światowej, które historyk ukazuje z pełnym obiektywizmem, w oparciu o udostępnione mu relacje ocalałych członków rodzin z kraju i zagranicy. Wielu z nich osiedliło się na Śląsku, a zwłaszcza na Opolszczyźnie. Sporo miejsca zajmuje opis losów rodziny profesora Michała Lisa, jednego z najbardziej dziś zasłużonych historyków, zapisanego trwale w dziejach Instytutu Śląskiego oraz Almae Matris Opoliensis.

Zasługą autora jest wydobywanie wielu nieznanych szczegółów dotyczących historii mniejszych kresowych miejscowości, jak owe Kozaki, które tak sobie upodobał wygnany przez carat z ojczyzny i osiadły we Lwowie biskup wileński Karol Hryniewiecki (1841–1929), że wybudował w owej wiosce kościół, a po śmierci – zgodnie ze swym życzeniem – spoczął na tamtejszym cmentarzu.

Po Jałcie ocalała reszta liczącej kilkaset osób polskiej społeczności wraz ze swym proboszczem, całą gromadą, znalazła nową, małą ojczyznę na ziemi lubuskiej, gdzie niemieckiej wsi Pyrhene nadała nazwę *Pyrzany*. Stąd ów nagłówek: *wielka przeprowadzka*.

Autor dzieła skrupulatnie wykorzystał dostępne materiały rękopiśmienne i szczególnie cenną ikonografię (na uwagę zasługują obszerne opisy publikowanych fotografii), publikacje książkowe i artykuły, w tym prasowe. Utrwalił w dziesiątym tomie kolejne fragmenty historii i martyrologii utraconych Kresów Wschodnich. Książka trafiła do rąk czytelników pod choinkę *Anno Domini 2017*, otwierając zarazem pełnemu sił twórczych autorowi – w jubileuszowym dlań roku – drogę do drugiej dekady *Kresowej Atlantydy*.

² Zob.: „Polski słownik biograficzny”, Kraków 1936, t. 2, s. 78 (biogram pióra Stanisława Piotra Koczorowskiego).

³ „Encyklopedia Powszechna”, Warszawa 1868, t. 28, s. 642.

⁴ Jan Hulewicz, Dziedzicki Ludwik, w: „Polski słownik biograficzny” t. 6, Kraków 1948, s. 130.

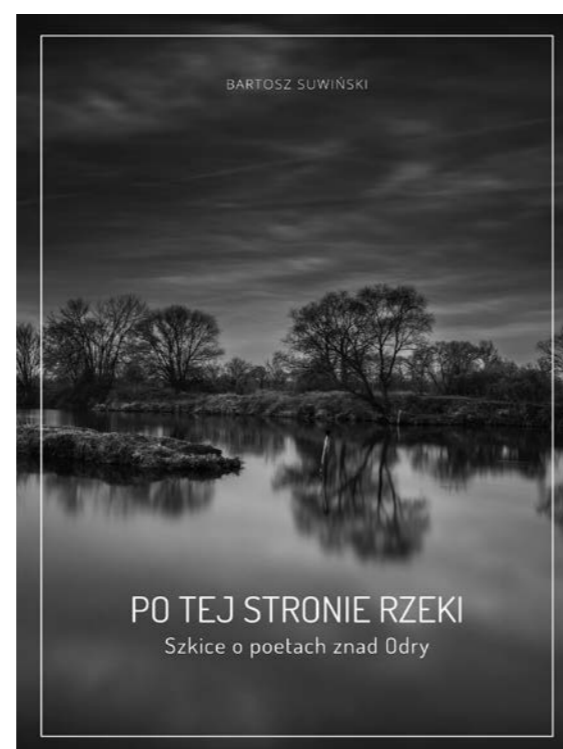
⁵ Ludwik Dziedzicki, „Złoczów miasto powiatowe w Galicji; Złoczowski powiat”, w: „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, red. Bronisław Chlebowski, Warszawa 1895, t. 14, kol. 628–633.

WITOLD SUŁEK

PO OBU STRONACH RZEKI



Okładka „De profundis” Oscara Wilde’a (Sic!, 2017)



Okładka zbioru esejów Bartosza Suwińskiego „Po tej stronie rzeki”, Wydawnictwo NOWIK, 2017

Nie zaczął się ten nowy rok 2018 żadnym mocnym uderzeniem wydawniczym. A przecież ani mrozów wielkich nie ma, zasp, które by uniemożliwiły kurierom z książkami dotrzeć od wydawców czy też transportom papieru do drukarni. Kilka śmiałych zapowiedzi na wiosnę, lecz to żadna pociecha dla spragnionych lektury pożeraczy książek. Może nieuważnie szukam, tak gdybam sobie, siedząc przy kaloryferze. Zawsze można sięgnąć po klasykę, zwłaszcza że tu jest tytuł, który na dobrą sprawę jest nowością, bo i przekład nowy, i wydanie poszerzone, pełne. Mówię o „De profundis” Oscara Wilde’a, które w wydawnictwie Sic! się ukazało, z przedmową Agaty Bielik-Robson (niektórych to odstrasza, bo jej język uchodzi, chociaż publicznie mało kto się przyzna, za trudny i męczący, ale to tylko piętnaście stron). Pierwsze zdanie

wstępu brzmi: „Nie ma takiego momentu w życiu, w którym Oscar Wilde nie byłby artystą”.

Przyznam, że trudno mi to przyjąć, uwzględniając etap jego niemowlęctwa, ale może i tak, bo nie wiem nic o tym okresie jego życia. Autorem przekładu jest Maciej Stroiński, który napisał także posłowie. Początek tego posłowie wyczuła moją uwagę, budzi czujność i wewnętrzna niezgodę: „Podczas lektury warto pamiętać, że autor był gejem”. Był więc „artystą” i „gejem” – czy to naprawdę główne atrybuty pisarstwa Wilde’a? Owszem, ten pisany w więzieniu tekst jest z tym drugim aspektem ściśle związany, ale – co z tego? Chcę wiedzieć więcej, jeśli już ludzki dramat – to w szerszym kontekście.

„De profundis” jest świadectwem czasu i epoki. Znajdziemy tu spostrzeżenia o wymiarze uniwersalnym,

jak to ze str. 33: „I małżonkowie, i przyjaciele, żeby być ze sobą blisko, muszą ze sobą rozmawiać i muszą mieć o czym, a kiedy są na różnych poziomach, trzeba równać w dół”. Jest w tej książce widoczne rozdarcie pomiędzy wielkim światem, towarzystwem i zgiełkiem nie dającym wytchnienia, a wyciszeniem, tęsknotą za czułością i naturą. To rozdarcie, znane wielu z nas, sprawia, że warto się zagłębić w lekturę. Wiele uwag jest natury filozoficznej, bądź odnoszących się do filozofii wprost, jak ten fragment: „Natomiast Metafizyce jestem wdzięczny za naukę w sprawie rzeczy samych sobie – że się mało w sumie liczą, bo ich w sumie nie ma (...), można kogoś tak nakarmić, że chleb zmieni się w kamienie, zanim do ust trafi”.

Niech Państwa nie zniechęca wspomniana przedmowa Bielik-Robson, w której określa styl książki jako plotkarski, w klimacie doniesień internetowego „Pudelka”. Ten brak stylistycznego wyrafinowania to, moim zdaniem, efekt wielkich emocji, w jakich był tekst ten pisany. A może – potrzeba dokonania zemsty na kochanku? Modne to dzisiaj bardzo. W każdym razie, w porównaniu z innymi książkami, dotyczącymi prywatnych, erotycznych często wątków z życia ich bohaterów (wspomnieć wystarczy rzeczy o Gombrowiczu ostatnie), tutaj otrzymujemy znacznie więcej. Aura seksualnego skandalu wydaje się tylko punktem wyjścia, chociaż akcentowana jest mocno przez samego tłumacza w posłowie. Przywołuje on, sympatyczną skądinąd, anegdotę o tym, jak znajomy antykwariusz wręczył mu sfatygowane „De profundis” w tłumaczeniu Marii Markowskiej z 1922 roku, zapakowane w woreczek śniadaniowy, bo książka się rozsypywała, ze słowami: „Staroświecka, urocza, tylko homoseksualizmu mi tam brakowało”. Nawet jeżeli we wcześniejszych wydaniach go brakowało, bo były okrojone, powstaje pytanie: czy musi on być wprost, aby go nie było?

Wspomnę też krótko o jeszcze jednej książce, chociaż nieco mi niezręcznie, gdyż jest w niej i o mnie, a dokładnie o twórczości mojej, rozdział. Nie sposób jednak przejść koło niej obojętnie (a pozostaje nadzieja, że ktoś osobiście niezwiązany, napisze o niej szerzej), gdyż dotyczy poetów z Opola i Opolszczyzny, do tego kilku związanych z Uniwersytetem Opolskim w sposób ścisły, jak Jacek Gutorow, Paweł Marcinkiewicz, Tomasz Różycki, Adrian Gleń i Sławomir Kuźnicki. To książka „Po tej stronie rzeki. Szkice o poetach znad Odry”, absolwenta tegoż uniwersytetu, Bartosza Suwińskiego (znanego też czytelnikom „Indeksu”). Książka jest subiektywnym wy-

borem, co podkreśla jej autor, i o czym ja też uznaję za stosowne wspomnieć, ponieważ, jak to zazwyczaj bywa, znaleźć się mogą tacy, którzy będą kręcić nosem, że tego to a tego poety czy poetki w niej nie ma. Nie tylko zresztą subiektywność wyboru jest tu ważna, ale i sposób czytania i opisywania utworów poetów bliskich autorowi. Są to refleksje, przemyślenia nie tylko krytycznoliterackie, ale i intymne, odsłaniające bogatą osobowość i wrażliwość Bartosza Suwińskiego, który poezją żyje, wchłania ją w siebie, i potrafi się nią dzielić. To książka pisana językiem poetyckim, taki osobisty dziennik lektur.

Jeszcze, naprawdę krótko, bo autorka ma grono wielbicieli, więc dużej reklamy robić jej nie trzeba, o nowym zbiorze esejów Susan Sontag – „Style radykalnej woli”. Tym razem mniej w nim o sztuce i fotografii, a więcej o kwestiach obyczajowych i społecznych, o Cioranie i Bergmanie. Jak to w zbiorze z lat różnych. Nawet jeżeli, ze względu na czas ich powstania, niektóre eseje mogą wydawać się nieaktualne, to tylko wrażenie, bowiem zjawiska oraz mechanizmy rządzące ludźmi i światem wcale tak się nie zmieniają. A czasami z dystansu widać lepiej. Czego Państwu i sobie życzę.



Red. Teresa Zielińska podczas promocji swojej książki w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu, w styczniu ub. roku (zdjęcie ze strony MBP w Opolu)

ELŻBIETA TRELA-MAZUR

HISTORIE ŻYCIEM PISANE

Jubileusz 800-lecia Opola to okazja do przypomnienia wydarzeń i postaci z naszym miastem oraz regionem związanych. Robi to także Teresa Zielińska w swojej najnowszej książce, zatytułowanej: „Historie życiem pisane”. Spotkania autorskie, podczas których ją prezentowała, wywołały spore zainteresowanie i zgromadziły rzesze sympatyków znanej w mieście i regionie dziennikarki Polskiego Radia Opole – obecnie na emeryturze. 33 lata pracy reporterskiej – jak sama autorka twierdzi, zobligowały ją do przypomnienia przynajmniej kilku ważnych, nie tylko dla niej samej, postaci.

Najserdeczniej opisała losy swojej babci Walerii, sybiraczki wywiezionej z mężem i piątką dzieci ze Złotnik na Tarnopolszczyźnie w głąb Rosji, w tragicznym dla

polskich rodzin ze Wschodu roku 1940. Powrotu w 1946 roku nie doczekał mąż Walerii (zastrzelony przez strażników w lesie) i dwoje dzieci, które zmarły z głodu. Choć jest to bardzo osobista opowieść, to jednak wpisuje się w dzieje wielu mieszkańców Opola i Opolszczyzny, których wojenna pożoga wyrwała z rodzinnej ziemi, przenosząc w końcu na Ziemię Odzyskane. Sybiracy pozostawili już sporo wspomnień, ale dzieje Walerii spisane przez Teresę Zielińską pokazują nie tylko traumę okupacji, ale i trudy, troski i problemy, które pokonywać musieli po przesiedleniu do Polski. Interesujące i inspirujące są też losy młodszego pokolenia, czyli dzieci i wnuków Walerii, przedstawione w książce.

Zupełnie inny klimat znajdujemy w historii Romana Kirsteina, legendy opolskiej „Solidarności”. Przy tej okazji autorka przypomniała starszym, a opowiedziała młodym czytelnikom o postulatach sierpniowych z 1980 r., o pustych półkach i o kolejkach do sklepów. Dokumentem historycznym jest zapis 21 postulatów „Solidarności” oraz historia działalności Romana Kirsteina.

Autorka przypomina też postać wybitnego społecznika z Zalesia – Józefa Wilkowskiego, którego imię nosi tamtejsza szkoła i którego wszyscy mieszkańcy Zalesia noszą we wdzięcznej pamięci. Przykłady pracowitości i twórczego zapału w życiu społecznym są widoczne także w opowieści o Zofii „co Polskę kochała”. W obu Zielińska przywołuje pamięć o powojennej tragedii Ślązaków.

Wybrane przez autorkę historie są rzeczywiście niezwykłe, jak losy Stanisława Jankowskiego, żołnierza Związku Walki Zbrojnej i oficera AK, wyszkolonego w Anglii i zrzuconego wśród 316 innych do okupowanej Polski. Jak podała autorka, przeciętna życia skoczka spadochronowego w czasie wojny, według angielskich statystyk, wynosiła 6 miesięcy. Stanisław Jankowski dożył sędziwego wieku i mógł opowiedzieć o nadzwyczajnej odwadze i ofiarnym patriotyzmie całej generacji młodzieży wychowanej w okresie międzywojennym. Jankowski był adiutantem generała Bora-Komorowskiego po Powstaniu Warszawskim, przetrzymywany w obozach specjalnych. Nie tylko z tego powodu Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach zaprosiło go do siebie, a redaktor Teresa Zielińska mogła zapoznać słuchaczy Polskiego Radia Opole, w kilku swoich audycjach, z jego nadzwyczajnym bohaterstwem oraz zaangażowaniem w powojenną odbudowę Warszawy.

Inne obszernie opowiadanie, o artystycznej rodzinie Szołomiaków, przynosi wiele ciekawostek, a jedną z nich jest przytoczona treść świadectwa lekarskiego o przydatności do zawodu nauczycielskiego młodego Józefa Szołomiaka z Sambora, w którym przeczytać możemy, że badanie nie wykazało „żadnych zbroczeń w organizmie, nieuleczalnej choroby skórnej niezastoiniętych części ciała, przykrew woni z ust i nosa, zaburzeń mowy i skłonności do zaburzeń umysłowych”. Treść całego świadectwa mogłaby być natchnieniem dla dzisiejszych lekarzy medycyny pracy.

W zgoła innej historii, przedsiębiorcy Mariana, zobaczyć możemy, jak dzięki ciężkiej pracy, zdolnościom organizacyjnym, prosty śląski chłopak stanął na czele

własnego międzynarodowego koncernu, stanowiącego dziś filar opolskiej gospodarki. Autorka nie podała jego nazwiska, ale mieszkańcy Krapkowic na pewno się domyślą.

Wszystkie przedstawione historie wywołują zadumę nad zmiennością ludzkich losów, ujmują pięknym językiem i często sentymentalnym ciepłem, którym obdarzyła je autorka. O jej szacunku do czytelnika świadczą liczne uzupełnienia, skrupulatnie dopełniające realia historyczne, np. dane o liczbie poległych w I wojnie światowej, dane liczbowe o członkach Rotary Clubu... Autorka przypomina też m. in. datę powstania małej miejscowości Grocholub (1228 r.), z którą związane są losy jednego z bohaterów, czy historyczne informacje o Krobi koło Leszna, w której urodził się Jan Pawlak, jeniec, kilkakrotny uciekinier z obozów hitlerowskich. Jest to opowieść o burzliwej, wojennej drodze do Polski, zakończonej... w Londynie.

Walorów tej książki jest sporo, w tym liczne, stare i nowe zdjęcia opisywanych bohaterów, ciekawe dokumenty, ilustracje wojennych i powojennych pejzaży. Wspomnieć trzeba o starannym, jak zwykle w przypadku Drukarni Świętego Krzyża w Opolu, wydaniu.

Dla historyków piszących o politycznych i społecznych dziejach każdego kraju najważniejszym źródłem badawczym są dokumenty państwowe, oficjalne i nieoficjalne, statystyki, prasa, epistolografia i wreszcie, na końcu, wspomnienia i relacje. Tymczasem to one pokazują prawdziwą barwę dziejów społeczeństw, polityki, kultury i gospodarki. Każda z dziesięciu historii zamieszczonych w książce Teresy Zielińskiej wnosi coś ważnego i jest kolejnym aneksem do dziejów kilku pokoleń Polaków żyjących w XX i XXI wieku.

Teresa Zielińska, „Historie życiem pisane”, Opole 2017, ss.194; Wydawnictwo i Drukarnia Św. Krzyża w Opolu



Okładka „Moving Lab – Sketches on Unboxing European Identity”

ARTBOOK NAUKOWY: Moving Lab – Sketches on Unboxing European Identity

Nakładem Wydziału Sztuki UO ukazała się książka autorstwa absolwenta Instytutu Socjologii – Marcina Deutschmanna, Magdaleny Hlawacz, profesor grafiki interdyscyplinarnej na Wydziale Sztuki oraz dr. Michała Wanke, pracownika Instytutu Socjologii, pt. „Moving Lab – Sketches on Unboxing European Identity”. Książka stanowi część dwutomowego wydawnictwa, będącego pokłosiem artystyczno-społecznego projektu FreedomBus, w którym brali udział socjologowie i artyści z Uniwersytetu Opolskiego.

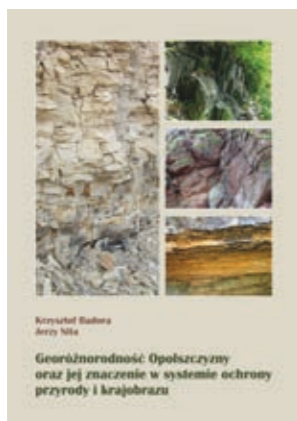
Drugi tom jest dokumentacją artystyczną projektu pod redakcją profesor Anny Bulandy-Pantalacci z Katedry Dizajnu Eksperymentalnego Uniwersytetu Nauk Stosowanych w Trewirze. Tom socjologiczny jest jednocześnie art-bookiem; to zbiór szkiców socjologicznych powstałych w wyniku pracy etno- i autoetnograficznej dwojga studentów socjologii, Marcina Deutschmanna i Tetiany Filatovej, pod opieką Michała Wankego, którzy podróżowali wspólnie z artystami w „Autobusie Wolności” na trasie z Krakowa (Akademia Sztuk Pięknych) do

Trewiru *via* Berlin. Zarówno tytuł jak i podtytuł publikacji („Research Notes apropos The Freedom Bus Project”) odnoszą się do metody pracy studentów kierunków artystycznych z całej Europy (Irlandia, Litwa, Wielka Brytania, Niemcy, Polska, Luksemburg) – ich prace, powstające w trakcie podróży, były wystawiane w instytucjach kultury kolejnych odwiedzanych miast, a finalnie złożyły się na wystawę. Inspiracją prac studentów były pojęcia: wolność, tożsamość europejska i pamięć zbiorowa. Projekt wpisuje się w nurt badań metodami zaangażowanymi i opartymi na sztuce. Jak czytamy w recenzji profesor Aleksandry Janik z Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu: „Potrzeba transdyscyplinarności w sztuce oraz w naukach humanistycznych i społecznych jest dla nas tak oczywista, jak niemalże nieosiągalna ze względu na sztywne ramy współczesnej akademii. Autorom udało się zrobić coś tak oczywiście prostego, a zarazem niemożliwego dla większości z nas: połączyć analityczny język i aparat pojęciowy socjologii z estetyką, wrażliwością i wyobraźnią sztuk wizualnych. Zarówno w pracy badawczej jak i autorskiej, i edytorskiej. Tytułowy szkic należy potraktować jako wyzwanie dla nas, bo nakreśla kierunek dekompresji hermetycznych dziedzin w stronę rzeczy, które są płodne intelektualnie, zaangażowane społecznie i do tego piękne”.

Projekt i publikacje zostały sfinansowane bezpośrednio z budżetu Unii Europejskiej oraz z budżetu na kulturę kraju związkowego Nadrenii-Palatynatu (w ramach projektu Interreg). Publikacja powstała w ramach działalności stowarzyszenia Moving Lab z Luksemburga, które właśnie rozpoczyna kolejny projekt z udziałem studentów Instytutu Socjologii, specjalności Intercultural Communication, a którego założycielami są m.in. prof. Anna Bulanda-Pantalacci, prof. Magdalena Hlawacz i dr Michał Wanke.

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE



BADORA KRZYSZTOF, NITA JERZY
Georóżnorodność Opolszczyzny oraz jej znaczenie w systemie ochrony przyrody i krajobrazu, ISBN 978-83-7395-754-1, Studia i Monografie nr 547, Opole: Wyd. UO, 2017, format B5, oprawa miękka,
cena 22,05 zł

Praca przedstawia walory geologiczne województwa opolskiego jako ważne elementy krajobrazu naturalnego i kulturowego oraz stan i perspektywę ich ochrony. Omawia zróżnicowanie geologiczne powierzchniowych osadów i utworów – od proterozoicznych, poprzez paleozoiczne, mezozoiczne do kenozoicznych. Ze względu na występowanie w granicach województwa różnych jednostek regionalnych budowy geologicznej, obejmujących tereny górskie, wyżynne i nizinne, georóżnorodność Opolszczyzny ma znaczenie wykraczające poza region, a dotychczas nie była należycie doceniona. W książce przedstawiono dotychczasowy stan ochrony i badań. Na tle charakterystyki zróżnicowania geolo-

gicznego zaprezentowano i zwaloryzowano ponad 100 ważnych stanowisk, które należy zachować ze względu na walory naukowe, turystyczno-dydaktyczne i krajobrazowe. Książka adresowana jest do osób zainteresowanych środowiskiem przyrodniczym województwa i jego ochroną, w szczególności w zakresie ochrony georóżnorodności i krajobrazu. Stanowi cenny element edukacji przyrodniczej, realizowanej w szkołach podstawowych, średnich i w uczelniach wyższych. Adresowana jest też do służb ochrony środowiska i przyrody na różnych poziomach organizacji administracji rządowej i samorządowej, a także podmiotów prowadzących badania i eksploatację surowców mineralnych.



GOŁĘBIOWSKA ANNA, ŚWIDER MAŁGORZATA (red. nauk.),
Wydarzenia Marca 1968 roku w pamięci i edukacji historycznej, ISBN 978-83-7395-773-2, Opole: Wyd. UO, 2017, format B5, 134 s., oprawa miękka
cena 11,55 zł

O zasięgu fenomenu 1968 r. świadczy fakt, że w ponad 40 różnych społeczeństwach doszło do wystąpień będących wyrazem konfliktu międzypokoleniowego. Slogan make love war stał się inspiracją i mottem całej generacji. Do dziś wydarzenia te fascynują i inspirować badaczy, są przedmiotem pogłębionych analiz naukowych, w których z jednej strony próbuje się znaleźć elementy łączące (wydarzenie o zasięgu globalnym?), z innej zaś wskazuje na diametralnie różne przyczyny i przebieg. I właśnie kwestie związane ze specyfiką wydarzeń 1968 r. w Polsce znalazły się w obszarze zainteresowań autorów poszczególnych tekstów tej publikacji. Chcemy, by książka trafiła przede wszystkim do młodego odbiorcy – studentów

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE



JASTRZĘBOWSKA GRAŻYNA, GÓRAL-PÓŁROLA JOLANTA, KOŻŁUB ARTUR
Neuropsychologia, neurologopedia i neurolingwistyka in honorem Maria Pąchalska, ISBN 978-83-7395-772-5, Opole: Wyd. UO, 2017, format B5, 640 s., oprawa twarda,
cena 54,60 zł

Książka budzi podziw i uznanie nie tylko ze względu na długą listę autorów – znanych uczonych z kraju i z zagranicy – ale przede wszystkim z uwagi na wysoki poziom naukowy zamieszczonych w niej rozdziałów z zakresu neuropsychologii, neurologopedii i neurolingwistyki, czyli obszarów, w których lokują się główne problemy warsztatu naukowego profesor Marii Pąchalskiej. Fakt, że to jej właśnie te prace zadedykowano, przydaje księdze dodatkowych walorów. Są to bowiem obszary szczególnie bliskie jubilatce, którym poświęciła swoje najcenniejsze prace – były one impulsem do dalszych badań, inspirowały jej kolegów i uczniów, również do napisania świetnych artykułów, składających się na ten okazały tom. Dzięki temu ma on spójny charakter, a poszczególne teksty wychodzą z podstawowej wspólnoty perspektywy

przygotowujących się do wykonywania zawodu nauczyciela i do młodzieży szkolnej, za pośrednictwem nauczycieli historii. Chcemy, by zawarte w publikacji informacje merytoryczne i dydaktyczne oraz konkretne pomysły na realizację zajęć były pomocne w pełnym i rzetelnym przedstawieniu interesujących nas zagadnień i umożliwiły nadanie im odpowiedniego znaczenia w edukacji historycznej młodego pokolenia. Autorami poszczególnych rozdziałów są w większości młodzi ludzie – studenci i doktoranci Instytutu Historii UO, którzy, przygotowując swoje teksty, chcieli przyczynić się nie tylko do upamiętnienia wydarzeń Marca'68, ale również stworzyć konkretny materiał pomocniczy dla obecnych i przyszłych nauczycieli historii.

poznawczej, którą wyznacza teoria mikrogenetyczna. Ta imponująca księga jest niezwykle starannie zaprojektowana i napisana przez trzydziestu jeden autorów. A lektura tekstów – oprócz satysfakcji czytelniczej – daje przekonanie, że mamy do czynienia z książką wybitną, potrzebną i pożyteczną, która nie tylko godnie uczci jubileusz 40-lecia pracy naukowej profesor Marii Pąchalskiej, lecz także będzie stanowić cenne kompendium wiedzy dla specjalistów i adeptów neuronauki. **(Z recenzji prof. dr hab. n. med. Bożeny Grochmal-Bach).**

Książka składa się z czterech wyraźnie zaznaczonych części: I – **Życiorys naukowy Prof. zw. dr hab. Marii Pąchalskiej**; II – **Neurobiologia, neurofizjologia i neurochirurgia** (5 artykułów); III – **Neuropsychologia: od genów do zachowania** (13 artykułów); IV – **Neurologopedia: od języka do kultury** (13 artykułów) [...]. Artykuły wchodzące w skład tomu reprezentują bardzo wysoki, w wielu przypadkach wręcz znakomity poziom naukowy. **(Z recenzji prof. UG dra hab. Stanisława Milewskiego).**

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE

**MODRZEJEWSKA KRYSZYNA**

Człowiek w zwierciadle. Szkice o literaturze francuskiej, Studia i Monografie nr 550, ISBN 978-83-7395-765-7, Opole: Wyd. UO, 2017, format B5, 210 s., oprawa miękka, **cena 21,00 zł**

Monografia przedstawia obrazy człowieczeństwa ilustrowane analizą wybitnych utworów literatury francuskiej XX i XXI wieku, dokonywaną w kontekście filozoficznym. Wielu omawianych autorów jest znanych polskiemu czytelnikowi: Simone de Beauvoir, Samuel Beckett, Michel Houellebecq. Inni, np. Paul Claudel, Jean Giraudoux czy Kamel Daoud, na pewno warci są poznania. Książka adresowana jest do studentów romanistyki i innych filologii, do szerokiego grona miłośników literatury, zwłaszcza do tych, którzy osiągnęli pewien poziom wiedzy i dojrzałości.

**UJMA MAGDALENA**

Samuel Zborowski i jego czasy, ISBN 978-83-7395-771-8, Opole: Wyd. UO, 2017, format A5, 388 s., oprawa miękka, **cena 37,80 zł**

Dziejom rodziny Zborowskich towarzyszy wiele zagadek, a do najbardziej spektakularnych należy historia porywczego i walecznego rotmistrza królewskiego na Podolu, banity i skazańca, Samuela Zborowskiego. Dla jednych – wspaniałego rycerza i szermierza wolności szlacheckiej zagrożonej przez despotyczne rządy Stefana Batorego i wybujałe ambicje jego prawej ręki – Jana Zamoyskiego. Dla innych natomiast – anarchisty i awanturnika uosabiającego najgorsze cechy szlacheckie, czyli butę, prywatę, niełiczenie się z władzą państwową i bezwzględność w postępowaniu z osobami niżej postawionymi w hierarchii społecznej. Wbrew opiniom romantyków, nie był to bowiem jedynie dramat jednostki. Sprawa Samuela Zborowskiego stała się problemem wagi państwowej, wykorzystywanym w równej mierze przez pragnącego rządzić silną ręką Stefana Batorego, jak i przez broniącą swoich uprawnień szlachtę. Książka jest pierwszą naukową biografią Samuela Zborowskiego. Oparta została na dokumentach archiwalnych, źródłach drukowanych i literaturze przedmiotu. Opracowanie jest nie tylko syntetycznym podsumowaniem dotychczasowej wiedzy o wydarzeniach społecznych i politycznych XVI stulecia,

ale także analitycznym studium, wzbogacającym dotychczasową wiedzę o życiu słynnego banity, z uwzględnieniem realiów jego epoki oraz stosunków rodzinnych i sytuacji majątkowej. Książka jest adresowana do badaczy dziejów nowożytnych Pierwszej Rzeczypospolitej.

Ponadto ukazały się:

„Literport Revue annuelle de la littérature francophone” No 4: *La communauté et l'exclusion dans la littérature française et francophone*, (red. nauk.) T. Różycki, ISSN 2392-0637, Opole: Wyd. UO, 2017, format B5, 128 s., oprawa miękka, **cena 10,50 zł**

„Studia Miejskie” t. 26, (red. nauk.) J. Słodczyk, ISSN 2082-4793, Opole: Wyd. UO, 2017, format B5, 166 s., oprawa miękka, **cena 14,17 zł**

„Studia et Documenta Slavica” nr 1 (1), (red. nauk.) J. Czapliska, ISSN 2544-5634, Opole: Wyd. UO 2017, format A5, 76 s., oprawa miękka, **cena 6,30 zł**

„Studia et Documenta Slavica” nr 2 (2), (red. nauk.) J. Czapliska, ISSN 2544-5634, Opole: Wyd. UO 2017, format A5, 92 s., oprawa miękka, **cena 7,35 zł**

Przygotowała: **Lidia Działowska**

REDAKCJA WYDAWNICTW WYDZIAŁU TEOLOGICZNEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE

**GLOMBIK KONRAD** (red.)

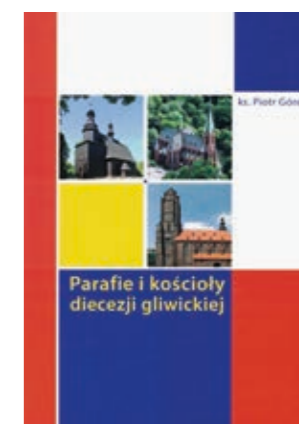
„Studia Teologiczno-Historyczne Śląska Opolskiego” (czasopismo: „Studia Teologiczno-Historyczne Śląska Opolskiego”, tom 37, nr 2), Opole, 2017, 269 s. **cena 24,15 zł**

Prezentowane czasopismo zawiera artykuły z różnych dziedzin teologii oraz z historii Kościoła, dotyczące Śląska Opolskiego. Dotychczas ukazały się dwa tomy: *Wstęp cz.1 oraz Nowy Komentarz Ez 1-5*.

**PODZIELNY JANUSZ** (red.)

Etos pracy drogą dojrzewania człowieka (seria: „Człowiek Rodzina Społeczeństwo”, nr 27), Opole, 2017, 138 s. **cena 14,91 zł**

To zbiór referatów wygłoszonych na ogólnopolskiej konferencji naukowej, zorganizowanej w 2016 r. przez Katedrę Bioetyki i Etyki Społecznej, na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego.

**GÓRECKI PIOTR**

Parafie i kościoły diecezji gliwickiej (seria: „Z Dziejów Kultury Chrześcijańskiej na Śląsku”, nr 94), Opole, 2017, 305 s. **cena 27,83 zł**

Na publikację składają się krótkie opisy historyczne i fotografie kościołów wszystkich, tj. 156 parafii, które tworzą dzisiejszą diecezję gliwicką.

Przygotował: **Piotr Juszczyzyn**

NOTY O AUTORACH

Paweł Cieśla – członek Koła Naukowego Pedagogów, przewodniczący sekcji Pedagogiki Pracy „Semper Salvus”.

Jan Cofalka – politolog, publicysta, współpracujący z miesięcznikiem społeczno-kulturalnym „Śląsk”. Były wiceprezes i sekretarz generalny Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, b. pracownik Kancelarii Sejmu i redaktor w Wydawnictwie Sejmowym. Autor pięciotomowego cyklu: „Ślązacy w Warszawie”, „Księga Ślązaków”, „Ślązacy i kresowiaczy”, „Ślązacy w świecie”, „Legends sportu śląskiego”.

Dr hab. Joanna Czaplinska, prof. UO – bohemistka, dziekan Wydziału Filologicznego UO, kierownik Zakładu Sławistyki Zachodniej i Południowej. Zainteresowania naukowe: literatura czeska drugiej połowy XX wieku i najnowsza, literatura emigracyjna i zjawisko emigracji w szerokim aspekcie, najnowsze kierunki rozwoju prozy europejskiej, kultura popularna. Redaktor naukowy czasopisma „Studia Slavica” (wspólnie z Janą Raclavską), wydawanego przez Wydział Filologiczny UO i Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Ostrawskiego.

Paweł Czupryna – absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu (historia, 1964).

Wojciech Dindorf – absolwent fizyki WSP w Opolu (1957), zwycięzca ubiegłorocznego, krajowego Konkursu Popularyzator Nauki, w kategorii Animator. Wykładowca fizyki doświadczalnej na WSP i WSI w Opolu, Uniwersytecie w Wiedniu (1996–2000); egzaminator międzynarodowej matury z fizyki w jęz. angielskim, hiszpańskim i francuskim (od 1984); juror na Międzynarodowych Turniejach Młodych Fizyków; redaktor „Mojej Fizyki” – internetowego magazynu dla nauczycieli.

Dr hab. Grzegorz Gajos – absolwent Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, adiunkt w Pracowni Projektowania Graficznego i Pracowni Fotografii Wydziału Sztuki UO. Zajmuje się fotografią, projektowaniem graficznym, grafiką, wideo oraz eksperymentalnym zapisem dźwięku.

Anna Gołębiowska – zastępca dyrektora ds. dydaktyki historii Instytutu Historii UO, pracownik naukowy Pracowni Dydaktyki Historii.

Magdalena Grochowska – dziennikarka „Gazety Wyborczej”. Jej zbiór portretów „Wytrąceni z milczenia” trafił, w ramach plebiscytu II Programu Polskiego Radia, do kanonu 25 lektur na ćwierćwiecze wolnej Polski (2014). Biografia „Jerzy Giedroyc. Do Polski ze snu” przyniosła jej nagrodę „Odry”, „Polityki” oraz Nike czytelników w 2010. Książka ukazała się po litewsku i rosyjsku. W 2016 Polski

PEN Club uhonorował ją Nagrodą im. Ksawerego i Mieczysława Pruszyńskich za „konsekwentne opowiadanie dziejów polskiej inteligencji”. Jurorka w tegorocznej edycji Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaże literacki.

Andrzej Hamada – nestor opolskich architektów, urodzony w Gdańsku znawca historii Opolą, w którym mieszka od ponad sześćdziesięciu lat.

Prof. dr hab. Włodzimierz Kaczorowski – pracownik naukowy Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego. Jego badania naukowe dotyczą głównie dziejów powszechnych i Polski XV–XIX wieku, zwłaszcza parlamentaryzmu, wymiaru biologicznego w badaniach historyczno-prawnych oraz biografistyki.

Agnieszka Kania – opolska lekarka dentystka. Od sześciu lat prowadzi galerię sztuki „Panaceum”. Regularnie ogłasza teksty w opolskiej „Gazecie Wyborczej”. Zdobyła dwukrotnie (w roku 2012 i 2013) pierwszą nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Profesora Andrzeja Szczeklika „Przychodzi wena do lekarza”, a w 2016 – pierwszą nagrodę w Konkursie Poetycko-Prozatorskim „Puls Słowa”. Wydała tom szkiców i felietonów „Zapatrzenia” (Opole 2011).

Sylwester Koral – fotoreporter, przez wiele lat związany z opolskim oddziałem „Gazety Wyborczej”, pracownik Biura Promocji i Informacji UO.

Prof. dr hab. Marcei Kosman – historyk (dzieje kultury polskiej nowożytnej, kultura polityczna), pracownik naukowy Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor kilkunastu książek, m.in. „Na tropach bohaterów Krzyżaków”, „Na tropach bohaterów Quo vadis”, „Wojciech Jaruzelski wobec wyzwań swoich czasów. O kulturze politycznej w Polsce przełomu tysiącleci”, „Dějiny Polska”.

Dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO – emerytowany pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

Beata Łabutin – wieloletnia dziennikarka opolskiego oddziału „Gazety Wyborczej”, pracownik Biura Promocji i Informacji UO.

Dr hab. Elżbieta Trela-Mazur, prof. UO – pracownik naukowy Katedry Stosunków Międzynarodowych Instytutu Politologii UO, specjalizuje się w historii politycznej współczesnego świata ze szczególnym uwzględnieniem historii Niemiec, Rosji i Związku Radzieckiego, a także Europy Środkowej i Wschodniej.

IMPRESSUM

Wydawca: Uniwersytet Opolski (nakład: 550 egz.)

Adres redakcji: 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius UO, pok. 17, tel. 77 541-60-17, e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl

Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska

Zdjęcia: Jarosław Mokrzycki, Tadeusz Parcej, Sylwester Koral, Grzegorz Gajos

Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja

Projekt graficzny/skład: Grzegorz Gajos

Druk: Drukarnia KOLUMB, Katowice / Siemianowice Śląskie

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiacji, skrótów, dawania własnych tytułów, sródtytułów, nagłówek, przypisów itp., a w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania

Hubert Michalak – doktorant (kulturoznawstwo) na Uniwersytecie Opolskim, absolwent teatrologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pracuje jako asystent dyrektora Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu.

Prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja – historyk (biografistyka najnowszych dziejów Polski, historia najnowsza), współautor filmów dokumentalnych, autor kilkunastu książek, m.in.: „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786–1986”, „Cmentarz Obrońców Lwowa”; „Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zablockiego-Gwasza”; „Łyczaków – dzielnica za Styksem”; „Tam gdzie lwowskie śpią Orłęta”; „Cmentarz Łyczakowski w fotografii”; „Twierdza kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie”; „Kresowe Trójmiasto. Truskawiec-Drohobycz-Borysław”; „Lwowskie Orłęta. Czyn i legenda”; cyklu „Kresowa Atlantyda”.

Dr hab. Janina Hajduk-Nijakowska, prof. UO – folklorystka, kulturoznawca, członkini Komitetu Nauk Etnologicznych PAN. Zainteresowania naukowe: zagadnienia pamięci społecznej i potocznej świadomości historycznej, genologia folklorystyczna, funkcjonowanie folkloru w dobie rozwoju środków masowego przekazu i nowych mediów, e-folklor oraz współczesne media.

Małgorzata Andrzejak-Nowara – aktorka, doktorantka (kulturoznawstwo) na Uniwersytecie Opolskim.

Prof. dr hab. Piotr Obrączka – emerytowany pracownik Uniwersytetu Opolskiego (specjalność: literatura polska i niemiecka), autor ponad 220 publikacji, w tym 14 książek. Jego zainteresowania naukowe dotyczą literatury polskiej okresu Młodej Polski, zwłaszcza dzieła Jana Augusta Kisielewskiego oraz stosunków literackich polsko-niemieckich, ze szczególnym uwzględnieniem polskiej recepcji literatury niemieckojęzycznej.

Tadeusz Parcej – opolski fotografik. Zdjęcia publikował w pismach artystycznych: „Format”, „Exit”, „Sztuka”, „Dialog”, „Teatr” oraz wydawnictwach książkowych. Autor wystaw indywidualnych i zbiorowych, m.in. „Kościoły drewniane Opolszczyzny” (2007), „Album rodzinny” (2009). Stały współpracownik „Indeksu”.

Stanisław Skakuj – przewodniczący Rady Miasta Opola w I kadencji (1990–1994). Przewodniczący Komisji Budżetu RM Opola II kadencji (1994–1998). Przewodniczący Zarządu Dzielnicy Zakrzów w latach 2009–2016.

Dr hab. Piotr Stec, prof. UO – dziekan Wydziału Prawa i Administracji, kierownik Zakładu Prawa i Postępowania Cywilnego. Zainteresowania naukowe: prawo cywilne, prawo własności intelektualnej, komercjalizacja wyników prac naukowych, prawo porównawcze.

Prof. dr hab. Adam Suchoński – dydaktyk historii, wieloletni dyrektor Instytutu Historii UO (wcześniej WSP), b. prodziekan Wydziału Filologiczno-Historycznego WSP oraz prorektor WSP w latach 1986–1990. Członek Międzynarodowego Stowarzyszenia Dydaktyków Historii, od 2002 r. – przewodniczący (ze strony polskiej) Polsko-Litewskiej Komisji Podręcznikowej.

Witold Sułek – opolski księgarz, poeta, pisarz. Autor tomu wierszy „Plantacja” oraz książki dla dzieci „Bajka o małym łosiu”. Publikował w pismach STRONY, RED, książkach zbiorowych. Animator kultury, aktor Teatru Fieter z Ozimka.

Radosław Świąt – dziennikarz, m.in. nowojorskiego „Nowego Dziennika”, specjalista od komunikacji i PR, pracownik Biura Promocji i Informacji UO, absolwent politologii Uniwersytetu Opolskiego, na którym jest wykładowcą.

Tomasz Tarmas – student psychologii w Wyższej Szkole Humanitas w Sosnowcu.

Beata Tarnowska – studentka I roku studiów magisterskich (edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych) w Instytucie Sztuki, interesuje się malarstwem oraz współczesną sztuką kobiecą.

Dr Adam Wierciński – historyk literatury, krytyk, publicysta. Zainteresowania naukowe: historia literatury, historia i kultura dawnej Polski, kultura języka. Autor kilku książek (m.in.: „Przywrócenie pamięci”, 1993, 1997; „Głowy opolskie”, 1999, 2008; „O niyaczeniu języka”, 2006) oraz kilkuset tekstów naukowych, publicystycznych i paraliterackich.

uni
www.
uni.opole.pl